

2000

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 1361



BC KSK / 1361

Przebieg

**SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE
W TWÓRCZOŚCI
ELIZY ORZESZKOWEJ**

ALEKSANDRA BIGAY-MIANOWSKA

1361

SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE
W TWÓRCZOŚCI
ELIZY ORZESZKOWEJ

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium O.S.B.
w Białymstoku

1399

KRAKÓW
KSIĘGARNIA STEFANA KAMIŃSKIEGO

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

1361

884(091) : 884,04

Wszelkie prawa przedruków i przekładów zastrzeżone.

Copyright by Księgarnia Stefana Kamińskiego, Cracov.

Mężowi

poświęcam.

OD AUTORA

Książka niniejsza nie jest i nie miała być nigdy czystej wody studium krytyczno-literackim. Zamiarem autora było jedynie dać garść wiadomości tym wszystkim, którzy dzieła Elizy Orzeszkowej czytają, lubią, a może nawet kochają, oraz zachęcić tych, dla których wciąż jeszcze jest ona tylko autorką „Nad Niemnem“ i w najlepszym razie „Chama“ — do bliższego zapoznania się z jej twórczością.

A. M.

WSTĘP

Już w roku 1892 w swym artykule Chmielowski¹⁾ zwrócił uwagę, że we wszystkich dotychczasowych ocenach za mało zwracano uwagi na pewien dział twórczości Elizy Orzeszkowej, który sam już może zapewnić autorce wybitne miejsce, a mianowicie na obraz społeczeństwa polskiego, po wielkiej zmianie ekonomicznej wskutek uwłaszczenia i katastrofie politycznej po upadku powstania. Podkreśla Chmielowski, że pierwsza Orzeszkowa zwróciła uwagę na wytwarzanie się nowych stosunków wywołanych przez zjawiska wyżej wymienione. Dziś dla nas zagadnienie to nabrało jeszcze większej wagi, jeszcze większego interesu owa epoka wytwarzania się i przekształcania starych pojęć, na którą przypadają: z jednej strony zwycięski pochód demokratyzacji społeczeństw a z drugiej emancypacja kobiet.

Rozprawę swoją podzieliłam na dwie części. Pierwsza „Ludzie“, druga „Rzeczy“. W pierwszej części chodziło mi przede wszystkim o to, by czytający mogli sobie zdać sprawę, jakimi i z jakich sfer ludźmi „załudnione“ są powieści Orzeszkowej, by przez chwilę ujrzeni ludzi owych czasów takimi, jakimi ona ich widziała. Ludzi tych podzieliłam na pewne grupy; i to takie, w jakie mniej więcej segregowała je autorka. A więc „Niziny“, „Mali ludzie“, „Zaścianek“ i „Wyżyny“.

¹⁾ „Świat“ 1892: Powieści społeczne i chłopskie Orzeszkowej.

W części drugiej zajęłam się obrazem społeczeństwa polskiego od strony nurtujących je zagadnień i zjawisk jego życia właściwych. Staralam się znów te rozliczne przejawy społecznego stawania się wciągnąć pod następujące zagadnienia: „stan ekonomiczny“, „kobieta“, „oświata i młodzież“, wreszcie „powstanie styczniowe i jego echa“. Przy każdym zaś z wymienionych rozdziałów trzymałam się następującej metody: wysunięte zagadnienie omawiałam najpierw tak, jakbym знаła je li tylko z powieści Orzeszkowej. W części zaś drugiej każdego rozdziału starałam się omówić je na podstawie wypowiedzi autorów traktujących o danych kwestiach, aby wykazać, czy obraz znany z powieści Orzeszkowej jest zgodny z ówczesną rzeczywistością. W zakończeniu zaś, któremu dałam tytuł „szukanie rzeczywistości przez Elizę Orzeszkową“ starałam się wskazać na źródła jej spostrzeżeń czy wypowiedzi, wreszcie na pewne prototypy jej postaci powieściowych.

LUDZIE

I

NIZINY

Tak bardzo powiększył się mój świat. Weszli do niego korowodem długim, barwnym wszyscy ci z powieści Pani Orzeszkowej. Jest ich bardzo dużo, a wszyscy dobrze znani i czasem bardzo bliscy. Wśród nich wiele postaci wynędzniałych, siermiężnych, to znów w chusty krasne odzianych — to ludzie z „nizin“, z tych nędznych wiosek poleskich o kurnych chałupach, albo z tych chat do wysokiego brzegu Niemna przytulonych. Jest ich dużo, bo przecież jednym z najważniejszych interesów Pani Orzeszkowej było „wiedzieć jak żyje, co myśli i czuje człowiek, mieszkający w małej chatce, której okienka dotykają niemal ziemi“¹⁾. W małych chatkach, albo i częściej jeszcze w czworakach, po kilka rodzin w jednej izbie, razem z prosiakami i kurami mieszkają ci najbiedniejsi, co ziemi swojej nie mają i wysługują się po dworach, albo u bogatszych chłopów. Tym dola zła już przy kolebce smutne kołysanki śpiewa, potem towarzyszy nieodstępnie, a w końcu na biedne, chłopskie mogiłki odprowadza. Dlatego mężczyźni milczący są i ponurzy, około cudzego dobytku chodzą, pracują ciężko, a w sercach noszą utajone pragnienie własnej chaty i ziemi; czasem, gdy troska zanadto dopiecze, zapijają się w karczmie. Kobiety zawiedłe są, przedwcześnie zestarzałe, bo rodzić dzieci ciężko, a grzebać

¹⁾ „Kraj“ petersburski 1885, nr 27.

je smutno. Ciężko rodzić, bo i zawieszenie nogami u sufity, tak na minutkę, żeby się dziecko wyprostowało, nie zawsze pomaga („Niziny”), a grzebać trzeba często, bo rodzą się cherlakami z nędzy poczętymi, a wzrastają w izbach ciemnych, zimnych i wilgotnych, zdane na opiekę przede wszystkim boską, a po wtóre starszego roduństwa, podczas gdy matki ich pielą ogrody pańskie, albo przy żniwie pracują. Dlatego, kończą czasem tak smutno jak Tadeuszek Chwedory („Tadeusz”), ten brzdąc przemiły, co przy rwaniu niezapominając, „hetyj dla Bozi, hetyj dla panienki”, wpadł do stawu, gdy matka plewiła pański ogród, a ojciec pańską orał rolę. Wyzyskuje ich każdy kto może; i ekonomowie i rządcy, i ich żony (oszczędna Madzia dosypuje do ordynarii plew, Bahrewicz od Krystyny swatów odpędzał, a potem wyrzucił ją z dwojgiem dzieci, bo „chamką świata sobie nie mógł wiązać” — „Niziny”), bo bezbronni są i nie wiedzą, jak i komu poskarżyć się. Pragnienie własnej ziemi i naiwność wyzyskują pseudo-adwokaci i ich adherenci w rodzaju żyda Jankiela i ex-soldata Mikołaja; ci wzniecają waśnie, zachęcają do procesów, ukazując świetne perspektywy, aby od tych najnędzniejszych wyciągnąć krwawe oszczędności, w nicianej gdzieś pończosze ukryte, „za dzień pielenia czterdzieści groszy; za dwa dni żniwa — cały rubel; za przyniesienie wody na koromysłach gospodyni namiestnika — sześć groszy; za grabienie siana — dwa złote; za całe dwa tygodnie żniwa dwie trzyrubłówki, trzecia za trzy miesiące dojenia krów u pachciarza¹⁾”, czwarta i piąta na jadle zaoszczędzona, na krupach jęczmiennych i kartoflach. Niestety, tych krup i ziemniaków nie zawsze jest pod dostatkiem. Czasem, na przednówku zwłaszcza, zagląda do chat głód; wtedy w niskich chałupach jest jeszcze czarnej i smutniej; żywią się trawą, od której dzieci mrą,

¹⁾ „Niziny” str. 59.

a w końcu wychodzą zebrać po rozstajnych drogach jak Harwarowie („Obrazek z dni głodowych”). Czasem za głodem w trop nadchodzi zaraza i w chałupkach o małych, gwoździem nabitych oknach ludzie mrą jak muchy, bo „o lekarza tak trudno, że prawie nie podobna, pielęgniarek jakichkolwiek sama nazwa jest nieznana¹⁾”, tak, że w chacie nie zostaje czasem ni jedna dusza, bo „kopytnik najlepszy od zrobionego”, ani inne podobne lekarstwa nie zawsze pomagają. Obok tych najbiedniejszych są tacy, którzy i ziemię swoją mają i chaty, i stanowią klasę odrębną, dla tamtych niedostępną. Ciemni są jak tamci; u uchodzących za najmędrszych umiejętność czytania, choćby tylko z książki do nabożeństwa, niebывały wzbudza szacunek. Świat ich w najlepszym razie nie sięga poza najbliższe miasteczka, a szczytem ambicji jest urząd starosty gminnego. O tym dalekim, nieznanym świecie słyszą czasem od takich jak Marcela-zebraczka („Cham”), co ze wsi do miasta na służbę poszła, całe życie wysługując się ludziom, a na starość chodząc po żebrach, wspominała jedyne jaśniejsze chwile, kiedy kochanką pana była, i wieści te wywołują zgrozę na taką „Sodomę Hamorę”. Mądrość ich całą stanowią wierzenia, gusła i czary po ojcach odziedziczone, niezmiennie. Wszelkie nieszczęścia spadły na nich, czy to choroby, czy to nieurodzaj, czy brak mleka u krów, ba, nawet miłość nieszczęśliwą przypisują czarownicy. Zresztą nieufni są nawet w stosunku do chłopów z innej wsi. Niepokoją ich ci, którzy na ich, czy ich ojców oczach się nie chowali, i wśród nich właśnie szukają bardzo chętnie czarownic, złe uroki rzucających i ludzi urzekających. Dlatego też dla czarownicy, sprawczyni wszystkiego co złe, co ból sprowadza, nie ma litości; potrafią ją zabić, choćby była Pietrusią szczęśliwą, radosną, całemu światu życzliwą, rozmodloną, od komunii świętej

¹⁾ „Gloria victis”, str. 151

wracającą, zatłuc poprzecznicami od sań — bezlitośnie i zostawić wśród zimowej zawiei „na pustym polu, na szerokim polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukowi i kawkom na strawę”¹⁾. Zabobony i wierzenia to coś zupełnie odrębnego, co weszło w krew, co krytyce nie podlega, co zresztą nie przeszkadza modlić się żarliwie do łez i kościelną posadzkę całować; ba, z ewangelii właśnie najlepiej wykryć można złodzieja, a Piotr Dziurdzia, chłop pobożny, ze skłonnością do mistycyzmu, zwłaszcza odkąd poturbowana przez niego matka zmarła, na osinowe drzewo łapie czarownicę i ani chwilę nie wątpi, że jest nią rzeczywiście Pietrusia, bo przecież pierwsza na ogień nadeszła. Pijak Szymon Dziurdzia przysięgałby, że te gwiazdy, co nad kowalową chatą spadły, to nie gwiazdy, ale czort, co kowalisze przez komin „hrosze” nosi. Zresztą Szymon Dziurdzia przez swe pijaństwo jest wyjątkiem, bo na ogół nie piją, jak tylko przy okazji, albo na zgryzotę od czasu do czasu. Ot napił się trochę Piotr Dziurdzia i Klemens, kiedy Piotrusię ubili, ale okazja była; i konia „stargował” i na pewno prawie ułożył małżeństwo Klemensa z najbogatszą we wsi dziewczyną.

I kochać umięją ci z „nizin”. Mrukliwy Poleszuk Panas Teleżuk („Hekuba”) tylko ze swoimi dziećmi umiał mówić i śmiać się, a kiedy pomarli w czasie zarazy, w wieczne poddaństwo oddał się pani Teresie za to, że je pielęgnowała, że bez opieki nie umarli. Kochała swych synków Krystyna („Niziny”), hodowała ich w głodzie i poniewierce, znosząc złą dolę samotnej, a przy tym biednej chłopki, mającej nieślubne dzieci. Nawet nie przeklinała sprawcy swego nieszczęścia, ekonoma, bo dla niej synkowie jej byli wszystkim, dla nich harowała ciężko, dla nich zносиła spiekoty słoneczne, wiatry chłoszczące i zimne deszcze. Dla ratowania swego

¹⁾ „Dziurdziowie”, str. 196.

„błazieńkiego” Filipka od pójścia w żołdacy, w kraje, skąd takie cherlaki jak on nie wracają, gdzie „żółta trasca i takaja wysypka, od której uszy gniją i odpadają”, wydała wszystkie swe oszczędności, przez lata harowania po groszu zbierane na pogrzeb z chorągwiemi i na trumnę i na krzyż na mogile, „na śmierć dostatnią, chrześcijańską i mogiłę śliczną, co by jej nagrodziła wstyd, który żyjąca piła...”¹⁾ Aby ratować go, wzięła nawet pieniądze dla drugiego syna odłożone, narażając się na to, że uderzył ją i na złość do karczmy poszedł. „Jednego zabrali i pognali daleko.... drugi ją wybił, a kiedy raz wybił, już zawsze bić będzie. Stracił dla niej serce i uszanowanie. O Jezu!”²⁾ Tragedia matczyngo serca, o której bez wzruszenia myśleć nie można, tym bardziej, że Krystyna, ta cudna niegdyś „chamka” o czarnych oczach, jest tak żywa, że nie trzeba wielkiego wysiłku wyobraźni, a zobaczyć ją można, jak wraca z Leśnej do Wólki, gdzie Bahrewicza błagała, by synka ratował — przecież to i jego dziecko, w szarej siermiędze, bosa, w marcowy, zimny wieczór; wiatr chłoszcze i rozwiewa krucze włosy, w których wiją się gdzieniegdzie srebrne nitki, woda zimna, deszczowa spływa po twarzy, matczynym bólem stroskaney.

Na swą niedolę upodobał sobie Stefan Dziurdzia Piotrusię i zapomnieć jej nie mógł. A przecież on zły, kłótniwy, tłukący się z żoną ku zgorszeniu wsi (żonkę wziął, bo gospodyni trzeba było w chacie, ale ścierpieć jej nie mógł), wiedział, że dla tamtej i z tamtą byłby inny. „Ja dla ciebie byłbym inny, jak dla tej...., ja bym z tobą łaskawy zrobił się i cicheńki, jak ten pies, co pana swego poznał.... ty by mnie dzieci inaczej hodowała jak ta.... ty by mnie w chacie śmiała się i śpiewała jak ta makolągwa w gnieździe, a ja bym tobie ręce

¹⁾ „Niziny”, str. 105.

²⁾ „Niziny”, str. 159.

i nogi przez całe życie całował, ja bym z tobą pracując ręce od pracy krwawił....¹⁾), ale ona go nie chciała i nigdy jej mieć nie będzie. — „Czartowską siłą ciągniesz ludzi do siebie, a potem ich na zgubienie wieczne oddajesz“²⁾ — lżył ją w rozpacz.

Kochać umiał ten nadniemeński rybak, nad wszystkimi górujący, którego by śmiało umieścić można gdzieś nad jeziorem Genezaret w czasach, kiedy Chrystus chodził jeszcze po ziemi i do czynów wielkich i świętych porywał. On, który z trudem przesyłabizował za ledwie „Służbę Bożą“, w czasie długich swych wędrówek po szaro-błękitnej smudze Niemna pojął i zrozumiał sens życia, że „człowiek, a robak — mała różnica; robaka ryba je, a człowieka ziemia. Czy pan, czy chłop, czy król, czy parobek, każdego ziemia zjeść musi, jak ryba robaka“³⁾). Zrozumiał, że ludzie o tyle się troszczą i „jedni drugich jedzą“, a przecież tylko jedno ma wartość: — to, co człowiek dobrego na świecie robi. Pojął to i ukochać potrafił nie tylko Frankę, ale z nią zadanie wielkie i święte — ratowania duszy ludzkiej z męki i brudu życia. Zwyciężył ostatecznie, ale straszliwie; wielkość dobroci poraziła biedną Frankę, co od dziecka do złości ludzkiej przywykła i „wołoczaszce“ życie wiodła; — przeraziła się samej siebie i aby tej złej istocie nie dać się już nigdy przemóc, kolorową wzięła „działę“ i powiesiła sobie, tę sukę. Tak wspaniały jest ten „cham“, że wystarczy wyteńczyć wzrok tylko, a zobaczyć go można, gdy w łódce swej naprzeciw różanym jutrzeńkom, albo mrokom zachodu, po wyzłoconym smugą zachodzącego słońca szlaku Niemnowym mknie, albo gdy przybija do wyspy śnieżystą bielą goździków usłanej i lasem wysokim dziewanny zarosłej, a towarzy-

1) „Dziurdziowie“, str. 131.

2) „Dziurdziowie“, str. 132.

3) „Cham“, str. 10.

szy mu dziecko dziesięcioletni chłopak, o długich czarnych rzęsach, niewinna „Boża krówka“ — synek Franki — jedyny kwiat na bagnistym jej życiu wykwitły.

Są inne jeszcze „niziny“ — smutniejsze. W miejscach ciemnych zaułkach, „psiokocim“ — jakby to powiedziała Boguszevska — zapachem przeziębionych, gdzie promienie słońca prawie nigdy nie dochodzą, gnieźdzą się przeróżni biedacy: służące i lokaje, albo chwilowo nie mający pracy, albo zniszczeni, postarzały, nie mogący jej już w ogóle znaleźć; praczki życie całe spędzające nad balią, aby dzieci (zwykle wcale liczną gromadę) wyżywić, a i męża pijaka niejednokrotnie; żebraczki stare, opuchłe, w brudne łachmany szmat owinięte — łachmany ludzkie; wdowy po urzędnikach, często nawet wysokiej rangi, którym mężowie, umierając, nie zostawili żadnego zaopatrzenia; te, nie umiejąc nic innego robić, od śmierci głodowej ratują się wyrabianiem biednych robótek szydełkowych, włóczkowych, które w długich wędrówkach od domu do domu, ze schodów na schody, roznoszą, zaofiarowują, a gdy stare oczy, zmęczone kręceniem robótek przy łożówce przez długie noce długich lat, oślepną, wychodzą żebrac, do chropowatego muru kamienic przytulone bliźniutko, jakby weń wnikać chciały, strwożone życiem, co z hałasem przed ich ślepyimi oczyma przelatuje, z krtanią ściśniętą tak, że głos prośalny wydobyć się z niej nie może. W ruderach starych, opuszczonych, mieszkają nauczycielki nie mające lekcji wcale, albo bardzo marne, muzycy, co do jednego ucznia biegają gdzieś na koniec miasta, a przez resztę głodnego dnia na starym, rozklekotanym, o pozółkłych klawiszach fortepianie wygrywają melodie smutne, jak życie samo, przerywane ich suchotniczym kaszlem. Na krętych, błotnistych uliczkach chowają się dzieci podrzucone i porzucone, na własne siły i ludzkie kulaki zdane od lat najmłodszych: Julianka,

(„Julianka“), Antka („Sylwek cmentarnik“) i dzieci ojców pijaków, zmuszone głód swój zaspakajać własnym przemysłem. Żyją na ulicy, „jak te wróble, co tyle zjedzą, ile gdzie ziarna skubną i tyle ogrzeją się, ile im pod strych jaki uda się wlecieć“. Oczywiście trudnią się żebranią, a gdy podrosną kradzieżą, zaczynając od gołębi, a kończąc na poważniejszych wyczynach i w turmie, z przekonaniem, że „gdyby się inaczej urodzili, potrafiliby może być takimi samymi pocziwymi, jak te różne kpy, co po świecie prosto sobie chodzą, bo im ludzie gładziutko ścieżki wypracowali“). A przecież są wśród nich tacy jak Sylwek, („Sylwek cmentarnik“) co w dziedzictwie po ojcach swych nieznanych, wytwornych panach, przynieśli na świat tęsknotę do piękna i kultury, do życia takiego, jakie dane im jest podpatrzeć tylko z daleka, ukrytym gdzieś w mrokach ulicy. Świadomość krzywdy, do której dochodzą dzięki takim jak Kępa, sam skrzywdzony maniak, co świat i naturę ludzką dziełem swym chciał naprawić i równość ludzką głosił, rodzi nienawiść, która od lat najmłodszych przeżera serca tych nędzników i zemstę podszeptuje i do zbrodni pcha.

Są wśród nich, wśród tej biedoty, tacy, co lepszą przeszłość dobrze jeszcze pamiętają, jak Szarski („Sylwek cmentarnik“), co niegdyś urzędnikiem był i „za solidarność z ogółem“ wyrzucony, pijakiem stał się i na drabinę wychodził, aby do Boga iść na skargę, ku ucieście gawiedzi, a przerażeniu malej Klarki, że tatuś spadnie.

W kościelnej, zimnej kruchcie siedzi Romanowa („Romanowa“), niegdyś młoda, piękna żona Romana, najlepszego z pocztylionów. „Mróz ją piecze, wilgoć dławi, koleżanki żebraczki pięściami w boki, a kijami w pokaleczone nogi uderzają“ — załzawionymi oczyma

wpatruje się, jakby synka Michałka zobaczyć chciała, — jedynaka, co mularzem zdolnym był, ale w czasie przymusowego, zimowego bezrobocia zaszedł do szynku, szukając rozrywki raz i drugi, a potem rozpił się, awantur narobił i do turmy poszedł, a Romanowej został kij żebraczy i żal, dlaczego mądrzy dla durnych nie wymyślili czegoś, aby ci nie musieli jedynej dostępnej rozrywki szukać w szynku.

¹⁾ „Sielanka nieróżowa“, str. 92.

II

MALI LUDZIE

Istnieje w powieściach Elizy Orzeszkowej inny jeszcze świat. Świat małych, szarych, nie znaczących ludzi, którym dnie za dniami mijają na jednostajnej, ciężkiej pracy. Wielu wśród nich jest drobnych urzędników, kancelistów, co długie lata spędzają zgarbieni nad stolikiem przykrytym siną bibułą, wynagradzani tak, że i bez butów często chodzić muszą i głodem przymierać. Życie ich ciężkie, tym bardziej, że przecież „w ciałach tych, niepozornych, chudych, okrytych szarym, ubogim często odzieniem, zaopatrzonych w mętne źrenice, w blade oblicza, przygarbione grzbiety i zwieńczone, ukradkiem poziewające usta, przemieszkiwały duchy, z których każdy miał swoją historię skromnych nadziei i ciężkich zawodów, uciech drobnych i nudy olbrzymiej, westchnień skrytych, łez częstych, trosk dokuczliwych i rzadkich uśmiechów¹⁾. Oczywiście o zaspokojeniu potrzeb kulturalnych mowy być nie może, a to z dwu przyczyn: braku czasu i pieniędzy. Jedynym wybrykiem przeciw oszczędności stosowanej po drakońsku na każdym kroku, popełnionym po długich rozważaniach, jest gazeta. Ot, jak charakteryzuje to nędzne bytowanie Marceli Ryżyński („Widma“): „co było to jest, a co jest, to będzie, i koniec“. Co gorsza jednak, to, „co będzie“, nie jest pewne; nad ludźmi tymi ciąży naj-

¹⁾ „Dziwak“, str. 119.

gorsza ze wszystkiego: niepewność jutra: lada kaprys, któregoś z pośrednich zwierzchników, a z posady mogą wylecieć i z rodziną znaleźć się bez środków do życia, czy nawet do wegetacji. Nic dziwnego więc, że cierpią na manię pokrewieństwa z Habsburgami, jak pan Walery („Na dnie sumienia“), i wyglądają tak, jak ten „człeczyna nie stary jeszcze, bo zapewne czterdziestu lat pełna nie mający, ale chudy, przygarbiony, z głową całkiem prawie włosów pozbawioną. Z powodu tej połyskującej nagości czaszki, wystających kości policzkowych, długiego nosa, spiczastej brody i okrywającej to wszystko żółtawej skóry, wyglądał na figurkę wyrzeźbioną z kości, a w wytarty i niezgrabny surdut przybraną. Twarz ta z ptasim profilem była tak kościana i martwa, do ust jej szerokich, wklęsłych tak zdawał się przyrośnięty uśmiech przymilający i pokorny, małe, siwe oczy tak trwożliwie biegały, gdy wchodził do sali, a z taką osłupiałością wpatrywały się w siną bibułę, gdy raz pisać zaczął¹⁾. Wielu wśród nich jest doradców prawnych („Bańka mydlana“), należących jak Mirewicz np. do tego „nieszczęśliwego pokolenia, które zaledwie skosztowawszy chleba nauki, przedwcześnie rozpoczynało pracę zarobkową, jakąkolwiek, byle móc oddychać na powierzchni kuli ziemskiej²⁾; zresztą wśród tych doradców prawnych wielu jest ludzi nieuczciwych, złych, choć po największej części takimi uczyniła ich zła dola. Pokątnym doradcą został Suszyc („Na dnie sumienia“), a wreszcie fałszerzem, przez żonę i rodzinę leniwą, na jego tylko kieszeń liczącą. Wstrętniejszy jeszcze od niego jest Kaprowski („Niziny“), „mikrob małomiasteczkowy“, o pocerniałych zębach i gąbczastej twarzy, zerujący na najbiedniejszych, na chłopach. Przyczyniły się jednak do tego

¹⁾ „Zygmunt Ławicz i jego koledzy“, str. 65.

²⁾ „Bańka mydlana“, str. 404—5.

w znacznej mierze warunki jego życia: ojciec, urzędnik policyjny, wypędzony został z biura po dwudziestu latach służby, a „nie była to kara za grzechy osobiste, ale następstwo publicznej klęski“. Młody Kaprowski musiał wystąpić z gimnazjum i z górnych marzeń zrezygnować; po długich prośbach i niskich pokłonach wprosił się na posadkę jakąś, która umrzeć, ani też żyć nie dawała; rzucił ją więc i rozpoczął tę swoją karierę „adwokacką“. „Ubóstwo jest karmicielką duszy — nieszczęścia to dobry pokarm dla wielkodusznych“, jak to pięknie powiedział Wiktor Hugo — ale nie każdemu dano być człowiekiem wielkiego ducha.

Wśród zasuszonych kancelistów, doradców prawnych i innych małych urzędników wielu jest ludzi zdolnych, którzy nie mają możliwości uzdolnień swych zużyć i duszą się w ciasnym kręgu małych spraw, wielu takich, dla których nauka jest przeznaczeniem, a jednak uczyć się nie mogą, jak Ławicz czy Zenek Derszlak („Zygmunt Ławicz i jego koledzy“), wyrzuceni z gimnazjum za zajście z profesorem-Rosjaninem; ci marnować się muszą, już za młodu strudzeni i zgarbieni, skazani na samouctwo, o każdą iskrę, o każdy promyk wiedzy, bojujący w nędzy i poniewierce, tym bardziej, że muszą pracować na chleb jak najwcześniej, bo rekrutują się, albo z rodzin biednych, z jakichś „nizin“ społecznych, albo z rodzin inteligenckich, urzędniczych, czy ziemiańskich, których ojcowie powędrowali na daleki Sybir po 63 roku.

Są inni jeszcze mali ludzie: krawcowe, szyjące po 14 do 16 godzin na dobę, aby utrzymać siebie i matkę niejednokrotnie, wyzyskiwane przez klientki nie płacące regularnie, albo wcale, klientów płacących czasem sumiennie i na tej podstawie roszcujących daleko idące pretensje wcale niekrawieckiej natury. Ciężkie to życie trzyma je bliźutko tuż nad ziemią i nie pozwala ani na chwilę oderwać od niej wzroku, wśród ciągłych

trosk o rzeczy drobne i małe, od których duch maleje i kurczy się. Nauczycielki prywatne, stworzenia pokorne, wylekłe, w szarych sukienkach, o zapadniętych klatkach piersiowych i sterczących łopatkach, zasuszone stare panny, wyśmiewane cicho przez swych chlebowców za entuzjazm, za serce gorące, za miłość, którą darzyć chcą swe uczennice, a która jest tu czymś niepotrzebnym, niezauważonym, ot, jak biały kwiat, rzucony niedbale na zakurzony chodnik uliczny. Wcześniej czy później orientują się, że od nich nikt niczego więcej nie chce, prócz nauczania, a przeświadczenie, że dla „nauczycielki wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca cudze“¹⁾, towarzyszy im już do końca i bynajmniej doli nie umila. Smutnego żywota dokonywają gdzieś w szpitalach, dzięki dobroczynności publicznej, te biedne pariasy, co „ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujały“²⁾. Lepiej oczywiście w świecie tym czują się ci, co do niego nie zostali zepchnięci koniecznością istniejących warunków, ale ludzie prości, którzy specjalnych marzeń, ni wymagań nie mieli, a o ile mieli, to właśnie obecne życie zadawało je, tacy, jak Paweł Rębko („Zygmunt Ławicz i jego koledzy“³⁾), „także urzędnik przy pałacie“, stróż izby cywilno-kryminalnej. Postać charakterystyczna, dla nas mająca wartość niemal że historyczną, jako typ ludzi specjalnie w owym czasie istniejących. Pochodził on z „okolicy“, gdzie trzydzieści domów Rębków. „Najczęściej rekomendował sam siebie, jako wielkiego znawcę prawa i bliską znajomością z różnymi dygnitarzami związanego, o czym słysząc ludzie w kozuchach, siermięgach, albo kapotach, z radością widoczną wygłaszać przed nim zaczynali sprawy i troski, z którymi do miasta i sądowego miejsca przybyli“³⁾. I co najciekawsze

¹⁾ „Panna Antonina“, str. 7.

²⁾ tamże, str. 7.

³⁾ „Zygmunt Ławicz i jego koledzy“, str. 56.

i najbardziej charakterystyczne „należał on do tej grupy mieszkańców X, która w mówieniu posługuje się rodzajem gwary, utworzonej z najdziwaczniejszej mieszaniny dwu języków. Oprócz tego odznaczał się on jeszcze tym, że zapytywany kim był, stale i niezmiennie z ramionami jak struny wzdłuż boków wyciągniętymi odpowiadał: „katolik“. O innych właściwościach urodzeniu ludzkiemu towarzyszących wyobrażenia nie miał. Kiedyś, za młodu, w okolicy szlacheckiej, sznurem domostw nad brzegiem Niemna rozwiniętej, wyobrażenie to istniało może w głowie, lecz w lekkich i bladych zarysach, które zatarte zostały przez 20 lat wędrowania po szerokich przestrzeniach i następujące po nich lata służby w sądowym mieście. Teraz w głowie mu już nie pozostało nigdy, aby czymś, czy kimś innym mógł być, jak tylko i wyłącznie katolikiem“¹⁾.

Nie brak w tym świecie ludzi małych — czynów wielkich, choć niegłośnych. Zenka Derszlaka („Zygmunt Ławicz i jego koledzy“) wychowuje dużo starsza siostra Anulka, wyrzekając się wyjścia za mąż, posyła do gimnazjum kosztem haftowania dniami i nocami, czy prasowania przez długie godziny strojów elegantek. A pomaga jej w tym kochający ją taki właśnie zawiedły kancelista, za którego nie może wyjść za mąż, dopóki Zenka nie wykształci. Joasia Lipska („A. B. C.“) zbiera dzieci z podwórza, uczy je i za to zostaje skazana na 3 miesiące więzienia, od którego ratuje ją brat, biedny urzędniczyna, o oczach ciemnymi okularami okrytych, płacąc grzywnę pożyczonymi pieniędzmi, dzięki czemu będą musieli na jedzeniu oszczędzać i głodem przymierać. Ale mimo wszystko, jeszcze tego samego dnia Mańka, mała córka stróża, brudnym, małym paluszkim wodząc po starym elementarzu, przyciszonym głosikiem szepce a. b. c. Joachim Czyński („Dziwak“) dla siostry

¹⁾ „Zygmunt Ławicz i jego koledzy“, str. 200.

z dna życia wyratowanej wyrzeka się narzeczonej, gdy mu jedną lub drugą wybrać kazano. Ciągłym bohaterstwem jest życie pani Marcelowej Ryżyńskiej („Widma“), żony biednego urzędnika, mimo ciężkich warunków wciąż uśmiechniętej, będącej sprężyną całej rodziny, mającej jedno tylko pragnienie, by gorzej nie było. „Wielkie czyny są bowiem liczne w małych walach“ (Wiktor Hugo „Nędznicy“).

III

ZAŚCIANEK

Odrębny świat stanowi zaścianek: bujny, ciekawy, jędrny, z mnóstwem tradycji i obyczajów, po „przedziadach” odziedziczonych, niezmiennych. „Okolice” ginące w powodzi sadów i zieleni zamieszkuje „rój ludzki, do roju pszczoł podobny, ciężko, własnoręcznie pracujący, w grubej odzieży, z grubymi rękami i ciemną ogorzałością na twarzach i z potem na czołach, nieponury jednak, tu i ówdzie rzucający wybuchy śmiechów kobiecych, młodzieńczych i dziecinnych, lud, który nigdy nie podpierał straszego gmachu przymusowej pracy, ani twarzami w dół nie upadał pod piekielną obelgą chłosty, lud, za którym jaśniało słońce ludzkich praw i dostojeństw, aż dotąd w dusze i na drogi życia kładące mu zbladłe, lecz jeszcze niezgasłe promienie¹⁾).

I tak, ze trzydzieści chat-dworków, to sami Tuczyńowie, albo sami Osipowicze, Bohatyrowicze czy Rębko-wie, ze swego szlacheństwa wiekami uświęconego dumni, pyszniący się z tego, że są szlachtą zagrodową: „wszystkie rody pańskie poszły od nas — a przeddziad mój równy był wojewodzie”, mawia Konstanty z „Bene nati”. Duma ta nie przeszkadza im jednak przyodziewać się w ubrania na domowych krosnach utkane, za pługiem chodzić, kosić, aż w kościach trzeszczy. To też ogorzali są, w obfitym pocie skąpani, z grubą skórą na twarzach

¹⁾ „Nad Niemnem”, t. II., str. 187.

i rękach, ale z gładkimi, prostymi plecami, wielką siłą ramion i okiem, które acz na ciasne widnokregi, patrzy śmiało i bystro. „Gdziekolwiek stanie ich większa nieco gromada, tam zdawać się może, że z ziemi wyrósł las dębów. Gdziekolwiek żywo i tłumnie zagadają, tam, zda się, przelatują echa tej mowy, która brzmiała wówczas, gdy Rej z Nagłowic nad kuflem piwa i zrazem baraniej pieczeni gościł w Czarnolesie. Gdziekolwiek zaśmieją się, spomiędzy warg rumianych błyskają rzędy jak śnieg białych zębów, gdy zdejmą czapki, ukazują czoła od policzków bielsze i czupryny płowe, złociste, czarne, lecz zawsze jak las obfite i z fantazją, mającą pozór dumy, odrzucone w górę. Ale tak wyglądają tylko młodzi. Starsi i niezbyt nawet starzy chód miewają powolny, mowę rozważną, choć często obfitą, śmiech rzadki, oblicza zorane. Widać, że życie, jakie wiodą, bardzo prędko ucisza ich i gasi, z twarzy im wywabia rumieńce, a nogi obciąża niewidzialnymi brzemionami¹⁾). Podstarzałe, lub starsze kobiety, tak samo jak rówieśnicy ich mężczyźni, najczęściej chude, czasem drobne i delikatne, sterane mają twarze, oraz cechę, której nie posiadają mężczyźni: ceremonialność obejścia się i poruszeń. W suto wygarniowanych kornetach, lub nowożytniejszych czepkach, często nawet w prostych chustkach na głowach, w luźnych kaftanach i staroświeckich mantylach, z szerokimi kołnierzami u szyi, i rękami pomarańczową prawie barwą odbijającymi od śnieżnych wygarniowań rękawów, składają one przed znajomymi układne dygi, wzajem sobie pierwszeństwa na ścieżkach i we drzwiach ustępują, na górną lub skromną sadzą się mowę, jak Fabianowa („Nad Niemnem”), która przy każdej okazji przypomina, że jest Giecołdówną z domu i że ojciec jej po dzierżawach chodził, a brata syn jeszcze i teraz dzierżawę trzyma, a drugi w biurze. Wszyst-

¹⁾ „Nad Niemnem”, t. II., str. 187.

kie one pracowicie przepędzają czas; koło gospodarstwa pracują, pielęgnują z zamięłowaniem kwiaty, przędą płótna, ubrania i kilimki piękne tkają, przy okazji, na weselu czy „hurbie“, tańczą ochoczo, a zawsze przy każdej sposobności śpiewają tak jak i mężczyźni, napędzając czystymi głosami „okolice“, przesiąkniętym zapachem rozkwitłych georginij.

Są wśród ludzi zaścianka i źli i dobrzy, ale więcej złych jest dlatego, że „mało mając, z chciwością ubijają się o więcej i blisko siebie żyjąc, jeden drugiemu fałdów przysiaduje“ („Nad Niemnem“). Ot, jak to mówił Janek Bohatyrowicz: „pijaństwa pomiędzy nami nie ma, ani rozpusty nijakiej, ani złodziejstwa, chatę choć na cały dzień otworem zostawić można, a nikt marnego węgla z pieca nie wyjmie. Za to każdą grudkę ziemi jeden drugiemu z gardła by wydarł, a za najmniejszą szkodę albo ubliżę do czubów się biorą lub do sądów ciągną. O szkodę zaś i ubliżę łatwo tam, gdzie zagony, jak groch w worku zmieszane, a okno w okno patrzy“¹⁾. Za największy na świecie honor i najpewniejsze ubezpieczenie uważają posiadanie ziemi. „Ziemia to taka piękna i droga rzecz, że przy niej wszystkie brylanty tanieją, ona wyleczeniem jest dla człowieka z troski o ciało, z wszelkiej desperacji dusznej, ona matką jest, która czasami chłoszcze, ale często też mile pieści, a zawsze karmi“. To też aż do występku chciwi są ziemi: Fabian („Nad Niemnem“), korzystając ze śmierci stryjecznego brata Jerzego, z choroby Anzelma, zagarnia majątek sieroty Janka, i długich procesów trzeba było, aby go odebrać; Piszczalkowie i Mrukowie („Anastazja“), gdyby nie interwencja innych, zagarnęliby majątek po bracie, nie licząc się z tym, że została córka dziedziczka, której przez całe życie darować nie mogą, że przez samo swe istnienie pozbawiła ich

¹⁾ „Nad Niemnem“, t. I., str. 56.

możności zagarnięcia majątku brata. O każdą garstkę zboża, o każdy skrawek zaoranej miedzy skłonni są bić się, a procesować się potrafią z Korczyńskim („Nad Niemnem“) o wygon, który nigdy do nich nie należał. Ot, z tej prostej przyczyny, że pastwisk mają mało. Ziemi tej, której tak bardzo pragną, niewiele mają: najbogatsi 20 morgów, a są i tacy, jak Ładyś z chłopką żonaty („Nad Niemnem“), co i pół beczki zboża na swoich półtora morga nie wysiewają. Niektórzy z nich są biedni albo do pewnego stopnia dobrowolnie, jak Gabrys, głupim zwany, który procesować się o zagarnięty przez brata majątek nie chciał, ale przyjął to, co on mu wyznaczył, i żył biednie, o nic nikogo nie prosząc, w swej małej chatynce wonią heliotropów przesiąklej, albo jak Piszczalkowie („Anastazja“) przez lenistwo, niezaradność, chciwość i ciemnotę, która im nie pozwala zniszczyć rzeczy po dzieciach zmarłych na gruźlicę i skazuje ich na powolne wymieranie. Ci też żadnego „uważania“ w okolicy nie mają, jak w ogóle wszyscy ludzie ziemi nie posiadający. Dlatego Osipowicze („Bene nati“) nie pozwalają Salusi wyjść za mąż za Jerzego Chutkę, tym bardziej, iż oprócz tego, że ziemi nie ma i wskutek tego nędza ją z nim czeka (wszelkie posady są według nich niepewne), chamem jest i „baćko jego jeszcze w skórę brał“, i gdzie mu się równać z tymi, co trzystoletnie szlachectwo za sobą mają.

Są tacy wśród ludzi zaścianka, co od otoczenia odbijają, jak Anzelm („Nad Niemnem“), czy pan Cyriak („Anastazja“); to ci, którzy brali udział w powstaniu, których dusze zostały przy powstańczych po lasach mogiłach, a od wielkich chwil, jakie przeżyli, smutek padł na całe ich życie. Ci świadkami byli wielkiego wzniesienia serc, zbratania dworu z zaściankiem, zwłaszcza tam, gdzie właściciele, jak Andrzej Korczyński polegli w powstaniu, umiłowali lud i nad nim i dla jego dobra pracowali, to też do życia normalnego wrócić nie mogą

tym bardziej, że dusze ich napełniły się nowym światłem i nową wiedzą, od wykształconych towarzyszków powstańców przejętą. Dlatego chętnie w okresie, kiedy „zaćma nieprzenikniona” ogarnęła świat, szukać będą ucieczki przed rzeczywistością w „cudnych wierszach” Kochanowskiego, czy pismach Skargi, zrozumiałych dla nich tym więcej, że własna ich mowa do jego mowy przez długie wieki nie przestała być podobną („Anastazja”). Ogół mało jednak czyta. z tej prostej przyczyny, że czasem tylko do jakichś Tuczyniec i to raz na rok przyjedzie Józefa („Anastazja”) — a więc książek brak. Dysonans przykry do znojnego, zdrowego życia zaścianka wnoszą ci, co wyszli szukać chleba w dalekim świecie, co w miejskie przebrali się surduty, a teraz wyśmiewają obyczaje i religijność nawet swej rodzinnej „okolicy”, głupcy zrozumieli i przez to śmieszni tylko, jak ten upozowany Apolinary („Anastazja”), który lokajem czy oficyalistą gdzieś był i wrócił z przekonaniem, że Pan Bóg to „wymyślenie, w które ciemnota jedynie wierzyć może”, przejęty szacunkiem jedynie dla Rudnera, jego pieniędzy i fabryki.

Wszyscy oni są tak żywi, że zda się pojedziesz do Tolloczek i znajdziesz tuż przy drodze olbrzymią stodołę butnego Konstantego i zobaczysz jego samego z rękami w kieszeniach, pogwizdującego fiu! fiu! i usłyszysz jego, „jak bieży, to bieży, jak upadnie, to leży — u mnie tak”. Albo tę Jadwięgę Domuntównę, co parą koni powozi, z parobkiem orze i kosi, bosa, z rozczochraną kosą, w różowym kaftanie; a w niedzielę, jak na aktorkę (dziedziczkę) przystało, kroczy w sukni z długim ogonem (arcydzieło krawca żydka z najbliższego miasteczka) z wysoko spiętrzoną, wypomadowaną koafiurą, w rękawiczkach, „złotnych” bransoletkach i kolczykach. Albo Alżusię, co kwiaty z zamilowaniem hoduje, co jej nie przeszkadza być praktyczną i na dwa tygodnie przed ślubem liczyć sztuki bydła narze-

zonego i myśleć o „wekselach”, które wyda jej ojciec, o której to Michał Bohatyrowicz mawiał, że „gdyby ją aniołowie do nieba zabierali, to ona by patrzyła, czy nie ma jeszcze czego z ziemi uchwycić”. Albo tego Michała, miejscowego eleganta w kanarkowym ubraniu i bajecznie kolorowym krawacie, naśladowującego głosy wszelakich zwierząt od kota począwszy, a na słowiku skończywszy, czy wreszcie tego pierwszego družbanta, a później swata, Kaźmirza Jaśmonta, co go kiedyś nawet ktoś zastał w szlafroku fajkę palącego i herbatę pijącego, jak „najpierwszy arystokrat”, pełniącego swą zaszczytną funkcję koniecznie w białym kozuchu, choćby w największy upał, ze wspaniałych oracji słynnego, jak o tych sześciu „p”, których przeddziady od doskonałej panny wymagali.

wiarza, a „żyd pożyczka, pożyczka, aż i cała fortuna w żydowskie ręce przejdzie, i panicz goluteńki jak święty turecki idzie w świat z biczkiem na chłód i głód, a czasem jeszcze i dzieciom przychodzi z głodu umierać“¹⁾.

Czasem mają wielkie jakieś pasje: ot, Konio Ręczyc („Eli Makower“), Alfred Różyński („Ostatnia miłość“), ordynat Zrębski („Pan Graba“), umiłowali konie i na konie potrafią tracić całe majątki. Ordynat Zrębski, nudzący się śmiertelnie na świecie, wychowany zresztą w Anglii w miłości sportu i befsztyku, kocha jedynie swego charta Milorda i klacz Sułtanę. Cały zresztą czas wolny od wizyt i kart przesiaduje w salonie swoich klaczy, bo trudno nazwać inaczej ten przybytek o lśniących, woskowanej posadzce, o ścianach obiciem pokrywanych, o rzeźbionych, mahoniowych żłobach i wspaniałych lustrach. „Tu mieściła się jego ojczyzna, honor, nauka, czyn“²⁾. Jeżeli zaś coś cenia, to tylko pieniądze, a jeżeli czasem o coś dbają, to tylko o honor swych rodów, jak hrabia Światosław („Pompalińscy“), czy wreszcie ta wspaniała babka Hortensja („Pamiętnik Waławy“), którą trudno sobie inaczej wyobrazić, jak tylko dostojną, surową, w olbrzymim ponurym salonie z frywolitkami w chudych arystokratycznych rękach, głoszącą braterstwo starych i wielkich rodów w „czasach szalonych przewrotów społecznych, zbrodniczych o jakiejś równości mniemanej pojęć“³⁾. Innych ludzi poza swoją sferą nie uznają ci przeróżni don-don Pompalińscy herbu Czółno, pochodzący niejednokrotnie od flisaka, co rybki umiał w mętnej wodzie łowić i dlatego tylko opiekują się biednymi krewnymi, aby ci nie uchwycili się jakiegś pracy, co hańbę przyniosłoby rodowi. Wolą przeto dać im utrzymanie, wychowanie takie, jakie sami otrzymali

¹⁾ „Pan Graba“, str. 22.

²⁾ tamże, str. 175.

³⁾ „Pamiętnik Waławy“, str. 249.

t. zn. francuski, ewentualnie angielski, trochę muzyki i śpiewu. Z tym wszystkim ci biedni ludzie, nie umiejący nic robić, na wielkich panów wychowani, tylko bez koniecznego atrybutu wielkopaństwa, — pieniędzy, skazani są na wysługiwanie się swym opiekunom, do których przywykają tak, że nie odczuwają nawet hańby swego położenia, jak Franuś („Pamiętnik Waławy“), który mając lat dwadzieścia siedem nic nie robi, jak na członka dobrej rodziny przystało, a jak na ubogiego krewnego, kupuje włóczękę babci Hortensji w pobliskim miasteczku, podnosi kłębuszki spod kanapy i przynosi koszyczek z robotami. Podobny tryb życia prowadzi Artur Kranicki („Argonauści“) i Pawełek Pompaliński („Pompalińscy“) i tylu innych im podobnych; za granicę jeżdżą jako towarzysze czy lektorzy na gruzlicę kończących książąt, prowadzą tańce, bywają w salonach, gabinetach, jak długo są młodzi, a na starość stają się niepotrzebni, jak zużyty łachman. Zresztą dla splendoru rodu złamać można życie nie tylko ubogich krewnych, ale nawet swe własne, „bo tam, gdzie idzie o interes rodziny, jednostka z wymaganiami swymi ustąpić powinna“¹⁾. W stosunku do własnej sfery są przedziwnie solidarni, nawet wtedy, gdy straciwszy majątek właściwie już do niej nie należą, a wszystko to dlatego, że, jak mówi Łopatnicka („Zefirek“), „tak tylko postępując, obronimy się od motłochu, który nas ze wszystkich stron napastuje, i przyjdzie jeszcze do tego, że przekłete chłopcy te, żydy, cygany, mieszczańscy i ekonomy, zrozumieją dobrze, że co my... to... to... to nie oni“²⁾. Oczywiście w żadnym wypadku do tego „motłochu“ się nie zbliżają, owszem dają odczuć na każdym kroku swą mniemaną wyższość i choć „biedni jak myszy w pu-

¹⁾ „Pamiętnik Waławy“, str. 249.

²⁾ „Zefirek“, str. 236.

stej stodole, a ludzi zawsze na takich i owakich dzielą¹⁾. Niektórzy, inteligentniejsi o tyle, że nie zasypiają nad książką jak Alfred Różyński („Ostatnia miłość”), w chwilach największej nudy czytają romanse, albo sami romansują, nierzadko tracąc na wojaże z guwernantkami swych córek cały majątek (Orzelski „Nad Niemnem”, pan Rudolf „Pamiętnik Waclawy”). Inni jeszcze, którzy ani stale nie podróżują, ani stale nie polują, ale tylko od czasu do czasu „przyjmują”, nic nie robią, o nic się nie troszczą w myśl zasady, że jakoś to będzie. Są wśród nich typy tak kapitalne jak Łozowicz („Eli Makower”), właściciel Łozowa i ojciec siedmiorga „aniołków”, o zatrwajająco różowym poglądzie na świat i duszy poetycznej (czego wynikiem jest sonet na cześć Lili Orchowskiej), miłujący „sztuki” i wskutek tego urządzający koncerty ze zgrają darmozjadów-rezydentów, z których każdy gra na jakimś instrumencie. Oczywiście nic go nie obchodzi, co dzieje się z Łozowem, a fakt, że wszyscy kradną wskutek braku jakiegokolwiek dozoru, nie oburza go: — „niech się i biedni pożywią”. Nawet sprzedanie za długi Łozowa nie mąci pogody jego ducha; przenosi się do miasta, z siedmiorgiem „aniołków” zamieszkuje dwa pokoiki, po mieście biega za lekcjami muzyki i rysunków, jak zwykle dobrotliwie usposobiony do całego bożego świata.

Wielu jest takich, którzy dobrowolnie sprzedają majątki (Kamil Orchowski „Eli Makower”), bo na wsi za nudno, a ich wygoda i przyjemność jest względem decydującym, i żyją z funduszu uzyskanego ze sprzedaży, leniwie i beztrudnie. Czasem utrzymują w dalszym ciągu wiele osób do bliższej czy dalszej rodziny należących, które by z powodzeniem same mogły na chleb pracować. Dnie mijają im na preferansie, bałamuctwie, sztukach z kartami i nożem, deklamacjach o pękających sercach,

¹⁾ „Zefirek”, str. 206.

piciu kawy, sprzeczkach o żółtą czy czerwoną różę, nie zakłócanych ani przez plotki, ni sądy ujemne, z tej prostej przyczyny, „że żadne zgoła sądy o czymkolwiek dziejącym się poza ścianami ich domu w myśli ich nie powstają¹⁾”.

A są przecież wśród tych ludzi, marnujących się w bezczynności, jednostki zdolne, o wysokiej kulturze ducha. Ci czasem „par ci par là” pisują do gazet (Józio „Dwa bieguny”), „ilekroć życie wydaje im się żółtciem”, czasem np. tłumaczą przez dwa lata dwa akty „Kaina” Byrona, czasem chorują na zamilowania artystyczne, a gdy z płytkiej duszy snoba nie mogą wykrzesać ni wielkiej myśli, ni wielkiego uczucia, które by zrodziło dzieło sztuki, o brak talentu oskarżają wszystko i wszystkich, a przede wszystkim kraj rodzinny, rzekomo nie dający artyście żadnych wrażeń (Zygmunt Korczyński „Nad Niemnem”). Do systematycznej, porządnej pracy nie biorą się, bo uważają, że ludzie pracują z dwu powodów: dla pieniędzy, a jeśli tych mają pod dostatkiem, to nie ma potrzeby starać się o więcej, albo dla drugich, tymczasem „tak zwane zbawianie świata jest już baśnią zaledwie prawdopodobną, a naga prawda to, że każdy żyje dla siebie i według siebie²⁾”; nie rozumieją, „dlaczego Paweł ma cierpieć celem zmniejszenia cierpień Gawła³⁾”. Zresztą oni schyłkowcy wiedzą, że „człowiek wiele zdobyć może, ale nie posiadzie nigdy bezwzględnej prawdy. Nie ma jej. Wszystko jest względne. Jedynym pewnikiem jest to, że ja jestem i chcę, a jedynym interesem: umieć chcieć⁴⁾”. Dlatego tępią u siebie wszelkie ideały i uczucia — „malowane garnki”, i bardzo chętnie opuszczają kraj, gdzie panuje „reumatyzm myśli”, kraj w dużej mierze „sans

¹⁾ „Złota nitka”, (Z różnych sfer, t. III, str. 301).

²⁾ „Argonauci”, str. 168.

³⁾ tamże, str. 169.

⁴⁾ tamże, str. 174.

chemise'ów (jak ironicznie Emil Blauendorfer nazywa sąsiadów swoich rodziców, właścicieli wsi niewielkich, borykających się z ciężkimi warunkami), bo „muszą uciekać od puszczyków i lamp gasnących, od impotencji nerwowej i spleenu duszy, muszą uciekać w świat po nowe horyzonty i zetknięcia”¹⁾.

Tak przedstawia się ogół. Do wyjątków wśród właścicieli ziemskich należą tacy, którzy pracują, aby za wszelką cenę przy swojej ziemi się utrzymać. Ci, mając do zwalczania tysiączne trudności, w pracy poziomej, codziennej pogrążają się tak, że wszelkie inne cele maleją, a wreszcie znikają sprzed ich oczu. Ludzie jednak tego pokroju, jak Benedykt Korczyński („Nad Niemnem”), Mieczysław Orchowski („Eli Makower”), Darnowscy („Australczyk”), czy wreszcie ten Zenon Hornicz („Bracia”), co umiłował ziemię rodzinną i mówił o niej jak o kochance cudnej, o którą nie tylko trzeba dbać, ale pieścić i stroić, należą do wyjątków, do których ogół odnosi się z zastrzeżeniem jak do romantyków, wielce szanownych, ale wysoce niepraktycznych. Lekkomysłne życie tych najzamożniejszych wywiera bowiem wpływ przemożny; naśladować usiłują ich ci prze różni Topolińscy („Na prowincji”), Kniksy, Tutunfowicze i t. p. („Pompalińscy”), zwłaszcza młode pokolenie; jak tamci przegrywają i ci swe mizerne dochody w bilard czy karty u prowincjonalnych Szmulów, zresztą marzą również o zagranicy, a ponieważ ich na nią nie stać, zadowolają się wyjazdem do Warszawy, bo za przykładem wielkich panów na prowincji nudzą się obowiąz kowo, szpikują też swą mowę wątpliwą francuszczyzną, a do nazwisk wyszukują przydomków: Jastrząb, Trzaska, Tynf i Bóg wie jakich. Długów mają po uszy i usiłują ratować sytuację ożenkiem; hrabiowie i miliony są szczytem ich marzeń; przy tym głupi są i w równym sto-

¹⁾ „Argonauci”, str. 140—141.

piu zarozumiali; jakże taki Tutunfowicz („Pompalińscy”) nie ma używać przydomka, gdy jakiś lekarz nazywa się Tutunfowicz, gdy „dwóch facetów bez manieri żadnej.... bez żadnego widocznie pojęcia o dobrym towarzystwie.... przy końcu podróży prezentują się Tutunfowicze, inżynierowie przy drodze żelaznej”¹⁾. Lekceważenie („jesteś przecież obywatelem, o ileż to zaszczytniej, poetyczniej i wyżej....”²⁾ dla wszystkich tych doktorów (częście pogardliwie zwanych felczera-mi), inżynierów okazują nie tylko tacy głupi, mali Tutunfowicze, ale w ogóle wszyscy ci z „wyżyn”, ta „arystokracja”. „Kto, jeśli nie my, obywatele, utrzymujemy i wzbogacamy wszystkich tych adwokatów, doktorów i innych podobnych parweniuszów?”³⁾. Nie jest to dziwne wobec poglądów, że zarobkowanie na chleb przynosi wstyd („Pamiętnik Wacławy”). Dlatego też salony ich tylko w jednym wypadku chętnie otwierają się dla tego rodzaju „figur”: gdy opromienia je aureola sławy. Niestety, tych pogardzonych, wykształconych ludzi jest bardzo mało, a i ci niejednokrotnie marnują się wśród anormalnych warunków, nie mając gdzie zużytkować swych zdolności („W klatce”).

Oczywiście wśród ogółu utracjuszków, nierobów i głupców, jacy składają się na obraz „wyżyn”, trafiają się ludzie rozumni i szlachetni. Ale przecież magnaci tego pokroju, co Gaczycki („Cnotliwi”), hrabia Seweryn („Na dnie sumienia”), Tarnicki („Złota nitka”), którzy gospodarują, roztaczając naokoło swych majątków oświatę, dobrobyt, pracują nad ludem, są bardzo nieliczni i co gorzej, czasem wydaje się, że do świata powieści Pani Orzeszkowej weszli nie z życia, ale raczej z gorących pragnień, wykołysanych w jej szlachetnym sercu.

¹⁾ „Pompalińscy”, t. II, str. 113.

²⁾ „Zefirek”, str. 175.

³⁾ tamże, str. 175.

Dlatego jakże obcym w tym świecie jest Alojzy Darwid („Argonauci“), który do znaczenia i pieniędzy doszedł własną żelazną pracą; stanowczo ma w sobie coś z amerykańskiego spekulanta, ten „argonauta“ początkowo tylko, a potem, mówiąc Huxley'owskim językiem, „zboczeniec pracy“, która ma mu być haszyszem na życie.

RZECZY

STAN EKONOMICZNY

O położeniu ekonomicznym, beznadziejnym prawie i o licznych przyczynach, które do takiego stanu rzeczy doprowadziły, mówi dużo i wyczerpująco, przynajmniej o tyle, o ile pozwalały jej na to istniejące stosunki cenzuralne, Eliza Orzeszkowa, czasem bezpośrednio („Eli Makower“, „Rodzina Brochwiczów“, „Pompalińscy“), częściej pośrednio, malując życie społeczeństwa. Przede wszystkim zwraca uwagę na groźne położenie właścicieli ziemskich, w jakim znaleźli się po 63-cim roku. Aktem, który zachwiał bytem szlachty, było zniesienie pańszczyzny, które, przez rząd rosyjski wykonane zbyt pochopnie, stało się ciosem dla niejednego majątku. Praca przymusowa została usunięta, a na jej miejsce powstała praca wolna; a aby tę w ruch wprowadzić, trzeba było płacić, mówi Orzeszkowa wprost w „Elim Makowerze“¹⁾. Tymczasem jedynymi „posiadaczami kapitałów byli żydzi. Drugim ratunkiem mógł się stać duch przedsiębiorczości i oszczędności, wytrwałości w pracy, na koniec, pewnej giętkości tak karku jak charakteru, która pozwala człowiekowi ku czemuś dążącemu podleżeć tam, gdzie przejść lub przeskoczyć nie można, a jedynymi posiadaczami tych przymiotów byli znowu żydzi“²⁾. Dlatego właściciele nie mający niestety ducha pra-

¹⁾ „Eli Makower“, t. I, str. 35.

²⁾ „Eli Makower“, t. I, str. 35.

cowitości i wytrwałości, zaczęli wydzierżawiać majątki swe żydom, którzy mając pociąg do wszystkiego co jest dobrym interesem, tłumnie się na arendy rzucili; nie potrzeba dodawać, że w znacznej większości prowadzili oni gospodarkę rabunkową, wyjaławiającą ziemię doszczętnie. Kilkakrotnie podkreśla Orzeszkowa, że uwłaszczenie stało się przyczyną ruiny: w „Pompalińskich” ofiarą uwłaszczenia są Wandalinowie i Bobrówka, której „czterdzieści dusz poddanych wyemancypowało się, pracować nie chciało już inaczej jak za gotowe i znaczne pieniądze; podatki zwiększyły się niezmiernie, a nie można było uiszczać ich inaczej jak gotowymi pieniędzmi¹⁾”; w „Pani Luizie” gdzie jako przyczyny zmniejszenia się dochodu z majątku wymienia reformę stosunków włościańskich, zwiększone podatki, stagnację w handlu i kredycie. Zaznaczała, że czasy się zmieniły, że odtąd praca rolnika nie może się ograniczyć do rozporządzania pańszczyzną i zbierania złota-dajnych kłosów; rozumiała, że „dawniejszy sposób gospodarowania, wskutek odpadnięcia od niego siły roboczej, przedstawianej setkami rąk niewolnych, mnóstwu zmianom ulec musi; odtąd gospodarstwo takie, jakim uczyniły go zaszłe zmiany, potrzebuje niezbędnie pewnych gałęzi przemysłu, a przemysł ów pomocniczy, nie istniejący jeszcze prawie, sami tylko rolnicy do istnienia powołać mogą; rolnictwo nie może być już pacierzem za panią matką powtarzanym, lecz musi się opierać na nauce i wiedzy²⁾).

Tego wszystkiego trzeba było, a tymczasem zamiast energicznej pracy widziała, „że jedni stękając i uskarżając się żyli z dnia na dzień, bez nadziei i wyraźnego planu na przyszłość; inni nie stękali wprawdzie i nie wyrzekali, lecz nic też nie robili, oczekując wciąż czegoś, sami nie wiedząc dokładnie czego. Inni

¹⁾ „Pompalińscy”, t. I, str. 217.

²⁾ „Rodzina Brochwiczów”, str. 387—388.

jeszcze pozbywali się swej własności i na skrzydłach pary ulatywali tam, kędy spodziewali się znaleźć byt weselszy, a przede wszystkim łatwiejszy, inni na koniec zabierali się do niej nieumiejętnie, po wczorajszemu, to jest z niezrozumieniem warunków w jakich praca mogła być produkcyjną dziś¹⁾). Wreszcie u większości zwyciężała przekłeta zasada: „jakoś to będzie.... powoli.... powoli zobaczymy.... poprobujemy”. Jak sama Orzeszkowa powiada, były to wyrazy powtarzane w one czasy nie przez jednego Brochwicza, ale przez większość współobywateli jego, co brali je za mezo termino pomiędzy zupełną bezczynnością, której szkodliwość czuli, a energiczną czynnością do jakiej na razie jakoś zabrać się nie mogli²⁾). Wielu było takich, jak pan Jan Brochwicz, którzy rozumieli w teorii, jak wszystko urządzać trzeba, takich, jak Artur Darzyc, właściciel Kwiecina („Rodzina Brochwiczów”), latami projektujący, jak on to będzie gospodarzyć; ale nic nie robili na razie, a majątki ich szły na sprzedaż, aby nigdy już w polskie ręce nie wrócić. „Sumienie przemawiało w nich głośno, uczucie czyniło ich niemal bohaterami, gdyby jeszcze rozum!³⁾); niestety rozumu nie było, a był natomiast zbytek, lenistwo i wszystkie grzechy z bezczynnego życia wypływające. Oto co mówi autorka: „Brak dostatecznej ilości rąk do pracy około roli, ciężary z zewnątrz nakładane ogromne, zastój handlu, brak kredytu, gromady wyzyskiwaczy, wyczekujących złej dla nas, dobrej dla nich chwili, grunta nie zasiane, lasy wycięte, łąki zarosłe, dachy walące się lub obalone. Wśród tego wszystkiego zbytek i bezczynność. Na każdy dom po 3 fortepiany, na każdą pannę po 2 guwernantki, odkąd tylko posiedzie ręce zdolne do klawiszy i język do francuszczyzny; na

¹⁾ „Rodzina Brochwiczów”, str. 10.

²⁾ tamże, str. 34.

³⁾ tamże, str. 50.

każdego panicza po tuzinie tużurków, odkąd tylko odrośnie od ziemi i posiedzie zdolność przynoszenia mamie i papie honoru w salonach¹⁾. W okresie, który wymagał specjalnie umiejętnej gospodarki, cały trud zarządzania zepchnięty został na barki takich Szumskich („Rodzina Brochwiczów”), którzy w najlepszym razie prócz poczytliwości, żadnych zalet nie posiadali. A nawet, gdy czasem zdarzył się wypadek, że potrafiliby rozumnie gospodarzyć, to żadnych ulepszeń wprowadzić nie mogą, bo właściciele na żadne wkłady zezwolić nie chcą, żądając ciągle jaknajwięcej pieniędzy („Pierwotni”). Latami całymi do kraju nie zaglądają ci, którzy, mając duże majątki, najbardziej mogliby się przyczynić do podniesienia dobrobytu kraju; fortuny przegrywają, sypią pieniędzmi, zadziwiają świat rozrzutnością, o jakiej my dziś, skromni ludzie kryzysu, pojęcia mieć nie możemy. Kiedy w końcu przyjeżdżają do kraju, są zrujnowani fizycznie, moralnie, majątkowo i niewielka z nich pociecha. Inni, których na aż tak pańskie gesty nie stać, wydają tygodniowe rauty, wielkie bale, prowadzą wykwintne salony i jedynie w lecie zaglądają do swoich posiadłości, gdzie tymczasem zboża gniją na polu niezebrane, bo chłopci „na pańskie” iść nie chcą, a i sprowadzenie kolonistów niemieckich nie na wiele się przydaje, zwłaszcza, gdy okaże się, że są ekskapelą, jak u Brochwiczów. U innych jeszcze pokutują zamiłowania do sztuk i romantyczne pragnienia, które im nie pozwalają „parać” się gospodarką. Tak, że gdy znajdują się tacy, jak Benedykt Korczyński („Nad Niemnem”), Mieczysław Orchowski („Eli Makower”), czy Zenon Hornicz („Bracia”), którzy za wszelką cenę chcą się przy ojcowiznie utrzymać, to mają do spełnienia zadanie tak trudne, że zamienić się muszą w woły robocze, o wszystkim innym zapomnieć. Nikt im nie pomoże, kredytów brak, a pożyczki żaden

¹⁾ „Rodzina Brochwiczów”, t. I, str. 86.

z tych wielkich panów nie udzieli, nawet krewnemu, bo pieniędzy im potrzeba to na nowe, modne obicie na meble, to na wyjazd za granicę, to na sprawienie córce tualet do wyprawy. Tak więc każdy z tych ludzi jest sam, a bronić się musi nie tylko przeciw represji z góry, ciężkiemu położeniu, ale przeciw różnym Makowerom, itp. faktorom, którzy ich swymi matactwami oplatają. Tak z jednej strony szalony taniec na ruinach, albo głupia, tępa bezczynność — z drugiej samotna walka jednostek, wyczerpująca siły ducha i ciała, często bezskuteczna, śmiertelne niosąca znużenie. Zresztą ci ostatni, od lat ośmdziesiątych zwłaszcza, coraz mniej znajdują zrozumienia u ogółu, który o nich tak myśli, jak baronowa Lamoni o Stefanie Darnowskim („Australczyk”): „wyrósł na pięknego chłopca, ale dzikus jakiś, bez żadnej elegancji, ani ambicji. Kiedy mówiłam mu, że daremnie siedzi jak grzyb na wsi, bo mógłby na świecie karierę zrobić i życia lepiej użyć, śmiał się tak, jakbym od rzeczy plotła¹⁾”. Dla tych wszystkich Rosnowskich, Drzewieckich, co w poszukiwaniu „pasztetu” rozeszli się gdzieś w góry Uralskie, do Kurlandii, a nawet Azji, co najmniej niezrozumiałe, na nazwę dziwactwa zasługujące jest postępowanie Darnowskich, mimo wykształcenia (Stefan) gospodarujących w małej Darnówce. Według nich „przesądem jest, że człowiek przez miłość do ziemi, czy dla kobiety, czy dla jakiejś grupy ludzi, wyrzekać się powinien doprowadzenia swego indywidualnego wzrostu do miary możliwie najwyższej i zdobywania w mierze najwyższej tego, w czym upatruje swoje szczęście²⁾”. Tak więc element najzdolniejszy bardzo często uchodzi, oddaje się w służbę obcemu państwu, nie dlatego, żeby w kraju rodzinnym brakło im chleba i możliwości życia, bo „co się tyczy możliwości, to pewno

¹⁾ „Australczyk”, str. 30.

²⁾ „I pieśń niech zapłacze”, str. 15.

znalazłaby się jakakolwiek, ale że niezbyt świetna, ani wesola, to prawda. Takie zapadłe kąty potrzebują gwałtownie ludzi oświeconych¹⁾. Te względy nie przemaływały jednak do tych, dla których „ojczyste, ojczysty, ojczyzna — skarpetka cerowana, jedna z tych etykiet, którymi oblepiają się ludzie“, dla których „wszystko jedno, gdzie żyć, byle uczciwie i wygodnie“ (Dominik Korczyński — „Nad Niemnem“). Co im to przeszkadza, że w pogoni za karierą zatracają swoje „cki“, bo trudno je Niemcom wymówić (Graf Pomienieck „Pierwotni“), że zamieniają się w manekiny, żadnych przekonań, upodobań, sympatyj własnych nie mające. „Jak wasza ekscelencja, tak i ja!“²⁾. I owszem, dumni są z medali, orderów, które uzyskali za wierną służbę przy dworze, za oprowadzanie po mieście, za wychodzenie na dworzec po wielkie osobistości, dumni są z wpływów, które zdobyli dzięki giętkości karku i temu: „jak wasza ekscelencja, tak i ja“. Ci wszyscy, co „z pacierza za panią matką powtarzanego najbardziej zapamiętali słowa chleba naszego powszedniego, daj nam...“³⁾, chlubili się z swej umiejętności przystosowania się do istniejących warunków: „my ludzie pozytywni, gruntowni, nie znamy i znać nie chcemy nic, prócz trzech rzeczy, którymi są fakt, cyfra, interes“ („Liść uschły“). Zresztą, co to wszystko inne znaczy wobec zasady: dopóki żyję „vive la vie“ (Wiktor Hornicz „Bracia“). Ale czy mimo pieniędzy, stanowisk, wpływów gdzieś w Wiedniu, Berlinie, czy za Uralem uzyskanych są szczęśliwi? Pewnie, niektórzy, tylko „zjadacze chleba“, do końca życia dumni będą, że córka za pułkownika rosyjskiego poszła (Dominik Korczyński „Nad Niemnem“), czy, że „von“ im przed nazwiskiem kładą („Pierwotni“); do końca zadowoleni będą ci, dla

¹⁾ „Australczyk“, str. 105.

²⁾ „Liść uschły“, str. 145.

³⁾ tamże, str. 145.

których „vive la vie“ jest wszystkim. Ale inni, co choć kawaleczek duszy myślącej zachowali, wcześniej czy później zrozumieją, że nie samym chlebem człowiek żyje: i przyjdzie do nich tęsknica gdzieś z zapadłej rodzinnej wsi, hen, spod białowieskiej puszczy („Czy pamiętasz“), czy litewskiego zaścianka („Kariery“); przypłynie mimo wszystko wspomnieniem jakiś las w Kalinówce („Liść uschły“), zachodzącym słońcem prześwietlony, i dziewczyna, o jasnym grubym warkoczu i... ideałach. Ale, ponieważ „praeterita magis reprehendi possunt quam corrigi“, nie pozostaje im nic innego, jak tylko, albo zagłuszyć głos duszy, wmawiać, że dobrze jest jak jest, w płaskich rozkoszach się zanurzyć, uciszyć w sobie człowieka, albo gdy to zbyt ciężkim się stanie, palnąć sobie w łeb („I pieśń niech zapłacze“), czy pić, w pijanym śnie do rodzimej pachnącej ziemi przypaść wyplakać na niej swój wszystek ból i zbudzić się znowu... w brudnej, zaplutej knajpie obcego miasta („Kariery“). Tak wyglądają „wyżyny“ narodu, pany, panky i szlachta. A inne warstwy? Te liczne rzesze urzędników, oczywiście niższego stopnia (wyższe dla Rosjan tylko) w wielu wypadkach z różnych przyczyn „niedouczków“, nie mogących końca z końcem związać, strwożonych, wylękłych, żeby i tych nędznych placówek życia nie stracić, te na pewno nie mogły się przyczynić do poprawienia stosunków ekonomicznych. Zaścianek? Kiedy i tu bieda zęby szczerzyć zaczyna, a przyszłość trwoga serce napawa: „dzieci nasze pod tymi grudkami ziemi, których powiększyć nie jesteśmy silni, jak głodne robaki nie w czas poginą, a wnuki z dopustu Bożego chyba już na psy zejda... ród nasz jak woda, z góry do głębokiego rowu, z tego miejsca spłynie i pamięć o tym, że my tu niegdyś żyli, przepadnie...“¹⁾ Wobec pragnienia posiadania przez każdego z nich własnej ziemi,

¹⁾ „Nad Niemnem“, t. II, str. 234.

wobec ogólnego zubożenia trudno znaleźć wyjście: „co ja z synami zrobię, jak wszyscy wyrosną, a żenić się zechcą?“, trapi się Fabian i tylu jemu podobnych. „Dawniej w obowiązki szli i podczas dorabiali się czego, teraz i to trudno. Dzierżawkę, żeby i miał który za co wziąć, także trudno, bo na wielkie nie wystarczy, a małych naokolutko tak, jak prawie nie ma słowem ani, wtedy, ani siędy¹⁾ A co gorsza, jest jeszcze jedna przyczyna niedoli, najważniejsza, choć ze zrozumiałych względów ostrożnie wyrażona: „ziemi przykupić, żeby kto nawet siły do kupy wzięwszy na pieniądze i wzmógł się, dla inszej przyczyny nie można²⁾ Nie trzeba zaś zapominać, że najzamoźniejsi mają dwadzieścia morgów, a są i tacy, co i pół beczki zboża nie wysiewają. Co z tymi? Do tego wszystkiego dodać trzeba niski poziom umysłowy, który im nie pozwala umiejętnie gospodarzyć, i fakt, że z tym wszystkim zdani są na samych sobie i nie mogą się znikąd pomocy ni rady spodziewać.

Chłopi? Te biedaczyska ciemne i naiwne z „nizin“, czy choćby ci trochę zamożniejsi, co w własnych chatkach siedzą i jaki taki dostatek mają — nad tymi długo trzeba będzie pracować, i dużo światła, i dużo serca wnieść do ich mrocznych izb, zanim będą mogli coś dać z siebie dla powszechnego dobra. Tak więc reasumując wyżej powiedziane, na beznadziejne położenie ekonomiczne społeczeństwa polskiego po 1863 r. złożyły się z punktu widzenia Elizy Orzeszkowej: uwłaszczenie, ciężary i represje jako skutek powstania styczniowego, brak uprzemysłowienia, niski stan oświaty, brak dróg, zakaz nabywania ziemi, brak ducha obywatelskiego objawiający się „ekspatriacją“ u najuboższych, wreszcie celowa polityka rosyjska, dążąca do zduszenia i zepchnię-

¹⁾ „Nad Niemnem“, t. II, str. 152.

²⁾ tamże, t. II, str. 152.

cia na plan ostatni Polaków. Nie pozostaje obecnie nic innego, jak przedyskutować przyczyny podane przez Orzeszkową i stwierdzić, czy i w jakiej mierze są słuszne. Weźmy pierwszą — uwłaszczenie. Uwłaszczenie przeprowadzone zostało przez rząd rosyjski z konieczności, dlatego, że nadał je¹⁾ Powstańczy Komitet Centralny w swej odezwie, popartej dwoma dekrety z dnia 22 stycznia i 10 maja 1863 roku, potwierdzonymi później przez Rząd Narodowy. Wskutek tego było ono nie tyle reformą społeczną, ile koniecznym manewrem politycznym, polityczne cele mającym na oku. Aby zdać sobie z tego sprawę, należy się bliżej przyjrzeć sposobom, w jaki zostało dokonane uwłaszczenie, pomyślane jako ostateczny cios zadany powstaniu z jednej strony, a jako przynęta mająca na wieki włościan dla Rosji pozyskać, z drugiej. Główna treść ukazu z roku 1864 zawarta jest w trzech punktach. Pierwsze: grunta zostające w posiadaniu włościan przechodzą w zupełną własność włościan, drugie: od 15. IV. 1864 roku włościanie uwolnieni zostają raz na zawsze od wszelkich powinności na korzyść dziedziców, na przyszłość wносить będą do Skarbu podatki gruntowe; trzecie: dziedzice otrzymują wynagrodzenie od rządu. Własność osad i gruntów nadanych w roku 1864 była zupełna. Artykuł 9-ty stanowił: „Wraz z gruntem stają się zupełną własnością włościan wszystkie znajdujące się na tym gruncie budynki gospodarskie, a również inwentarz, jako to i roboczy inwentarz, narzędzia i nasiona“²⁾. Dalej, co najważniejsze, artykuł 2-gi mówi: „Włościanie, choć otrzymują osady na własność, zachowują prawo na te dogodności (serwituty), z których w czasie obecnym korzystają, bądź na zasa-

¹⁾ por. Grabski „Społeczne gospodarstwo agrarne w Polsce“, str. 359.

²⁾ p. Grabski „Historia wsi w Polsce“, str. 366. p. Świętochowski „Historia chłopów polskich“.

dzie tabel prestacyjnych, umów ustnych, bądź na zasadzie zwyczaju, jako to prawo do otrzymania budulcu, drzewa opałowego, na zbiórkę suchego i leżącego drzewa, liści na ściółkę, do pastwiska w lasach folwarcznych, bądź też na polach dworskich czy folwarcznych. Jeżeli w 1848 korzystali z serwitutu, następnie zostali tych praw pozbawieni nie na zasadzie ugody dobrowolnej, zatwierdzonej drogą urzędową, i nie na zasadzie urzędowego postanowienia z roku 1862, to prawo włościan do serwitutu wznawia się¹⁾. Uwłaszczenie miało zatem polityczne cele na oku. Rząd rosyjski całkiem zresztą otwarcie na wstępie do ukazu głosił, że to „nagroda dla włościan, iż nie słuchali „buntowników“, a Komitet Urządzający wyraźnie mówił, iż przy uwłaszczeniu należy się starać o to, by włościanstwo było kartą przeciw dążnościom rewolucyjnym szlachty“.

Zgodnie więc z tym przeprowadzono uwłaszczenie w sposób pozostawiający na długi czas zarzewie niezgody między dworem a wsią przez pozostawienie szachownic gruntowych i nieuregulowanie sprawy serwitutów. Oto co ukaz i postanowienie Komitetu Urządzającego stanowiły o zamianie gruntów i serwitutów. Artykuł 12-ty zapowiadał, że przypadki, w których uchylenie służebności na żądanie dziedzica dopuszczone być nie może, i przepisy co do sposobu obliczenia przypadającego włościanom wynagrodzenia, osobnym prawem postanowione zostaną“. Artykuł 24-ty zaś stanowił, że separację gruntów dopuszcza się na żądanie jednej ze stron, byleby włościanie nie otrzymali ani mniej, ani też gorszego gruntu. Zaś kwestie, w jakich razach żądanie rozseparowania i zamiany gruntów jednej strony staje się dla drugiej obowiązującym, oraz przepisy o rozdzielaniu wspólnych pastwisk, miały być uregulowane w dodatkowych rozporządzeniach. Ostatecznie jednak

¹⁾ p. Grabski „Historia wsi w Polsce“, str. 367.

artykułom 12 i 24 nigdy nie stało się zadość, bo, jak powiada Grabski, „ukaz z 1864 roku miał na celu dogodzenie włościanom ze względów politycznych, a nie urządzenie włościan dla dobra kraju“¹⁾. Ostatecznie w tym wszystkim jeden szczegół wymknął się niedostrzeżony uwadze chłopów, jak to podkreśla Świętochowski. Mianowicie, podatek gruntowy, który przez 50 lat wnosili do Skarbu na pokrycie wynagrodzenia dziedziców, nie miał ściśle oznaczonego terminu, tak, że przerósł znacznie wysokość ich długu, czyli, że nadaną ziemię zapłacili bardzo drogo, zostali przez rząd wyzyskani, jeśli nie można rzec, oszukani. To były ogólne założenia przyświecające rządowi rosyjskiemu przy przeprowadzeniu uwłaszczenia, ujemnie wpływające na położenie ziemian. Poza tym dużo strat poniosły poszczególne jednostki wskutek braku ładu w realizowaniu samego uwłaszczenia. „Rosja rzuciła na Królestwo zgraję warcholów ekonomicznych, o zasadach wyższego porządku nie mających pojęcia, którzy idąc dalej, niż poszło samo prawodawstwo, rozdarowywali cudzą własność najnierozsądniej, np. po czwartej części izby służącym folwarcznym, ilekroć w jednej izbie mieszkało 4-ch, to kilkanaście prętów ziemi, gdy taka przestrzeń dana podówczas na ogród pod warzywo była dodatkiem do zasług itp.“²⁾. Właściciele gruntów otrzymali wynagrodzenie, zresztą skąpo obliczone w listach likwidacyjnych, które amortyzowano głównie z podatku nałożonego na ziemię. Tak by się przedstawiała zatem sprawa uwłaszczenia. Inną, często przez Elizę Orzeszkową wymienianą, przyczyną ciężkiego położenia, w jakim znalazło się społeczeństwo polskie, były nowe ciężary. Jak ta sprawa wygląda w rzeczywistości? Otóż na społeczeństwo polskie istotnie spadły ciężary, jako represje

¹⁾ Grabski „Historia wsi w Polsce“, str. 374.

²⁾ Wrotnowski „Porozbiorowe aspiracje narodu polskiego“.

za powstanie w formie przeróżnych i wielokrotnych opłat. Tak np. na maszyny zsympowe gromadzkie za strażę włościańskie, zwrot opłat za różne kawałki ziemi, odeszłej dla włościan z gruntów obywatelskich około 1870 roku, a które wedle tłumaczenia ówczesnych cyrkularzy powinny były do nich należeć od 1-go lipca 1863 roku, zwrot czynszów należnych od włościan za czas przejściowy i pobieranych przez obywateli z kas powiatowych, wreszcie ostateczny obrachunek o indemnizację, z której stracono jakieś zaległości rządowe, z 3-go i 4-go dziesiątka dziewiętnastego stulecia. Obrachunek taki stawał się wyraźną ruiną dóbr ziemskich, zwłaszcza jeśli ciążył na nich hipoteczny dług petersburskiej „Sochrannoj-kazny“. A dodać trzeba, że rzadki był majątek ziemski, który by nie miał na sobie tego długu; był to bowiem bardzo wygodny kredyt, z którego pokolenie poprzednie chętnie korzystało. Poza tym nałożono na Polaków podatek nadzwyczajny, ściągnięty po raz pierwszy na Litwie przez Murawiewa w 1863 roku, a następnie naznaczany ciągle na każde 3 lata z góry. Więc początkowo była to kontrybucja wynosząca 10% od dochodu i naznaczała ją najpierw administracja powiatowa samodzielnie, zaś w roku 1866, aby zapobiec nadużyciom, ustanowiono powiatowe komisje dla prawidłowego obliczenia dochodu, a sam podatek zredukowano do pięciu procent i nazwano go pięcio procentowym“. Do Komisyj Powiatowych weszli wtedy ziemianie z obowiązkiem czuwania, aby pobór równomiernie wszystkich obciążał. Po pewnym jednak czasie zasadę pierwotną 5% podatku bez wyraźnych rozporządzeń usunięto i wprowadzono nową przez naznaczenie pewnej sumy na każdą gubernię. Dodać należy, że sumy te obciążały niezmiennie budżet gubernii, podczas gdy własność podległa temu podatkowi zmniejszała się przez wysprzedaż, tak, że o ile ubywało własności polskiej, o tyle pozostała była obciążona coraz większym po-

datkiem. Tak że np. gubernia Mińska obowiązana była uiszczać co rok przeszło 200 tysięcy rs., a inne litewskie i białoruskie mniej więcej podobne kwoty. Podatek ten poważnie obciążał i tak już zadłużone gospodarstwa, tym bardziej, że znaczna liczba osób ze sfer dobrze usytuowanych potrafiła wyjednać sobie zwolnienie od tego powszechnego dla Polaków podatku, a w takim razie część zdjęta z ich wielkiego mienia była rozkładana na pozostałe ziemie, zwykle mniej zamożnych, przeciętnych śmiertelników. Jako dalszą przyczynę wysuwała Orzeszkowa brak kredytów. Posłuchajmy, co o tym mówi Erazm Piltz: „Po zatwierdzeniu trzech kas zaliczkowo-wkładowych (w Kutnie, Wiskidkach, Ozorkowie), dalsze zakładanie takich stowarzyszeń, było przez kilkanaście lat wstrzymane. Towarzystwom kredytowym, przemysłowym, akcyjnym, samopomocy, robiono wielkie trudności. Dopiero w roku 1897 zaczęto pozwalać na zakładanie towarzystw rolniczych, a dopiero po roku 1905 znalazła się możliwość tworzenia wszelkiego rodzaju spółek i stowarzyszeń, które też w ciągu lat paru pokryły siecią kraj“¹⁾. Jak wiadomo, w 1899 r. dopiero powstały pierwsze syndykaty rolnicze, a głównemu działaczowi na tym polu, Stanisławowi Chełchowskiemu, w roku 1907 udało się doprowadzić do utworzenia Centralnego Towarzystwa Rolniczego, które stało się potężną instytucją szerzenia kultury rolniczej, zwłaszcza wśród włościan. Zresztą wszelka działalność na tym polu była utrudniona, wszak za pozwoleniem władzy tylko mogły się odbywać zebrania, prawie nigdy niedozwolone, i zawiązywać stowarzyszenia²⁾. Samo społeczeństwo zdawało sobie zresztą sprawę z tego poważnego niedomagania, czego dowodem liczne uskarżania się na łamach ówczesnych dzienników. Jako przykład weźmy artykuł

¹⁾ Erazm Piltz „Polityka rosyjska w Polsce“, str. 60.

²⁾ Patrz St. Kutrzeba „Historia ustroju Polski“, t. III, str. 141.

z „Kraju“ rok 1883 nr. 9-ty. „Z Nowogródka gub. Mińskiej piszą do „Gazety Polskiej“: Brak kredytu jest u nas największym, najbardziej niebezpiecznym szkopułem, o który rozbija się najwytrwalszy rolnik. Mamy co prawda w naszym kraju parę instytucyj, założonych niby celem dostarczenia taniego kredytu naszym rolnikom (Wileński Bank Ziemski, Mińskie Towarzystwo Kredytu Wzajemnego); tymczasem owe „tanie“ instytucje wypożyczają na gorszych może niż warunki stawiane przez lichwiarzy. Np. Mińskie Towarzystwo Kredytowe wypożycza na 10% i nie na dłużej niż 6 miesięcy, co zaś do Wileńskiego Banku, to chociaż de jure wypożycza na 7% dla przynęty, de facto jednak posiada tyle haków i haczyków, przykrytych zrzecznie 7-miu procentami, że zahacza każdego, co się zbliży doń przez swą nieświadomość“. W „Kraju“ nr. 26 z 1883 roku czytamy znowu: „lecz przemilczeć trudno o zupełnym braku kredytu rolnego, paraliżującego wszelkie stosunki na szerszą skalę i oddającego najoszczędniejszego gospodarza nawet przy pierwszym niepowodzeniu po prostu w ręce lichwiarzy. Wiadomo, że żaden przemysł bez taniego kredytu obejść się nie może“.

Oczywiście do tego braku kredytu dodajmy nie tylko brak jakiejkolwiek inicjatywy, czy pomocy ze strony państwa, ale to o czym Orzeszkowa z pewnością wiedziała, ale mówić nie mogła, celową politykę rosyjską celną i taryfową, mającą na celu zupełne utracenie „zachodniego kraju“. Wystarczy przypomnieć zalewanie rynku Królestwa zbożem, mąką i żywym mięsem, tak, że w porównaniu z Galicją i zaborem pruskim ceny na zboże były, o 20% niższe. Polityka rosyjska celna i taryfowa szła przede wszystkim w kierunku ochrony swych surowców. Nie mogło np. Królestwo eksploatować swoich rud żelaznych, gdyż eksport drogami wewnętrznymi był zakazany, żeby nie stwarzać konkurencji wywożonym drogą morską rudom przyworońskim. Naftę

i jej produkty trzeba było sprowadzać z odległego o tysiące kilometrów Baku, a nie z sąsiedniego Podkarpacia. Znaczna część Królestwa pozbawiona była kolei ze względu na rosyjskie plany strategiczne, zresztą jak się okazało — mylne. Wreszcie celowo i konsekwentnie rząd rosyjski tamował szerzenie się postępowej myśli rolniczej, w obawie o utratę swego monopolu oddziaływania na włościan. Do gminy nie miała dostępu inteligencja, prócz pisarza gminnego, kreatury rządu. Właściciele ziemscy poza gminą nie mieli innych punktów styczności z ludem. Dla rządu rosyjskiego towarzystwa rolnicze, kółka, kooperatywy i wystawy rolnicze, były to rzeczy niebezpieczne, mogące podkopać aureolę urzędników jako opiekunów ludu. To też przez czas bardzo długi do tego wszystkiego, co miało za sobą kulturę i postęp nie dopuszczano wcale. Gdy w zaborze pruskim i Galicji w końcu XIX w. pełno było towarzystw rolniczych, kółek, kooperatyw, w Królestwie Polskim dopuszczona była do działania jedna tylko sekcja rolna „Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu, rolnictwa i handlu“ w Warszawie¹⁾. Jest jeszcze jedna przyczyna przez Orzeszkową wyrażona: ta oto troska Fabianowa („Nad Niemnem“): „choćby się kto wzmógł na siłę, to ziemi i tak przykupić nie można“. Jak wiadomo, polityka agrarna rosyjska dążyła do wykupu ziemi z rąk własności polskiej w ręce rosyjskie, a służyć do tego miało z jednej strony opodatkowanie polskiej własności, o czym była już mowa wyżej, a z drugiej strony zakaz nabywania ziemi za Niemnem i Bugiem przez Polaków. Ustawa z 10-go grudnia 1863 roku zakazywała osobom polskiego pochodzenia nabywać ziemię w „kraju zachodnim“. Oto jak brzmi tekst ukazującego Rządzącego Senat z dnia 23-go grudnia 1865 roku: „Najwyżej zatwierdzona Komisja przyjęła pod uwagę, że w 9-ciu guberniach

¹⁾ St. Grabski „Historia wsi w Polsce“, str. 417 i następne.

zachodnich, na 10-milionową ludność, głównie mało-ruską, białoruską i w części litewsko-żmudzką, przypada względnie nieliczna bardzo ilość ludności pochodzenia polskiego; że ludność ta, składająca się przeważnie z obywateli i mieszczan, nadała całemu krajowi charakter polski i przeszkadza reszcie wcale nie polskiej ludności prawidłowo rozwijać się i korzystać na równi z innymi poddanymi rosyjskimi z wielu reform zamierzonych przez Jego Cesarską Mość, i że siła tej klasy polega na korporacyjnym ograniczeniu władania nieruchomością, nie pozwalającym wcisnąć się żadnej innej narodowości, a szczególnie rosyjskiej. Wobec takiego stanu rzeczy, zdaniem Komisji, rząd powinien użyć takiego środka, który by za pomocą usunięcia osób pochodzenia polskiego od prawa nabywania majątków w kraju zachodnim, nie ograniczając legalnych praw własności, teraźniejszych obywateli Polaków, powstrzymał ostatecznie wzmocnienie tej klasy". W związku z tym wydane zostało rozporządzenie, zakazujące przechodzenia własności ziemskiej w ręce Polaków, wszelkimi drogami, prócz beztestamentowego spadku. Dnia 5 marca 1866 roku zaś nadał rząd rosyjski Rosjanom, nabywcom majątków w „kraju zachodnim“, następujące przywileje: uwolnił ich od opłaty podatku stemplowego i wpisowego, rozłożył na terminowe raty wszelkie ciążące na majątkach długi kredytowe i skarbowe, wreszcie nadał prawo wyrabiania wódki. Poza tym udzielono im pożyczek pieniężnych, w stosunku do połowy, a następnie do 2/3 szacunku. Dnia 10 grudnia 1866 roku zatwierdzona została ustawa specjalnego Towarzystwa celem udzielania kredytu nowym nabywcom ziemi w „kraju zachodnim“ i Towarzystwu temu udzielony został kapitał ze Skarbu w wysokości 5.000.000 rs. Towarzystwo to wykupiło w ciągu roku swego istnienia 26 majątków około 70.000 dziesięcin. Nie mówiąc już o bezpośrednim oddziaływaniu tego prawa, które po części przeniosło

własność ziemską z rąk obywateli Polaków w ręce Rosjan i Niemców, utrudnione przechodzenie ziemi obniżyło jej cenę, za czym poszło zahamowanie kredytu bankowego i prywatnego, zmuszając właścicieli ziemskich, potrzebujących gotówki, do pozbywania się wszystkiego, co się dało spieniężyć. Na ten czas właśnie przypada wprowadzenie gospodarki rabunkowej, przez wekslarzy i geszeftmacherów w rodzaju Elego Makowera i innych. Dodać do tego wszystkiego należy jeszcze przymusową konfiskatę majątków w wypadku, gdy władza miała w podejrzeniu uczucia patriotyczne danych obywateli, nie mówiąc już o zniszczonych i spalonych wsiach, skonfiskowanych majątkach, nadanych Rosjanom za zasługi w sprawie zgniecenia „miałieży“ przez samego Murawiewa od razu po upadku powstania¹⁾.

To jedna strona medalu, a druga — to ów brak ducha obywatelskiego, solidarności, sobkostwo, marnotrawstwo i lenistwo, znane nam z powieści Orzeszkowej. Oto, co czytamy w „Kraju“ w n-rze 25 z roku 1882 „o racjonalnym uprawianiu ziemi nikt nie myśli nawet, a bardzo nieliczne wyjątki, wprowadzające u siebie meliorację pól kośmi, sianie buraków i rzepy na karm dla bydła, służą raczej za przedmiot drwin i żartów.

„Pozostali właściciele większych posiadłości pod względem inteligencji dadzą się podzielić na 3 kategorie. Jedni, odziedziczywszy po przodkach razem z majątkiem zamiłowanie do cudzoziemczyzny, ciągle jeszcze zwracają tęskne spojrzenia na Paryż, mówią o dawnych dobrych czasach, zmaterjalizowanej obecnie Rzeczypospolitej Francuskiej, odzywają się z pogardą o tamtejszych zmarłych i żyjących episjerach i czerpią pokarm

¹⁾ Rawita-Gawroński „Konfiskata ziemi polskiej przez Rosję po roku 1831—63“; J. Iwaszkiewicz: „Wykaz dóbr skonfiskowanych przez rządy zaborcze 1773—1867 r.“

duchowy w powieściach „Revue de deux Mondes“, w skandalach „Figaro“, w dowcipach „La vie Parisienne“, drudzy to także zabytek przechodzący stopniowo w dzieje tradycji, to skarłowacieli epigoni dawniejszych sejmikowiczów. Inteligencja ich redukuje się do zera, a zakres działalności do dobierania czwórek na jarmarkach, urządzania od czasu do czasu bardziej kieliszkowych aniżeli rzeczywistych polowań i wyszukiwania posażnych panien, nie wybrednych w sprawach wydawania się za mąż“. Albo co czytamy w tymże piśmie nr. 14 z r. 1883 (Głębokie, powiat Dzisnieński): „O zaprowadzeniu jakichkolwiek zmian w uprawie roli mowy nie ma. Przedpotopowe marzenia wciąż jeszcze pokutują; odwieczna socha dotąd jeszcze nie daje się zastąpić pługiem itd. Zresztą tradycyjne zwyczaje praktykują się na szeroka skalę wśród mniejszych i większych posiadłości, gdyż z bardzo małym wyjątkiem gospodarstwem kierują u nas wyłącznie ekonomowie, dla których wszelka nowość, chociażby w postaci pługu, jest wymysłem Antychrysta, a nie podobna przedstawić, ile trudności zwalczyć musi każdy gospodarz, chcąc w czymkolwiek odstąpić od zeszlowiecznych porządków. Pierwsze veto głośnie lub ciche stawia ekonom, za nim cała hierarchia wykonawcza; uparte niedowierzanie koszlawi nieraz niezbędnie potrzebne projekta i zmiany. Pośród żyjącej szczęśliwie generacji szlacheckiej mieliśmy często dość wojskowych, gdzieniegdzie kandydatów praw i dyplomatów, ba i nawet filozofów, ale agronomów a przynajmniej ludzi, którzy by z sumiennej praktyki gdzieś w dobrze urządzonym gospodarstwie przynieśli choć drobne ziarno dla wzbogacenia zaniedbanej ojcowizny, dotąd nie spotykaliśmy wcale. Własność ziemską była przywilejem zwalniającym od wszelkiej pracy; obywatel w większym i mniejszym znaczeniu tego słowa czuł się powołany do używania jedynie; oficjalistów, wytresowanych na dobrych, brakło nam również jak

i wykształconych właścicieli. Cóż więc dziwnego, że u nas system gospodarczy skamieniał w średniowiecznym zastoju. Dziś ten i ów dochodzi do przekonania, że postęp i nauka nawet i do roli mogą się zastosować, a osobista praca jest jakby czymś w rodzaju obowiązku.“

Albo gdzie indziej w „Kraju“ w n-rze 4-tym z roku 1884 czytamy: „Większą naszą własność ziemską stanęła nad przepaścią bankructwa i ryczałtowej likwidacji; mniejsza wygrzebać się nie może z przygnębiającej ją rutyny zacofanych trybów gospodarczych; przemysł nasz i handel w rękach cudzoziemców, obczyzna zagraniczna i domowa osaczyła wszystkie źródła i wszystkie ujścia przedsiębiorczości.“

Świadectw podobnych przytaczać można by bez końca. Że postaci w stylu pana Graby, Brochwicza Mariana, młodego Pompalińskiego, Tarzyca, czy milionera z „Jednej setnej“, były na porządku dziennym, między innymi świadczy notatka umieszczona w 21 n-rze „Kraju“ z roku 1883. „Jakiś magnat litewski, prawdopodobnie z liczby „nieobecnych“, właściciel ogromnych lasów gubernii Mińskiej, rozpościągających się na 22 mile kwadr. (zapewne dla podniesienia gospodarstwa krajowego), oddał je w 24-letnią dzierżawę kupcowi starozakonnemu, za czynsz roczny 60.000 rs.“ Albo inna z „Kraju“ z roku 1887 — n-ru 27: „Młode latorośle dwóch eksceleńcy łączą się w stadło małżeńskie i używając życia w zupełności upajają się nim od razu. Przy dochodzie rocznym 37.000 rs. w przeciągu trzech lat długi rachują się już na krocie, bo małżonek uprawiający namiętnie szlachetny sport kupuje w stolicy parę wierzchowców za skromną sumkę... 10.000 rs.“ Oczywiście przychodzi nam na myśl w tej chwili ordynat Zrębski („Pan Graba“), czy Kazio Ręczyc („Eli Makower“).

Do tego wszystkiego dodajmy brak dróg uniemożliwiający racjonalne gospodarowanie i uprzemysłowienie gospodarstw rolnych. Znamy dzisiejszy ich stan, tym ła-

twiej wyobrazimy sobie, jak wyglądały drogi gdzieś kilkadziesiąt lat wstecz. Oto posłuchajmy relacji z grodzieńskiego, umieszczonej w „Kraju“ z roku 1883 w n-rze 9-ym. „Natomiast powiat wołkowyski jest głównym zbiornikiem zastoju w życiu gubernii grodzieńskiej. Żle uposażony od samej natury, bo w piaski i łąki bagniste, nie posiadający kolei żelaznej, ani żadnych ulepszonych środków komunikacji, prócz jedynej rzeki splawnej, Narwy, która zresztą tylko drzewo z przerzedzonych już lasów naszych Niemcom dostarcza, żyje on pod względem ekonomicznym tak, jak żyło się 50 lat temu. Różnica w tym tylko, że dawniej na ziemi naszej siała żyto szlachta, a dziś przeważnie żydzi, bo pierwsza ze zmianą warunków politycznych i społecznych przed nimi ustąpić musiała“. Albo innej z „Kraju“ rok 1883 nr. 45: „Głębokie, powiat dziśnieński. Kolej zaczyna tylko o jeden brzeg naszego powiatu, pocztowym gościńcem nie wszędzie dojechać można, reszta dróg zaś, to cała sieć niemiłosiernie pokrzywionych ścieżek, przypominających raczej miedzę dla zający, niż drogę, po której ludzie mogą jeździć bez narażenia karku. W zimie wioski niedostępne: na wąskich ulicach wznoszą się góry śniegowe, malownicze, ale jak wszelkie góry nie-
drogi wycpane
 zmiernie utrudniają komunikację. Przejazd jakiegoś rządowego dygnitarza psuje czasem porządek rzeczy: następuje wówczas rzeź gałęzi, młodych drzewek, groble wyścielają starannie, mosty zjawiają się na swych stanowiskach. Wszystko to urządzone z niezmiernym pośpiechem, nie jest ani trwałe, ani bezpieczne; przejazd udaje się jakoś, a potem stary porządek wraca. Dróg nikt nie naprawia, nikt się o nie nie troszczy, w tym stanie trwają od niepamiętnych czasów; przypatrzwszy się uważnie można by było dostrzec ślady wojsk, z którymi Witold ciągnął na Krzyżaków“.

A jak się przedstawiają często wymieniane przez Orzeszkową: lekkomyślność, zbytek i marnotrawstwo,

które wydają się nam u niej czasem nawet przejaśkrawione. Posłuchajmy, co pisze „Kraj“ z roku 1886 w n-rze 42: „Ujemnymi stronami życia ziemianstwa są: brak wszelkiej solidarności i nieumiejętność jednoczenia się do pracy wspólnej, zakopywanie się w odosobnieniu ściśle familijnym, nierzadkie objawy buty rodowej, idącej zwykle w parze z nieuctwem grubym, upadlającym, ze wstrętem do myślenia i pracy, rozmiłowaniem w znoszonym i zbutwiałym gdzie indziej sybarytyzmie, w błyskotliwych a zdziczałych formach towarzyskich; marnotrawstwo młodzieży z rodzin za-
492
 możniejszych, czyli tzw. paniczyków, przegwizdujących wśród zabaw niemal karczemnych resztki fortun rodowych i słusznie z tego powodu poczytywanych za pierwszych zwiastunów zgnilizny i robaczenia się.... wreszcie zbyt często dające się spostrzegać lekkomyślność, brak charakteru, wytrwałości, łatwe zrażania się za lada przeszkodą, wieczne opuszczanie się na coś i na kogoś i tym podobne powszechnie znane wady „zabytkowe“ z okresu nieszczęśliwej naszej gospodarki pańczyźnia-
493
 nej“.

Jeśli chodzi o marnotrawstwo, to niestety Orzeszkowa ani trochę nie przesadziła, i typy w stylu Graby, Brochwicza i tylu, tylu innych, nie są bynajmniej przejaśkrawione. A czytając dzienniki z tego okresu tracimy świadomość, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna powieści Orzeszkowej, tak jedno do drugiego jest podobne. Oto „Kraj“ rok 1883 nr 35: „Pan A. (nomina sunt odiosa, gdy odziedziczył po rodzicach dobre imię, sporą fortunę), zamanifestował swe usposobienie szalonym marnotrawstwem grosza, obarczaniem majątku długami, systematycznym wyniszczaniem odwiecznych lasów, rozmaitymi ekscesami. Pan B. w sąsiednim powiecie już raz był strwonił swą ojcowiznę i omal że z rodziną nie poszedł o zebranie, gdyby go własna matka nie ratowała dając mu dożywocie, piękny folwark, który

zapisala jego dzieciom a swym wnukom; dozywotnik stal sie recydywista i tak dlugo sobie folgowal, az sędziwa matrona ujrzała sie zmuszona prosic władze, o wzięcie syna w kuratele". Albo „Kraj“ nr 5. z roku 1884 (z Wilna): „Bawimy sie tak ochoczo w tej chwili, jak dawno juz tego nie pamietamy. Zabawy publiczne, prywatne wieczory i bale, trwajace systematycznie az do rana stanowia w naszych koloach towarzyskich na razie przewazna czesc rozmow. A moze Sz. krytyk jest zdania, ze i marnotrawstwa i zycia nad stan nie ma, ze posiadlosci ziemskich nie toczy robak zbytku i panoszenia sie nad sily, w miare, ze z tych samych przyczyn coraz czesciej nie slyszmy o bankructwach w sferach przemyslowych, nie tylko w Poznańskiej dzielnicy. Czyzby Sz. krytyk nie czytäl w pismach naszych o lukullusowej uczcie w syrenim grodzie, na która jarzyny sprowadzano z Algieru, pasztetników ad hoc angazowano z Paryża i za obiad na kilkanaście osób zaplacono skromną sumkę tysiąca rubli, albo o hucznych balach kostiumowych w Wilnie, na których staje po 100 par markizów i krakowiaków; a epidemia karciana, która grasuje po naszych dworach i miasteczkach z większą uporczywością niż dyfteryt i błonica? Jeden z poważnych obywateli podolskich zapewniał, że w jego okolicach różnica w grze jednego wieczora dochodzi do kilku tysięcy rubli“.

„Wspomniałem już o Wilnie, które ni stąd ni zowąd podniosło głowę powyżej ruin na Zamkowej górze i ze zbiedzonej w połowie, w połowie zżydowiałej mieściny zamieniło się raptem w hulaszcze przedmieście Paryża, przeplantowawszy z nadsekwańskiego Babilonu nawet.... nawet czerwone fraki, które jak dotąd jeszcze w znanej z ekscentryczności nadnewskiej stolicy zaaklimatyzować się nie mogą“.

Tak za tym wyglądałaby kwestia złego położenia właścicieli ziemskich w świetle powieściowym oraz publicystycznym.

Obecnie zastanowić się wypadnie, czy położenie stanu urzędniczego było w istocie tak beznadziejne i nędzne, jakim je malowała Orzeszkowa. W powieściach bowiem widzieliśmy ludzi znękanych, wylękłych, niepewnych jutra, czasem zdolnych, ale zmuszonych raczej swoje talenty tłumić niż rozwijać w okresie, kiedy niebezpiecznie było myśleć i wybiegać poza przyznany sobie udział w życiu. Że to co pisała Orzeszkowa o życiu takiego choćby Ongrodu (Grodna) w „Bańce mydlanej“ jest zgodne z ówczesną rzeczywistością, świadczy znów artykuł z „Kraju“ nr 38 z roku 1883. Oto co pisze sprawozdawca: „Zdawać sprawozdanie z tutejszego życia jest to otwierać jęczące się rany, rany głęboko w piersiach ukryte i tym boleśniesz, że środki ku ich leczeniu nie są w naszej mocy. W takiej atmosferze żyje się wciąż z dnia na dzień, bez wiary w jutro, młoda nasza inteligencja biurowa wolny czas od zajęć biurowych przepędza w knajpie, niesprawiedliwy jednak byłby ten, kto by rzucił na nią słowo potępienia; wszak szkołą ich była najczęściej tylko biurowa praca, za wczesnie rozpoczęta, niezdrowymi pierwiastkami prześląkła, bez wzmacniającej nadziei lepszego bytu, podnoszenia się na szczeblach społecznych, ciężko i z musu prowadzona. Wszak ani z katedry, ani z desek sceny ucha ich nie doleciał żaden głos o nauce, etyce, pięknie...“

W powieściach Orzeszkowej jeśli chodziło o urzędników, to byli to prawie zawsze ludzie niepewni jutra, często wyrzuceni z posad jak tatuś Klarki („Sylwek cmentarnik“), czy ojciec Joasi Lipskiej („ABC“). O powodach ich wydalenia ze zrozumiałych względów mówi autorka ostrożnie, operując niedomówieniami i ogólnikami, np. Hilary Szarski, Wincenty Wirski („Sylwek cmentarnik“) wyrzuceni zostali, jak określa Orzeszkowa, „dla solidarności swej z ogółem“. Sytuacja każdego z nich bardzo niepewna wobec dążności do zastąpienia ich Rosjanami. Że tak było w rzeczywistości, między in-

nymi świadczy artykuł „Kraju“ nr 48 z roku 1883, — chodzi o posadę Polaka — „wkrótce prośba Pana P. odrzucona została jako Polaka, czyli też wyrażając się językiem oficjalnym: katolika, a posadę laboranta objął Rosjanin, w roku przeszłym jeszcze uczeń szkoły białostockiej“. Podobnie czytamy u Kucharzewskiego: „miejsca rozjemców, urzędników w nowej administracji do spraw włościańskich, zwłaszcza w guberniach zachodnich po zakazie przyjmowania do urzędowania osób pochodzenia polskiego, następnie miejsca sędziów śledczych, sędziów pokoju, urzędników przy gubernatorach itp. oddane zostały ludziom w części przybyłym z wnętrza Rosji, w części miejscowym, systematycznie uzbrajany przeciwko dużej własności ziemskiej, nierówności stanu itp.“¹⁾ To samo pisze o położeniu urzędników-Polaków Erazm Piltz: „Wydalenie urzędników przechodziło różne fazy: w pierwszej, zaraz po roku 1864, chodziło tylko o wyższe polityczne posady, o takie, które wymagają ze stanowiska interesów państwa obsadzenia przez Rosję. Jeszcze w roku 1876 przy wprowadzeniu reformy sądowej była na wniosek hr. Pahlana postawiona zasada, że połowa sędziów ma być Polaków, połowa Rosjan. Ale z biegiem czasu zmieniły się pod tym względem poglądy. W wydziałach sądowych na 39 prezesów i wiceprezesów sądów okręgowych pozostało 2 Polaków, na 124 członków sądów okręgowych i handlowych 15 Polaków, na 70 sędziów pokoju tylko 1 Polak i na 139 sędziów śledczych, 31 Polaków. W prokuraturze nie ma ani jednego. Przez lat 30 kilka, Polak, który ukończył prawo na uniwersytecie rosyjskim, choćby ze złotym medalem, nie mógł się dosłużyć wyższej posady nad podsekretnarza sądu (zupełnie zresztą zgodnie z tym, co Orzeszkowa w „Zygmuncie Ławiczu“

¹⁾ Kucharzewski „Od białego do czerwonego caratu“, t. IV, str. 165.

piśla o Marianie Dębskim). „Kto chciał awansować, musiał wędrować w głąb Rosji, za Ural i dalej. W innych gałęziach służby publicznej toż samo. Na kolejach skarbowych postanowiono w roku 1891 obsadzić wszystkie stanowiska naczelników wydziału przez Rosję, ale w 2 lata po tym, tym się nie zadowolono i powstał projekt zatwierdzony, lecz z powodu zmiany panowania częściowo tylko wprowadzony w życie, zredukowania w ogóle urzędników kolejowych Polaków w Królestwie, na niższych posadach do 20%, a na średnich do 5 procent. Mimo, iż skutkiem powyższej przyczyny projekt nie został przeprowadzony w całej pełni, zdołano jednak usunąć w ciągu 2-ch lat na kolejach żelaznych nadwiślańskiej, terespolskiej i dąbrowskiej około 700 Polaków i zamianować na to miejsce sprowadzonych z gubernij wewnętrznych Rosjan“¹⁾. Podobną bolączkę porusza „Nowa Reforma“ w n-rze 151 z roku 1892 pisząc: „obecnie zagrożono wydalaniem na drodze wiedeńskiej — 17, na nadwiślańskiej — 23, na iwangrodzko-dąbrowskiej — 21 urzędnikom Polakom, ale wszyscy czują, że to dopiero początek“. Potwierdzenie powyższych wywodów znajdujemy również u Kutrzeby: „zaraz po powstaniu szeregu urzędów wyższych oddano w ręce Rosjan. Przybywało ich coraz więcej, zwłaszcza po przekształceniu ustroju władz na sposób rosyjski, i po wprowadzeniu do nich i do szkół rosyjskiego języka. W roku 1867 określono prawa urzędników Rosjan, zapewniając im znaczne korzyści; w stosunku do służby w Cesarstwie, 3 lata liczyły się za 4, w dziale oświaty lat 20 za 35, co lat 5 dostawali ci urzędnicy i nauczyciele dodatki od 15 do 20%, znaczne przyznano im dogodności co do uzyskania emerytury. Do sądownictwa napływ silny Rosjan rozpoczął się na wielką skalę dopiero po reformie z roku 1876, gdy w nim wprowadzono język rosyj-

¹⁾ Erazm Piltz „Polityka rosyjska w Polsce“, str. 33.

ski. Od roku 1886 przestano Polaków w ogóle nominować, tak, że sądy te obsadzili wyłącznie Rosjanie, z wyjątkiem części posad kancelaryjnych. Rosjan wprowadzono także do zarządów specjalnych a więc w zarządzie domen i lasów, na koloniach państwowych itd¹⁾. Ostatecznie pozostało trochę Polaków, lecz wyłącznie na podrzędnych stanowiskach. Jedynie w magistratach miast utrzymali się oni, oraz na stanowiskach wójtów i sołtysów, bo te ostatnie zastrzeżone są wyborem. Z nauczycieli i nauczycielek Polaków ledwie 1/3 część, w sądownictwie, wśród sędziów nominowanych ledwie garstka Polaków, w oddziałach hipotecznych i prokuratorii skarbu oraz wśród sędziów gminnych stan podobny. Tylko wybierani sędziowie gminni — to Polacy. Duch polski skrępowany został do ostatnich granic, wypchnięty pod wszelką postacią z publicznego życia, urzędu, sądu i szkoły²⁾. Na zakończenie przytoczę słowa Wrotnowskiego: „Urzednicy rosyjscy tworzą w Królestwie Polskim liczne legiony, będące dla jego mieszkańców istną plagą. Jako przybysze z odległych stron cesarstwa nie znają przede wszystkim języka kraju, porozumiewać się więc z ludnością miejscową, ani jej rozumieć nie mogą. Nie odczuwają również jej potrzeb i siły jej wierzeń; są przeto pasożytami na ciele tego nieszczęśliwego kraju“³⁾.

Tak więc jak się okazuje stan ekonomiczny społeczeństwa polskiego leżał bardzo na sercu Orzeszkowej. W powieściach swych, jak widzimy, nie zadawała się tylko przedstawieniem ówczesnej smutnej rzeczywistości, ale podaje prawie wszystkie jej przyczyny. Do-

¹⁾ St. Kutrzeba „Historia ustroju Polski“, t. III.

²⁾ por. Kutrzeba „Sprawa polska w Królestwie Polskim“, Lwów, 1916.

³⁾ Wrotnowski Ant. „Porozbiorowe aspiracje narodu polskiego“, str. IX.

dać do jej wywodów nie możemy prawie nic, możemy je li tylko uzupełnić i to nie dlatego, żeby obserwacje te były za mało wnikliwe, o nie; pamiętać tylko musimy, że krępowała ją przecież cenzura, która nie pozwoliła wypowiedzieć otwarcie poglądów, nie dała przedstawić i osądzić przeraźliwej rzeczywistości, zmuszała zaś ograniczyć się do niedomówień, ogólników, do umieszczenia akeji gdzieś w zaborze pruskim (jak w „ABC“) wtedy, kiedy mówić chciała o metodach rządu rosyjskiego.

VI

KOBIEȚA

Bardzo „ludny“ jest kobiecy świat w powieściach Orzeszkowej, reprezentuje on mniej lub więcej godnie wszystkie warstwy społeczne. Są wśród nich takie, o których autorka pisała zapewne z uśmiechem tkliwym, może nawet ze łzą w oku, i takie, o których myśląc i pisząc, uśmiechała się niewątpliwie bardzo sarkastycznie.

Serdeczne słowa płynęły spod pióra autorki, gdy pisała o chłopkach. W powieściach z życia chłopów mamy całe bogactwo typów kobiecych. W pierwszych powieściach postaci te, jak wszystkie zresztą, nie żyją własnym życiem, są jeszcze papierowe i konwencjonalne, jak ta Hanka z „Obrazka dni głodowych“; za to w późniejszych utworach znajdujemy kapitalne typy chłopek. Cechą wspólną im wszystkim to chyba to, że życie ich jest i bardzo pracowite i bardzo ciężkie. Bo choć ciężkie jest życie chłopca w ogóle, to o wiele cięższe było i jest życie chłopki, zapracowanej, zameczonanej wydawaniem na świat dzieci, w warunkach z higieną nie mających nic wspólnego, jak Jelena, czy Krystyna z „Nizin“. Cechuje je wszystkie rozbijająca i wzruszająca naiwność, po części wypływająca z ciemnoty, na której też żerują wszelkiego typu łotry. Nie brak wśród nich istot o tak gołębiej naturze jak matka Tadeuszka („Tadeusz“), która tak pilnie pella, że ani dzieciaka dopilnować nie mogła, bo pamiętała słowa „namiestnika“, że nie pracować to „hrech“. Prócz tych cho-

rowitych, przedwcześnie postarzałych jak Jelena, czy synowa Awdoci z „Chama“, są w powieściach Orzeszkowej młode, hoże, takie bajecznie kolorowe jak rozśpiewana Pietrusia („Dziurdziowie“), czy Ulana, bezkompromisowo segregująca wszystkie sprawy tego świata na dobro i grzech („Cham“). Zresztą i tu w tym kobiecym świecie chłopskim, jak wszędzie, nie brak różniczkowania i hierarchizowania. Najnędniejszym niewątpliwie jest życie tych kobiet z czworaków folwarcznych, czy też tych, które nie mając ani swego domu, ani kawałeczka ziemi, całe życie pomagają innym, wysługują się, jak ślepa Aksena z wnuczką („Dziurdziowie“). Ileż czaru posiada zresztą ta ślepa Aksena, skarbnica mądrości i poezji ludowej, opowiadająca tyle przedziwnych zdarzeń, klechd i bajęd, znająca równie dobrze zioła jak złość ludzką. Przemila postacią jest Awdocia („Cham“), krzepka mimo podeszłego wieku, o twarzy pomaszczonej jak jesienne jabłko, pracowita, troszcząca się o syna, co w żołdacy poszedł i tęskni do wsi rodzinnej, spiesząca z pomocą chorym, ze swym kopytnikiem, skutecznym rzekomo na wszystkie dolegliwości. Nie brak w tym świecie kobiet, przeważnie prostolinijnych, i złości i zazdrości; jest i hysterii trochę, tym smutniejszej, że nie lezonej nigdzie i nigdy, a jak wszędzie złą dolą wywołanej. Bo czyż inaczej osądzić można krzykliwą, tyle złą ile nieszczęśliwą Rozalkę, nie kochaną żonę Stefana Dziurdzi? Czasem konieczność szukania chleba wyrывa je z wsi zasklepionych w niezmieniających się niemal zwyczajach i zabobonach, pędzi je do miast czy miasteczek, a jeśli czasem z długiej poniewierki wróćą do rodzinnej wioski, to często o kiju żebraczym jak Marcela z „Chama“. Dorobek ich cały to wspomnienia jedynych jaśniejszych chwil, gdy kiedyś tam w latach młodości były kochankami panów i głupowate nieślubne dzieci.

Chłopki przynajmniej słońca mają pod dostatkiem. Biedniejsze od nich są te mieszkanki zaułków, suterren małych miasteczek, jak Elżbietka, matka nieślubnej Marcysi, która po tygodniach a nawet miesiącach pracowitości i trzeźwości szukała ucieczki przed smutnym swym życiem w kieliszku. Z cuchnącego grodzieńskiego zaułka wyrosła Franka („Cham“), oczyma dziecka wszystko chłonącymi patrzyła na umizgi matki z kawalerami i na ojca prawie zawsze pijanego, i za wcześnie poznała plugawość otaczającego ją świata; a przyznać trzeba, że wyszła z niej na swój sposób czysta i moralna, boć przecież wszystko „złe“ określając szablonowo płynęło u niej nie z chęci korzyści, — wszak sama więcej dawała, niż brała, — ale po części z potrzeby serca gorącego, a przedwcześnie zatrutego, po części ze zwichniętego systemu nerwowego, a w największej mierze z owego złego dzieciństwa.

✓ Jest jeszcze jedna kobieca postać bardzo piękna. To Romanowa, żona pocztyniona. Młodość upłynęła jej szczęśliwie wśród pracy ciężkiej, uczciwej i wzruszających marzeń o własnym domku; po niej, po nieszczęśliwej śmierci męża nastąpiły długie lata trudu, a wszystko dla wychowania syna jedynaka. I po co? Po to, by rozpił się i poszedł do turmy, a jej została nieszczęsna sieroca starość, miejsce żebraczki w wilgotnej kruchcie i kulaki koleżanek po fachu.

Wszystkie te kobieciny z „Nizin“ takie małe, społecznie nic nie znaczące a tylko przez złą dolę hojnie obdarzone i dla nich właśnie nie brakło autorce nigdy serdecznych słów; dla tych wszystkich praczek, z pobcieranymi rękoma, biednych zapijających się Elżbietek, które normalnie dla ludzi były ot pijaczkami tylko. Umiała dojrzeć w oczach każdej z nich przeżyta tragedię rozczerowań i nędzy, umiała przepięknie wytłumaczyć ich pijaństwo: „jak ci życie zbrzydni, tak jak mnie zbrzydło, jak jedni ludzie oszukują cię, a drudzy

oplują, a jak ze zgryzoty i wstydu rozpijesz się, a na kark dostaniesz dzieciaka, którego będziesz chciała wykąpać w chmurce złotej a wykąpiesz w błocie“ — ¹⁾).

Radośniejszy nieco jest świat kobiet z zaścianka, pracowitych, ruchliwych, praktycznych aż do zachłanności, a mimo swej praktyczności pielęgnujących moc kwiatów, tańczących ochoczo na „hurbie“ czy przy innej okazji. Żwawe, silne fizycznie, w zwykły dzień dźwigające brzemiona trawy, a w święta wystrojone zgodnie z swymi pojęciami o elegancji, której wyrazem ma być suknia z ogonem, spiętrzona przedziwnie koafiura, „złotne“ branzolety i złoczone liście we włosach. Oczywiście energię ich i żywość i to rozśpiewanie przogasza z czasem życie; stają się lękliwe, narzekające, krygują się i siłą na górne maniery. Panujące w tym ich świecie przekonania o wyższości ich, płynącej ze szlachectwa od iluś tam lat dającego się udowodnić i im uderza do głowy jak tej Teofili: („a ja mówię, iż tak już widać Pan Bóg ustanowił, że co szlachcianka to szlachcianka, a co chłop, to chłop“²⁾), co jej jednak nie przeszkadza pragnąć, by Jerzy Chutko, choć chłop z pochodzenia, ożenił się z zakochaną w nim jej Awrelką.

Nie wyczerpuje się na tym kobiecy świat Orzeszkowej: prócz chłopek, nędzy miejskiej ostatniej kategorii, no i radośniejszego nieco zaścianka (choć i tam biedy nie brak, bo skala zamożności ogromnie różna i chorób, nieodłącznych prawie towarzyszek nędzy pod dostatkiem), są jeszcze dziewczęta i kobiety, jak sama autorka powiada, z typu tych, „w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek“³⁾), to biedne dziewczęta, miejskie nauczycielki, krawcowe itd.

¹⁾ „Nierózowa sielanka“, str. 43.

²⁾ „Bene nati“, str. 137.

³⁾ „ABC“, str. 4.

A jak wygląda życie takiej nauczycielki prywatnej? Mniej lub więcej podobne jest do życia panny Antoniny: „Prosto więc z pensji do cudzego domu, no i cóż dalej? przez 17 lat z domu do domu, a cztery lata od-
kąd tu osiadłam, bo przekonałam się ostatecznie, że wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca cudze¹⁾”. Stosunek chlebowców do nauczycielki charakteryzuje sama Orzeszkowa: „Obchodzono się z nauczycielką dobrze przez przyzwoitość i prostą życzliwość, trzymano ją, bo nie widziano, jaką by korzyść odprawienie jej przynieść mogło, przy tym z nadmiernej czułości wszystkim okazywanej, z przebijającego się niekiedy w mowie patosu, jak też czasem z loczków, które wysoko piętrzyła nad czołem, i całonocnych prze-
siadywań nad książkami, śmiano się po cichu. Śmiano się z nauczycielki tak cicho i tajemnie, że ona tego nigdy spostrzec ani dosłyszeć nie mogła²⁾”. Nad biednym ich życiem wisi ustawiczny lęk, ten sam, który dręczy pannę Antoninę: „Miałam kiedyś 8 godzin dziennie, jeszcze teraz mam już tylko 5, i lękam się, że na rok przyszedł mniej jeszcze mieć będę³⁾”. Oczywiście po życiu spędzonym bądź wśród cudzych ścian, bądź w własnym nędznym i wilgotnym pokoiku czeka je najczęściej miejsce w szpitalu, dzięki dobroczynności publicznej, zwłaszcza o ile nie są na tyle przystojne, czy raczej sprytne, by wydać się za mąż, choćby dla dachu nad głową.

Są i krawcowe, które mimo iż roboty mają bardzo dużo, zarabiają tyle tylko, że ledwie wystarczy na skromne utrzymanie, bo bogate klientki na toalety normalnie mają, ale na zapłacenie krawcowej już nie. Klienci zaś jeśli płacą, to uważają to za specjalną uprzejmość, nadającą specjalne prawa i możliwości. Wśród

¹⁾ „Panna Antonina“, str. 7.

²⁾ tamże, str. 15.

³⁾ tamże, str. 39.

biedaczyn są i takie, które niegdyś należały do tzw. towarzystwa, otaczane były dostatkiem, ten jednak skończył się ze śmiercią męża. Same bezradne, żyją w najlepszym razie z jakichś skromnych fundusików, pozostałych z owych tłustych lat, albo, jeśli tego nie ma, od śmierci głodowej ratują się wyrabianiem robótek, których kupować nikt nie chce, albo w końcu lękliwą, nieudolnie uprawianą żebranią („Julianka“).

Czasem u tych jako tako wiążących koniec z końcem mimo biedy pozostają jakieś, nie tyle tu nawet śmieszne, ile przykre wyobrażenia o wyższości czy niższości ludzkiej, jakieś echa tamtego świata, z którego je wykreślono, a do którego mimo wszystko chcą należeć. Stąd płynie silenie się na wtrącanie do rozmowy francuskich słów i frazesów, oczywiście błędnie i z trudnością. Nie uznają innych ludzi poza właścicielami ziemskimi, wszyscy inni to parweniusze. Wskutek takich przekonań panny z rodzin ubogich skazane są na staropanieństwo, bo przecież z ich „sfery“ nikt ich bez pieniędzy nie weźmie, a za „byłe kogo“ nie pozwolą im wyjść rodzice. Tak jak córka Łopatnickiej, o której matka powiada: „Obywatelską córką będąc, za pierwszego lepszego wyjść nie mogła, a odpowiednia partia nie trafiała się. Nie skarży się ona na to, bo wpoiłam w nią przekonanie, że lepiej cierpieć i choćby zginać, aniżeli poniżyć się¹⁾”. Kapitałnym typem jest ta stara Łopatnicka; tęskni do tamtych ludzi z jej sfery, którzy do niej zubożałej wcale się nie przyznają, i jest przedziwnie mimo to w stosunku do nich solidarna. Ze starczą zaślepioną nienawiścią odnosi się do wszystkich tych, którzy nie mają szczęścia być obywatelami; „porządne go człowieka na ulicy rzadko zobaczysz, tylko ten szary motłoch w drogę wchodzi, a jak mi już te różne figury, żydy, mieszczany i lichy wie kto w drogę wleżą,

¹⁾ „Zefirek“, str. 186.

to takiego moim kijem młynka puszczyć, że się na cztery wiatry rozlatują¹⁾. Córce wmówiła staropanieństwo, właśnie dlatego, by się nie poniżyć, wmówiła jej, że „zamiłowała” robótki i że jest jej z tym dobrze.

Niestety, te pojęcia imponują innym. Żyrewiczowa („Zefirek”) ma na starość jeszcze żal do rodziców, że nie wydali jej za obywatela, choć kilku ich starało się o nią, córce pod grozą przekleństwa macierzyńskiego nie pozwala wyjść za murarza. Żona wyrzuconego z posady Szarskiego nabiła sobie głowę bajkami o arystokratycznym swym pochodzeniu i wskutek tego nie robi, tylko leżąc na brudnym szezlongu czyta romanse, podczas gdy dzieci kradną na ulicy. Praca oczywiście tak wysoko urodzonym osobom nie przystoi; po wodę idzie się wieczór, ze starannie ukrytym dzbanuszkciem.

Z kolei zająć się należy kobietami należącymi do tzw. towarzystwa. I tych jest najwięcej. O nich bowiem, znając je ze swego otoczenia, najwięcej miała Orzeszkowa do powiedzenia. Ogólnie można by powiedzieć o nich wszystkich, że ludźmi w pełnym słowa tego znaczeniu nie są, i że dość daleko im do tego. Typ najczęstszy, to schorowane, wątłe, delikatne, cierpiące na „globus hystericus” i tysiące innych dolegliwości (Emilia Korczyńska „Nad Niemnem”, Ewa Dębielińska „Na dnie sumienia”). Ruchy tych kobiet są powolne, „objawiające śmiertelną obawę przed wszelkim żywszym, i choćby odrobinę energiczniejszym poruszeniem ciała, czy ducha²⁾”. Lękają się wiatru, przeciągu, słońca, ot jak pani Emilia: „od wiatru dostaje zawrotu głowy, od przeciągów newralgii, od słońca migreny³⁾”. Żyją więc najczęściej jak w pudełku, w pokoju o zasłoniętych oknach, przenosząc się z łóżka na szezłag i na od-

¹⁾ „Zefirek”, str. 191.

²⁾ „Nad Niemnem”, t. I, str. 16.

³⁾ tamże, str. 21.

wrót, nie wiedząc nawet, co dzieje się w dalszych pokojach. Czasem przyjmują gości, chore poetycznie, czasem haftują jakieś robótki, czytają romanse francuskie, a pod ich wpływem tęsknią do egzotycznych dalekich krajów, ot czemu nie urodziły się na przykład w Egipcie. Mają żal do otoczenia, zbyt prozaicznego i zbyt hałaśliwego na ich chore nerwy, zajętego interesami budzącymi w nich wstręt i pogardę. Stąd płynie wieczna uraza do mężów, że zamiast z nimi marzyć o Egipcie doglądają żniw, że zamiast całować ich smukłe blade ręce, nieestetycznie spoceni wracają z pola. Trudno się im w czymkolwiek sprzeciwić, histerie, mdłości, które mają na zawołanie, umożliwiają im swego rodzaju despotyzm; „mamie jak się co nie podoba, to zaraz choruje”, mówi Leonia o matce („Nad Niemnem”).

Niektóre na stare lata dostają manii pobożności, dumają nad smutkiem świata w ogóle, a swym niewesołym życiem specjalnie, popadają w dewocję, obijają kirem pokój i trupią stawiają czaszkę.

Inne do końca życia są lekkomyślne, na samo słowo „interesy” dostają poziewania, na wsi czują się nieszczęśliwe, wobec czego bez względu na stan majątkowy, systematycznie wyjeżdżają do miasta, urządzając się, jak pani Malwina Ręczycowa, skromniuteńko, bo tylko w 6-ciu pokojach i z 7-giem służby. Podróżowanie dla kobiet z tej sfery stanowi prawdziwą manię. Jeżeli się choćby kosztem zrujnowania majątku nie da wyjechać za granicę, to udają się przynajmniej do najbliższych miast. Wożaczami zagranicznymi rujnują majątek, jak matka Tozia („Pan Graba”), prezesowa matka Kornelii („Wesoła teoria”), czy wreszcie pani Izabella z Jagdyszów Odropolska, której „przez lat przeszło 10 domem był wagon, a miejscami, dla których go opuszczała, hotele stolic i wille miejsc kąpielowych. Po kilka razy nawiedziła Paryż, Brukselę i Wiedeń; leczyła się w Karls-

badzie, Schlagenbadzie, odpoczywała, kąpała się w Trouville i w Ostendzie, jadła winogrona w Montreux, zwiedziła dwie wystawy powszechne...¹⁾). Przejeżdżają wszcz i wzdłuż Europe, czy to w ślad za jakimś wio-
lenczelistą Włochem („Dobra Pani“), czy to szukając
bratniej duszy, jak pani Luiza. Niektóre, mając preten-
sje do talentów, malują w wolnych chwilach chatki na
ustroniu, z czułą obok parą pasterzy, to znów grają na
fortepianie, a w przerwach prowadzą mniej lub więcej
wzniosłe rozmowy z aktualną bratnią duszą. Jeśli je nie
stać na podróże, nudę codziennego dnia zabijają flir-
tem (Karliczowa „Na prowincji“), z nudów pełnią cza-
sem filantropię, jak „Dobra Pani“, która zajęła się 15-le-
tnią dziewczyną, wyrwała ją z rodzinnego zaścianka,
a gdy się jej znudziła, odesłała do garderoby. Podobnie
zapaliła się do opiekowania się małą sierotką po mula-
rzu, wychowała dziecko w zbytku, a po paru latach
zmanierowane oddała z powrotem, sama zaś pojechała
w ślad za ostatnią sympatią.

Pustkę swych głów i serc zapelniają historyczną mi-
łością, jak baronowa Lamoni („Australczyk“), która umi-
łowana swą papużkę Kakadu balsamuje i chowa w szkla-
nej w brąz oprawnej trumience na białych atlasach i ko-
ronkach. Treścią ich życia staje się polowanie na różne
znakomitości, które by się stały ozdobą ich salonów. Mają
pasję do poznawania cudzoziemców, przy czym ci osta-
tni tym większą przedstawiają wartość, im z dalszych,
z mniej znanych krain przybywają. (Idalka — „Dwa bie-
guny“, Lamoni — „Australczyk“). Poza cudzoziemcami
„drzwi salonów otwierają się tylko dla tych, którzy
mogą się poszczycić tytułem, lub majątkiem nie byle ja-
kim, trochę się przymykają, ale jednak pozostają otwarte
dla tych, których czoła opromienia aureola osobistych
lecz głośnych zasług, za wpływem stugębnej sławy roz-

¹⁾ „Pierwotni“, str. 2.

chodząca się szybko; tacy potrzebni tam są, jako coś
modnego i zarazem niepospolitego. Poza nimi wchodzą
jeszcze kobiety bez tytułu, bez majątku i bez sławy, ale
z paszportem wielkiej piękności; te znowu potrzebne
tam są jako kwiaty dla ozdoby salonów w czasie ba-
lów lub paradnego obiadu. Dla cichej zasługi, użytecz-
nej, najzaszczytniejszej choćby pracy, dla kobiecego
wdzięku, płynącego nie z klasycznej piękności form,
ale z pięknej duszy, salony były zamknięte¹⁾). W sa-
lonach uprawia się pogadanki na temat strojów, ob-
gaduje znajomych, sonduje jaką wartość ekonomiczną
przedstawia ta czy owa panna, czasem flirtuje się, cza-
sem słucha produkującej się pani domu, czy śpiewa-
jącej panny domu i nade wszystko starannie ukrywa się
nudę, przyoblekając twarz w przymilny uśmiech.

Rozmowy o wyższym poziomie kulturalnym niestety
toczyć się nie mogą z tego prostego powodu, że gdyby
się w świecie tych ludzi znalazł ktoś mający poza oglądą
towarzyską jakieś konkretne wiadomości, to uprawiałby
chyba monologi. W każdym razie przedstawicielki płci
pięknej nie pomogłyby mu w podtrzymaniu tego ro-
dzaju rozmowy, mimo swych długoletnich wojażów,
które jak się okazuje, nie zawsze są kształcące.

Ot! Pani Izabella z Jagdyszów Odropolska w swych
długich podróżach nauczyła się tyle, że córkę mogła
tylko w ten sposób objaśnić: „bo Rumuni, moje dziecko,
Turcy, Serbowie i inne podobne narody są barbarzyń-
cami i czasem niechrześcijanami“²⁾). Jest to całkiem na-
turalne, gdyż nauka w tym świecie zupełnie nie cieszy
się względami. „Nie rozumiesz? po co rozumieć?“ per-
swaduje matka córce. — „Rozumują, dziecię moje, filo-
zofowie tylko, emancypantki i inne tym podobne zgu-
bione dusze ludzkie. Czyż chciałabyś, aby cię nazwano

¹⁾ „Ostatnia miłość“, str. 133.

²⁾ „Pierwotni“, str. 7.

emancypantką, taką, co to nosi suknie zabłocone, co oczy ma czerwone, włosy rozczochrane, a twarz chudą, złą i straszną?¹⁾

To też Adolphine z „Pierwotnych“, jak szeregi innych jej współczesnych, wiedziała tylko o Mieczysławie I., Jagielle, Popielu i Sobieskim. Bo niby po co więcej? Wszak wedle pojęć panujących w tym świecie „i mężczyźni nie potrzebują głębszej nauki, a ci tylko jej się oddają, którzy zmuszeni są z jej pomocą zarabiać sobie na kawałek chleba, jak na przykład doktorzy, prawnicy, urzędnicy i tym podobnych zawodów ludzie“²⁾. Bogaci uczą się tylko języków obcych, muzyki, tańca i przyzwoitej w towarzystwie „maniery“ — rozumuje pani Matylda w „Pamiętniku Wacławy“. Dziewczęta w wypadkach najstaranniejszego wychowania uczą się czterech języków obcych, muzyki, rysunków, tańca i przede wszystkim jak znaleźć się w towarzystwie, aby zachowanie wykazywało jak najwięcej dystynkcji arystokratycznej. O poważniejszych wiadomościach mowy nie ma. Natomiast całe otoczenie wpaja od lat najmłodszych przekonanie, że rzeczami najbardziej godnymi szacunku są pochodzenie, majątek i piękność. Od dziecka stroi się je, w x falbanek i fatalaszków, wciska się ich życie w tysiączne „wypada“ i „nie wypada“, tłumi się wszelkie objawy samodzielności, czy żywszego uczucia. „Jeśli kiedy uczuła, że mi serce mocniej uderza i chciała przytulić się do czyjejś piersi, mówiono mi, że to egzaltacja“, skarży się Żańcia³⁾. Zmusza się je do obtłukiwania przez długie godziny fortepianu, bez względu na to, czy mają zdolności czy nie, uczy się je śpiewu, bez względu na to, czy choć krztę talentu mają, bo tak trzeba ze względu na wyższe cele, do których całe to wychowanie zmierza.

¹⁾ „Pierwotni“, str. 10.

²⁾ „Pamiętnik Wacławy“, str. 58.

³⁾ „Rodzina Brochwiczów“, str. 240.

Wychowuje się je w nieświadomości, przynajmniej wedle wyobrażenia rodziców; 18-letnie dziewczęta traktuje się jak małe dzieci. Oczywiście, że takie wychowanie wyrabia tylko niezdrową ciekawość, którą zaspokajają na własną rękę romansami, czytаныmi skrycie po nocach, wykradzionymi braciom starszym, czy rodzicom.

Poza tym wpaja im się najbardziej nonsensowny pogląd, że celem ich jest wyjście za mąż. Całe też zresztą wychowanie dziewcząt ma pozór jakby ładnie ułożonej wystawy: ma zachęcić do nabycia towaru. Nie chodzi więc o to, by wychować człowieka, by jak najlepiej wyposażyć każdą z nich w zalety charakteru i umiejętności, na trudną walkę o byt, nie; daje im się tylko jakieś błyskotliwe wiadomości, które, podobnie jak ich muzyka czy śpiew, mają spełnić rolę wabika w polowaniu na męża. Oczywiście, że najważniejszym atrybutem każdej panny jest posag, to też panny biedne, skazane są z góry na staropanieństwo, bo rodziny dbające o splendor rodziny nie pozwolą im wyjść za mąż za kogoś, kto nie odpowiada ich pojęciom o dobrym urodzeniu; dadzą im raczej łaskawy chleb do końca życia, jak tej babci Ludgardzie („Pamiętnik Wacławy“), bo „przecież tam, gdzie idzie o honor rodziny, jednostka z wymogami swymi ustąpić powinna“¹⁾, głosi babcia Hortensja, nieustępliwa — że tak powiem — zwolenniczka totalizmu rodu. Zresztą w ogóle małżeństwo w tym świecie to zamaskowane targi. „Konwenanse, wyliczenia majątkowe, ślepe zmysłowe sympatie, oto nici, które w świecie naszym, w świecie w którym wzrosłam, wiedą ku sobie mężczyznę i kobietę“, powiada Wacława²⁾.

Małżeństwo więc opiera się na wzajemnych rachubach: z punktu widzenia panien jest równoznaczne

¹⁾ „Pamiętnik Wacławy“, str. 249.

²⁾ Tamże, str. 217.

z możliwością podróżowania, błyszczenia w eleganckim świecie, daje pewną swobodę, wyzwala od kilkugodzinnego ćwiczenia na fortepianie; „zwierzyna“ upolowana, więc już nie trzeba się trudzić. Mąż jest dodatkiem do powozu, salonów, podróży. Z punktu widzenia panów małżeństwo jest sposobem zdobycia pieniędzy posagowych, plus stosunki wzmacniające pozycję w świecie.

Nie trzeba dodawać, że małżeństwa takie na rachubach oparte, okazują się eksperymentem co najmniej nieudalym. Co gorsze przykład wyżyn społecznych oddziaływa na sfery uboższe; tak więc „panny, które mają małeńki fundusik, zamiast zabrać się do pożytecznej pracy, która dałaby im byt samoistny, wzorem panien „bogaty“ siedzą bezczynnie, z założonymi rękami i utrefionymi głowami, jak zbawienia oczekując kogoś, kto by je poprowadził do ołtarza i umożliwił im dalsze próżniactwo“. Ponieważ fundusik mają tylko niewielki, więc oczekiwanie rzadko daje pożądane rezultaty.

Jak już wyżej powiedziałam, małżeństwa oparte na rachubach są zwykle nieszczęśliwe. Bo czyż może być inaczej, gdy dziewczyna, lalka marząca tylko o strojach, wychodzi za mężczyznę-człowieka (Zosia — „Początek powieści“), albo na odwrót, wyjątkowo rozumna inteligentna kobieta zostaje żoną głupca, zasypiającego nad książką, nie interesującego się niczym prócz koni („Ostatnia miłość“); albo gdy rodzice wydają swą córkę za właściciela jakiejś tam obdłużonej wioszczyny, którego wykształcenie ogranicza się do 4-ch klas powiatowych, dlatego właśnie, że im nowobogackim imponuje piękne nazwisko (Żytowscy „Początek powieści“). To też pary kojarzone w tym świecie, są tak fatalnie dobrane, iż przychodzi na myśl, że chyba sam „diable boiteux“ Lesage'a utrudził się, żeby je połączyć.

Wzajemne niezadowolenie i rozczarowanie starają się obie strony zabić hałaśliwym trybem życia, jak Marianowie Brochwiczowie, a ewentualnie rozchodzą się. Oczywiście na opuszczenie męża może sobie pozwolić tylko kobieta bogata i to mająca dużo odwagi, wszak są to czasy, że wyraz „rozwódka“ wymawia się cicho i dyskretnie, a całą sprawę traktuje się jako skandal, nie bacząc, że skandalem jest dopuszczenie i kojarzenie małżeństw w ten sposób, w jaki najczęściej do skutku dochodzą („Pan Graba“, „Ostatnia miłość“).

Bogaty naśladowają najnierozumniej biedniejsi, czy nawet całkiem biedni. Za ich przykładem uważają, że dali córkom staranne wychowanie ucząc je muzyki, czy początków francuskiego, zamiast nauczyć je porządnej pracy. Stąd Suszycówna („Na dnie sumienia“), córki urzędnika zupełnie średnio zamożnego, podobnie zresztą jak i ich bracia, nie umieją nic pożytecznego i liczą tylko na kieszeń ojca, który nie mogąc tego żarłocznego molocha, jakim jest jego rodzina nasycić, ucieka się do niskich spekulacji i oszustw. Tymczasem one utrzymują, że „kobiety to są istoty słabe, które nie mogą żyć nigdy o własnych siłach. Podług praw boskich i ludzkich ojciec ma obowiązek utrzymywać nas, dopóki za mąż nie wyjdziemy“. To też mąż jest jedyną deską ratunku: Pani Żulietta („Pierwotni“) wychodzi za mąż za wyśmiewanego zawsze przez siebie człowieka. „Cóż było robić? z czasem i on stał się dobrą partią, poddać się musiała losowi“¹⁾.

GORZEJ jest jednak, gdy jedyne źródło dochodów, ojciec, czy potem mąż, umrze, lub też zajdzie inna jakaś katastrofa, skutek której muszą same o sobie myśleć i na siebie zapracować. Wtedy, co najwyżej, potrafią być służącymi, jak Monika, córka kancelisty z „Na dnie sumienia“. Jako mężatki dołę swą przy boku śre-

¹⁾ „Pierwotni“, str. 67.

dnio zamożnych ludzi znoszą z rezygnacją strąconych królewien i zrezygnowanych heroin, skarżą się na mężów, jak Żulietta Kniksowa: „zakopał się na wsi i mnie tu, młodą, spragnioną świata zakopał. Zaledwie raz jeden powiózł mnie za granicę i to dlatego, że jak powiedział, trzeba mu było przypatrzeć się gospodarstwu wiejskim w innych krajach¹⁾. Czasem pociesza je myśl, że ich jedyna wioszczyna zostanie sprzedana za długi i że będą mieszkać w mieście (Żulietta Sawicka — „Pierwotni“).

Tak więc wychowanie młodych dziewcząt bardzo często chybia celu i to nie tylko w kwestii korzystnego wyjścia za mąż, bo i owo dążenie do utrzymania ich w nieświadomości przesadnej zamiast spodziewanej skromności przynosi czasem wręcz przeciwne rezultaty. Nieznające świata, doksztalcające się romansami, dają się obalamucić pierwszemu lepszemu blagierowi jak Lila Orchowska, chwytają się na lep pięknych słówek, uciekają z wędrownymi artystami jak Żancia z „Brochwiczów“.

Samo zresztą to życie bezczynne, życie spędzone między — salonem i zwierciadłem nie daje zadowolenia, wyrabia niezdrową marzycielskość i tęsknotę, nuży, przynosi przedwczesną starość moralną i fizyczną. Na pozór tylko w salonach panny i mężatki wyglądają na szczęśliwe i zadowolone. Ot co mówi Wacława: „pośród ludzi wydawały się wesołe i ożywione; zmieniały wyraz twarzy, gdy sądziły, że nikt nie patrzy na nie.... zdawało mi się, że wtedy na ich lica wypełzał robak zniechęcenia i smutku²⁾. Z nudów chorują, z nudów flirtują czasem, bo przecież i religijność teoretyczna i sucha, w jakiej zostały wychowane, nie daje żadnych wytycznych, nie uodpornia, a pobożność staje się nawet

¹⁾ „Pompalińscy“, t. II, str. 13.

²⁾ „Pamiętnik Wacławy“, t. I, str. 154.

wygodnym płaszczykiem, którym osłania się różne grzeszki. Pożał się zresztą Boże jaka ta pobożność: pani Izabella musi przyspieszyć swój wyjazd za granicę, bo „nie podobna przecież, aby skrupuły sumienia swego powierzała proboszczowi zakątnickiej, albo balbocińskiej parafii¹⁾. Deklamacje o godności kobiety z towarzystwa“ nie przeszkadzają pani Olimpii Rostowieckiej („Cnotliwi“), lubiącej ładne meble i eleganckie toalety, być kochanką bogatego pana, podczas gdy mąż zapracowany, pocziwy hreczkosiej, sprzedający zboże na pniu, by tylko żona mogła sobie pozwolić na stały pobyt w mieście, jest zachwycony, że jego żona umie tak tanio i sprytnie kupić. Mówiąca wiele o skromności, manifestująca ją pęczkami fiołków zdobiącymi toaletę, pani Rokowiczowa („Cnotliwi“) jest matką nieślubnego dziecka, do którego, co gorsze, nie myśli się przyznać.

Cały ten świat kobiecy składa się więc przeważnie z laleczek, mierzących czyny i słowa według obowiązujących konwenansów, laleczek głupiutkich, które ani same o sobie stanowić nie mogą, ani tym więcej drugim nie dadzą otuchy, ani pomocy nie przyniosą. Tym bardziej trudno by od nich wymagać ducha obywatelskiego, czy patriotyzmu. Jako żony rujnują swych mężów, jeśli trafią na ludzi pracowitych, w przeciwnym razie wespół z nimi trwonią majątek. Jeśli zostaną same, dzieje się mniej więcej to samo, bo choćby nawet nie były rozrzutne z natury, to jednak prawie zawsze są niesamodzielne i niezaradne: „que voulez-vous? wszystkie te reformy, stagnacje, handle i kredyty, są dla nas kobiet zupełnie niepojętymi²⁾, tłumaczy pani Luiza swemu doradcy prawnemu.

O kraju rodzinnym wiedzą bardzo mało, często nawet mówią po polsku bardzo słabo, przyzwyczajone od dzie-

¹⁾ „Pierwotni“, str. 216.

²⁾ „Pani Luiza“, str. 15.

cka jak Adolphine, rozmawiać w dzień po francusku, a wieczór po angielsku („Pierwotni“). Patriotyzm ich w najlepszym razie polega na noszeniu sukni zwanej „polonezą“ („Było ich trzy“); praca dla ojczyzny na zabiegach podejmowanych w Rzymie „aby dozwolonym było Polkom wstępować do stowarzyszenia oblatek rzymskich; „staramy się o przyniesienie chluby tej naszemu biednemu krajowi“¹⁾ — przejęta ważnością swej misji skromnie wyjaśnia pani Izabella. Jak więc widzimy, ten świat kobiet z „towarzystwa“ nie bez sarkazmu i bynajmniej nie jasnymi barwami został przez autorkę odmalowany.

Choć i ona zaznacza, że wyjątki były: są przecież wśród kobiet jej powieści i energiczne i pracowite, jak Kiriłowa („Nad Niemnem“), harująca od świtu do nocy, aby tylko z małej Olszynki wychować i wyżywić całą gromadę dzieci, bardzo kochanych, podczas, gdy mąż lekkoduch, leń i pieczeniarsz, jeździ od dworu do dworu z wizytami, całymi tygodniami nie zaglądając nawet do domu. Jest i „Hekuba“ przecie, co „mając folwarczek małe, dzieci sześcioro i męża, który był naprzód hulaką i marnotrawcą, potem próżniakiem, pieczeniarszem, a wreszcie umarł i ją wdową zostawił“, bardzo napracować się musi, by nie dać dzieciom odczuć niedostatku. Całe jej życie jest jedną ofiarą dla dzieci, ale i te nawet potrafi poświęcić dla większej jeszcze miłości, wysyłając syna Janka do powstania.

Tych niestety jest bardzo mało. Znanie są na całą okolicę jako osobliwości, o nich najczęściej mówi się z uśmiechem czy ewentualnie z politowaniem. Z uśmiechem patrzy się na ich toalety, rzeczywiście z modą nie mające nic wspólnego, na ruchy energiczne, męskie, na kształty nie przypominające w niczym obowiązującej wiotkości kibici, na twarze ogorzone i ręce, choć małe, lecz bardzo spracowane. I tylko nieliczne jednostki mimo

¹⁾ „Pierwotni“, str. 109.

osobliwych mantylek potrafią dostrzec w nich prawdziwą wielkość.

Wracając do wszystkich tamtych zhisteryzowanych, głupiutkich, zakłamanych laleczek, obiektywnie stwierdzić musimy, że nie one same ponoszą winę tego, że są takimi. Wszak najenergiczniejsze i najbardziej myślące zdają sobie sprawę, że gdyby je inaczej wychowano i gdyby im dano możliwość, potrafiłyby efektywnie pracować nawet na polu nauki, a ponieważ nie pozwala im na to ani prawodawstwo, ani obyczaje, zabijają pustkę podróży i zbyt bujnym trybem życia. Ot jak Klotylda Warska („Na prowincji“), która sama o sobie mówi, że gdyby była mężczyzną, studiowałaby medycynę, a ponieważ uczynić tego nie może jako kobieta, prowadzi takie właśnie burzliwe życie i marnuje swe zdolności.

Tak więc winę ponosi społeczeństwo, które wychowuje kobietę od kolebki na powolną służkę swego męża, co oczywiście męskiej połowie świata ówczesnego ogromnie odpowiada.

Jakżeż może kobieta być samodzielną, kiedy jej samej nie wolno się pokazać na ulicy, kiedy większość mężczyzn ówczesnych rozumuje jak ograniczony pan Antoni: „Porządne kobiety nie włóczą się po mieście, szukając czego nie zgubiły; siedzą one w domu, gospodarstwa pilnują, dzieci hoduja i Boga chwala“¹⁾. Tym bardziej po cóż kobietom więcej wiadomości, prócz tych o Mieczysławie I., Popielu i Sobieskim, kiedy tysiące ówczesnych panów Antonich utrzymywało: „Po co nam kobiety uczone, jak wyrażają się niektórzy, niezależne? Piękność, łagodność, skromność, uległość i pobożność, oto są cnoty właściwe kobiecie, gospodarstwo domowe, oto zakres jej pracy, miłość dla męża, oto jedyna stosowna i pożyteczna dla nich cnota“²⁾. Tego chciano, a wła-

¹⁾ „Marta“, str. 139.

²⁾ Tamże, str. 140.

ściwie chcieli mężczyźni od kobiety, i tym wymaganiom odpowiadały one przynajmniej na pozór, bo wszak wiemy, co sądzić o skromności i pobożności. Tak więc obiektywnie biorąc, podwójnie skrzywdzono kobiety: raz nie dając im nigdy odczuć rozkoszy, jaką daje życie samodzielne, własnymi budowane rękami; przecież one właściwie życia nie zaznały, miały tylko możliwość bytowania na stopniu roślinnym czy zwierzęcym. To była krzywda ogólna, wyrządzona wszystkim. Poza tym kobieta wychowywana była zawsze tylko jako dopełnienie mężczyzny, i tak, by temu ostatniemu było jak najwygodniej; stąd wypływała druga krzywda wyrządzona tym, które albo mężów wcale nie znalazły, albo zostały przez nich porzucone, albo — najczęstszy przypadek — po śmierci mężów, którzy im nie zostawili zaopatrzenia, zostawały same, do życia zupełnie nie przygotowane i co gorsza, obciążone obowiązkiem utrzymania dzieci. Miały walczyć o byt dla siebie i dzieci, one, które same nawet po ulicy chodzić nie umiały.

Bo posłuchajmy, co znieść musiała Marta przez kwadrans swej wycieczki na miasto: „Walka z trwożliwością własną, szybki bieg po śliskiej ulicy, wśród tłumu ludzi i zimnych fal wichru, obelga nade wszystko, doznana od nieznanego wprowadzie człowieka, ale doznana po raz pierwszy, wstrząsnęła nią do głębi¹⁾”. Jakżeż więc mogła wziąć udział w twardej walce o byt swój i swego dziecka? Tym bardziej, że ona i wiele jej podobnych nie umieją niczego gruntownie, bo nawet tych języków obcych uczą się dość powierzchownie, a po wtóre jako nauczycielki francuskiego przede wszystkim ulegają konkurencji cudzoziemek, i to nie dlatego, żeby te ostatnie więcej umiały, ale dlatego, że przynosi to zaszczyt domowi, jeśli ma pannę de Brunnelle czy inną; zaś przedmiotów takich

¹⁾ „Marta“, str. 184.

jak przyrody, historii, czy rysunków z reguły uczą mężczyźni.

Wykształcenie ich wystarczyłoby coprawda do pełnienia na przykład obowiązków subiektek, ale to zajęcie jest dla nich niedostępne. Dlaczego? Dlatego, jak tłumaczy Ewelina w „Marcie“, że „w sklepie naszym kobiety nie zajmują się nigdy sprzedażą towarów, tylko mężczyźni²⁾”. Jeśli nawet okaże się, że mają zdolności w pewnym kierunku, że na przykład jak Marta potrafiłyby rysować wcale gustowne projekty na biżuterię, to i tak pracy tej nie dostaną, bo przecież to „zawsze robili mężczyźni i co by ludzie powiedzieli“. Byle żyć, chwytają się nawet najcięższych robót, najnudniejszych dających zarobki. Wyzyskują je też takie Szwajcowe („Marta“), którym szyją po 10 godzin dziennie za nędznym wynagrodzeniem, w zatęchłej dziurze, gdzie wcześniej czy później dostają suchot. I rzeczywiście bez nadziejne jest położenie tych kobiet. Nawet w charakterze służących nie mogą pracować, gdyż jako osoby z tzw. wyższego towarzystwa nie budzą zaufania, a już zupełnie wykluczone jest przyjęcie kobiety z dzieckiem. Jedyne wyjście to żebranie, ale tylko dla starych, bo młode usłyszą: „czemu nie pracujesz?“ Tak, że dla tych ostatnich jedynym wyjściem zostać utrzymanką. Tym, które się na to nie zdecydują, pozostaje chyba to, co Marcie. Bo „kobieta jest zerem, jeśli mężczyzna nie stanie obok niej, jako cyfra dopełniająca. I wedle praw i obyczajów ludzkich kobieta nie jest człowiekiem, kobieta to rzecz²⁾“.

Tak, nawet według prawa, bo przecież według znanego zresztą z zacofania i konserwatyzmu kodeksu rosyjskiego, obowiązującego na Litwie, córka otrzymywała, 14-tą część po ojcu, 14-tą część majątku, w który wło-

¹⁾ „Marta“, str. 184.

²⁾ Tamże, str. 157.

żyła niejednokrotnie grubo więcej pracy niż jej bracia. Ot! Teofila Końcówna („Czternasta część”) pracowała ciężko całe życie, pielęgnując najpierw chorą matkę, a później chorego ojca (podczas gdy brat posyłany do gimnazjum uczyć się nie chciał i mimo pomocy korepetytorów skończył 4 klasy), w rezultacie w rodzinnym domu otrzymała kącik z łaski brata, skąd w końcu także usunąć się musiała i znosić nędzę wśród ludzi obcych.

Wśród kobiet w powieściach Orzeszkowej są już takie, które usiłują przełamać wzniesione dla nich bariery, chcą się uczyć, chcą być samodzielne — to emancypantki. Dla ogółu emancypantka jest tak, jak dla pani z Jagdyszów Odropolskiej, osobą noszącą zabłoczone suknie, mającą oczy czerwone, włosy rozczochrane, twarz chudą, żółtą i straszną, jednym słowem kimś, kim można by dzieci straszyć. Tymczasem, tak jak je znamy z powieści Orzeszkowej, są to ciężko pracujące nauczycielki, każdy grosz odkładające, aby zapłacić np: nauczycieli młodszej siostrze, aby nie dać się zmarnować zdolnej dziewczynie, „a wy kierować ją na pracującą, niezależną, o ile to być może szczęśliwą kobietę¹⁾”. Jak pojmują tę niezależność? — Oto jak tłumaczy Józefa z „Bańki mydlanej”: „niezależność, co to? samej sobie dostarczyć kawałka chleba, upokorzeń nie znosić i nie drzeć co chwilę, że się będzie porzuconą, odepchniętą²⁾”. Tak z punktu widzenia emancypantek. Natomiast dla różnych zacofanych współczesnych, to tylko dążenie do zdobycia sobie tym sposobem swobody czynienia co się podoba i osłonięcia wybryków swych urojoną wyższością, kłamaną pracą („Marta”).

Oczywiście niełatwe jest zdobycie niezależności, zwłaszcza że normalnie porywają się na nią dziewczęta niezamożne, bo bogate są wychowane w takim zamknię-

¹⁾ „Bańka mydlana”, „Z różnych sfer”, t. V, str. 293.

²⁾ Tamże, str. 323.

ciu salonowo-klasowym i w takiej tresurze, że im tego rodzaju ambicje jeszcze na myśl nie przychodzą. Dla tych zaś, które nie mają dużych środków materialnych, kształcenie się jest specjalnie utrudnione. Bo aby się móc uczyć, trzeba przede wszystkim mieszkać w mieście dużym, płacić drogo prywatnych nauczycieli i wśród atmosfery niechęci zdawać egzaminy. „Na drodze tej wszystko jeszcze dla nas tak trudno, nie w porę, drogo, daleko¹⁾”, skarży się Józia Skiwska. Otuchy dodaje im jedynie myśl, że kiedyś będzie inaczej. Z trudnością osiągają one jednak swe cele i dochodzi nawet do tego, że rodziny przestają uważać postanowienie kształcenia swych córek, za nieszczęście, przeciw któremu trzeba bronić się wszystkimi siłami. Już Janka („I pieśń niech zapłacze”) bez opozycji ze strony rodziny wyjeżdża na studia za granicę i zostaje lekarzem, „nikt temu przeszkód żadnych nie stawiał; przeciwnie, zdolności jej umysłowe zdawały się wszystkim wystarczającymi dla osiągnięcia celu już często przez kobiety osiąganego, że zadziwiać i do sporu skłaniać przestał²⁾”.

Nie można sobie wyobrazić, żeby wszystkie z reguły emancypantki były pełnymi zaparcia bojownicami o wielką sprawę, swych praw do życia. Zawsze przecież znajdują się ludzie, którzy ideę bodaj największą i najświętszą wypaczyć potrafią. Tak więc prócz tych bohaterskich pionierów w stylu Józii Skiwskiej („Bańka mydlana”) były pseudo-emancypantki, które sprawę walki o prawa kobiece usiłowały wyzyskać dla rozwiązłego życia i w końcu jak najkorzystniejszego wydania się za męża. Paula Mirowska („Bańka mydlana”) dużo i głośno projektuje o swym wyjeździe do Zurychu na medycynę, to znów o zakładzie szewskim, a wszystko to zaś ma być nowym środkiem kokieterii. Mimo wzniosłych hasel o nie-

¹⁾ „Bańka mydlana”, str. 366.

²⁾ „I pieśń niech zapłacze”, str. 19.

zależności żyje na koszt swego dalekiego krewnego, żonatego zresztą, którego zdołała obalamucić; wreszcie mimo propagowania i stosowania wolnej miłości, jako jedynie według niej godnej człowieka samodzielnego i niezależnego, wychodzi za mąż, skoro tylko znalazł się ktoś tak naiwny, że zechciał się z nią ożenić. Wszystkie deklamacje okazały się więc błagą, nowym sposobem „złapania męża“.

Co dziwniejsze, wśród kobiecych postaci Orzeszkowej jest nawet typ kobiety naukowca i to przysłowio-
wego, dla którego cały świat poza przedmiotem badań jest obojętny. To Eufrozyna z „Wesołej teorii i smutnej praktyki“, rozmiłowana do tego stopnia w faunie, że z całym skupieniem ogląda sowią wątrobę, nie zwracając uwagi na pełne miłości spojrzenia swego kolegi. A kiedy zaproponował jej wreszcie małżeństwo, odjechała i „życzyła sobie nie widzieć go więcej, aby nie wznawiać walki, jaka stoczyła się w jej sercu, pomiędzy nim a fauną, z zupełnym zresztą triumfem tej ostatniej“¹⁾.

Tyle w powieściach powiedziała Eliza Orzeszkowa o kobietach i sprawie kobiecej. Ponieważ jednak kwestia ta była dla niej jako dla kobiety ważniejsza od wszystkich innych, poświęciła jej również dwie broszury pt. „Kilka słów o kobietach“ i „O kobiecie“. Myśli zawarte w nich są kwintesencją tego wszystkiego, co o kobiecie swego czasu powiedziała w powieściach. Na sam wyraz „emancypacja“, pisze Orzeszkowa, przesuwały się różne typy kobiet. A więc „w pokoju zapełnionym dymem tytoniowym, z fajką lub cygarem bluźniącą rzeczom najświętszym, kobieta lwica; to znów rozpieszczona pani, pustą, z próżnowania wylęgłą fantazją lub chwilowym szaleńcem wiedzioną, zrywa związki rodzinne bez innych powodów, oprócz rozdrażnionej i zepsutej

¹⁾ „Wesoła teoria i smutna praktyka“, str. 21.

próżnowaniem i czytaniem ognistych romansów — wyobraźni, rzuca się w świat awantur i twierdzi, że jest emancypowana“¹⁾. Nie o taką emancypację chodziło Orzeszkowej. „Nie od urojonej tyranii mężczyzn, nie od świętych i przynoszących szczęście obowiązków rodzinnego życia, nie od przyzwoitości i prostoty, ale od słabości fizycznej, bardziej narzuconej niż od natury wziętej, od braku sił moralnych na samoistne i logiczne życie, od klątwy wiecznego niewolnictwa i anielstwa, od wypatrywania z cudzej ręki kawałka powszedniego chleba, od wiecznego zamykania przed nimi dróg poważnej i użytecznej pracy, mają i powinny się emancypować kobiety“²⁾.

Tak jak w powieściach, piętnuje ona tutaj wychowanie kobiet najzupełniej wadliwe, które jako jedyny cel stawia kobiecie małżeństwo, a przecież nie robi nic, aby do spełnienia tegoż ją przygotować. „Jakżeż może być inaczej, pisze Eliza Orzeszkowa, gdy, aż do chwili, w której wchodzi w życie rodzinne, tj. wybiera sobie cel i drogi swoje, najwyższymi jej zaletami mają być nieświadomość, naiwność, wszystkie zatem cechy dziecięce, ale nie człowiecze? Kobieta aż do zamążpójścia widzi świat tylko przez okno swego pokoju i oczyma otaczających ją ludzi. Siebie samej nie zna, ani wie, co leży na dnie jej własnej istoty, jaka będzie z czasem i jakie najwłaściwsze są dla niej drogi. Wiara tych, co ją otaczają, jest jej wiarą, ich wola jej wola. Życie dla niej to zagadka, nad której rozwiązaniem głowy sobie przecież nie łamie; gdy przyjdzie, zobaczymy, a teraz grajmy sonatę, albo haftujmy kołnierzyk“³⁾.

Wychowuje się ją w przekonaniu, że przeznaczeniem kobiety jest zostać żoną i matką, a tymczasem

¹⁾ „Kilka słów o kobietach“, str. 9.

²⁾ Tamże, str. 15.

³⁾ Tamże, str. 29.

o dzieciach mówić wobec panny jest czymś wysoce nieprzystojnym. To też życie tak wychowanym kobietom przynosi na każdym kroku zawody; zawiedzione, nie rozumiejące świata i przezeń niezrozumiane, nudzą się, szukają rozrywek rujnujących zdrowie i majątek, są lwicami, motylami, w najlepszym razie ochmistrzyniami czy kucharkami, ale nie ludźmi. Nazywa je Orzeszkowa „pensjonarkami grającymi w ślepą babkę i z zawiązanymi oczyma chwytającymi pierwszą lepszą połę męskiego surduta, która im się pod rękę nawinie¹⁾”. Dalej wykazuje ona cały bezsens pojęcia, że jedynym zadaniem kobiety jest być żoną i matką, wskazując na dzieśiatki i setki tych kobiet, które z jakichkolwiek względów nie wyszły za mąż, na te ośmieszane ongiś stare panny. Powołuje się na zdanie Eugeniusza Pelletana: „Kobieta jak i mężczyzna należy do rodzaju ludzkiego, jak on ma do spełnienia poza płciowym powołaniem swoim — ludzkie zadanie²⁾”. Tymczasem dziecku płci żeńskiej, ledwie zacznie chodzić mówi się, pisze Orzeszkowa: „Będiesz kobietą, staraj się więc siedzieć najciszej, w najcieplejszym kąciку, unikaj tchnienia wiatru, lub promienia słońca, trzymaj się prosto, mów cichuteńko, przechadzaj się powoli, spożywaj słodczyce, roń łyż przy każdej wydarzonej sposobności, z krzykiem przestrachu uciekaj od zwierząt, mdlej z obawy na widok broni palnej, gdyż cnotą twoją ma być nieśmiałość, ozdobą słabość i łyż³⁾”. Panienska ma być wątła, poetyczna, blada, a jedzenie jest potrzebą grubej materialnej natury. Stąd też w czasach owych panny wstydziły się jeść do syta, zwłaszcza w obecności mężczyzn. Nie trzeba sięgać do Orzeszkowej, wystarczy posłuchać opowiadań naszych babek, a czasem nawet matek, że w ich czasach trzeba

¹⁾ „Kilka słów o kobietach“, str. 47.

²⁾ Tamże, str. 61.

³⁾ Tamże, str. 87.

było konieczne jeść delikatnie i mało; to też zdarzało się niekiedy, że śmiertelnie głodne wstawały od stołu i w skrytości pędziły do kuchni, tam prosto z garnków podjadały do syta.

Zdawała sobie sprawę Orzeszkowa, jak wynika z dalszych jej wywodów, że na drodze do reformy stoją trzy przeszkody: tradycja, rutyna, obawa; jak powiada, „wciąż jeszcze są ludzie, którym przed oczyma stoi klasyczna kądziel i motowidło“. Podkreśla to, czemu dała wyraz niejednokrotnie w swych powieściach, że kobietom zubożałym pozostaje chleb jałmużny u bogatych krewnych, lub dawnych przyjaciół, ewentualnie nauczycielstwo, pojęte jako środek uniwersalny na każdą biedę. „Każda kobieta znająca obce języki i umiejąca jakkolwiek grać na fortepianie, czuje się upoważniona do zostania guwernantką i obiecuje sobie znaleźć w tym zawodzie byt codzienny“. Tymczasem guwernantek, które mogą kończyć edukację pańien, jak pisze Orzeszkowa, jest bardzo niewiele, bo wymaga się od nich najmniej 2-ch lub 3-ch języków obcych, wirtuozostwa na fortepianie, doskonałego akcentu francuskiego no i pięknej maniery. Byt tych co mają największe kwalifikacje, jeśli się nie bierze pod uwagę starości, ani możliwości choroby, jest znośny. Otrzymują 300 lub 400 rs. rocznej płacy, mogą żyć, ale odłożyć coś na przyszłość nie podobna. Tych zresztą jest mało. Natomiast „mrowi się ogromna masa tych cichuteńkich i pokornych istot, w ciemnych wełnianych sukniach, z białymi od strudzenia twarzami, ze spuszczonego od upokorzeń wzrokiem, istot, które bez powołania i zdolności, bez dostatecznego wykształcenia pracują ciężko i najczęściej nieumiejętnie, z małą lub żadną dla uczennic korzyścią, a dla siebie z płacą mogącą zaledwie odziać je w tę ubogą sukienkę, która je okrywa“).

¹⁾ „Kilka słów o kobiecie“, str. 21.

Porusza też tę kwestię, że nauczycielka Polka, choćby była doskonała, ulec musi cudzoziemce, gdyż ta przynosi więcej zaszczytu domowi. Oto co pisze: „Nie zrozumiała, dziwaczna jakaś chluba przywiązana jest w towarzyskim mniemaniu do posiadania w domu cudzoziemki. Śmieszność ta doszła do takiego stopnia, że zaszczyt spływający na dom z pobytu w nim cudzoziemki stopniuje się według różnych narodowości, Szwajcarka i Niemka uważane są za coś zwyczajniejszego i bardziej powszedniego, Francuzki daleko już więcej przynoszą domowi dystynkcji i chluby, ale najwyższym zaszczytem dobrego domu jest posiadanie Angielki¹⁾. Tymczasem jak się okazywało, często te Francuzki, uczennice zakładu Sacré-Coeur lub St. Claire, były ekspraczkami, czy eksbaletnicami paryskimi. Podobnie za przykładem sfer wyższych, rzemieślnicy, urzędnicy, nie mogący zapewnić córkom swoim posagu, mało zamożni, a liczny potomstwem obdarzeni właściciele ziemscy, nie uczą swych córek żadnej pracy, a dają im edukację zasadzającą się na języku francuskim i grze na fortepianie, bo, jak pisze Orzeszkowa, „urzędnicy i właściciele ziemscy nie chcą poniżyć swych córek, spობiać je na rzemieślniczki lub handlarki; rzemieślnicy i kupcy, chcąc je wywyższyć, kształcą na nauczycielki choć mierne, albo próżnujące panny²⁾. Kobiety swego czasu dzieli Orzeszkowa na pewne grupy i tak: Pierwsza to „księżniczki na Wątorach, które napelniają nasze dwory, dworki i te nawet dworeczki, które za ledwie rozróżnić można od kmiecych chat³⁾. Te z domu nie wychylają się bez rękawiczek i wachlarza, z robót domowych potrafią nalać herbatę, zadysponować obiadem. Jeśli je bieda przycisnie, biorą się do gospodarstwa z niechęcią i nieumiejętnie. Druga kategoria to kury dome-

1) „Kilka słów o kobietach“, strona 217.

2) „Kilka słów o kobietach“, strona 251.

3) „O kobiecie“, strona 208.

sticae, zasada ich, jak robiła matka, babka, tak i ja. Trzecia wreszcie, to sięgające za wysoko, nigdy nie dosiegające swego celu, kandydatki na doktorki, „bańki mydlane, świecące chwilę jak brylanty, lecz wnet topniejące w mdłą i często mętną piankę¹⁾).

Zajmuje się też Orzeszkowa kwestią szkół dla dziewcząt. Jak zaznacza, ograniczyć się one musiały do pensjonatów klasztornych, których program obejmował dwa obce języki, muzykę, śpiew, taniec, elementarne wiadomości z historii, geografii i arytmetyki i wiele robót kobiecych. Wychowanie to dostępne było tylko dla córek domów zamożnych, a dawało zaś „daleko więcej przyzwyczajęń do zbytku i zabaw niż nauki i daleko mniej prawdziwej cywilizacji niż światowego zewnętrznego poloru²⁾. Szkoły elementarne dostępne są bez różnicy płci, średnie gimnazja realne, 6-cio klasowe i klasyczne 8-mio klasowe, są dla kobiet dostępne z uszczuplonym programem i to tylko w centrach, jak w Warszawie czy Wilnie. W gimnazjach tych nie ma jednak greki i łaciny, a wskutek tego ukończenie ich nie daje możliwości wstąpienia na uniwersytet. Tak więc kobiety, które uczyć się pragną dalej, zdane są na lekcje prywatne, na co trzeba mieć dużo pieniędzy i czasu. Bardziej od gimnazjów uczęszczane są pensje z programem zatwierdzonym, ale te, ponieważ są drogie, dostępne są tylko dla nielicznych.

„Wychowanie kobiece wyższe, przy kreśleniu wyrazów tych — pisze Orzeszkowa, zdejmując chęć rozdarcia szat i osypania głowy popiołem, na całej przestrzeni kraju naszego nie ma ani jednej odpowiedniej sobie instytucji³⁾. Pragnące się kształcić wyjeżdżają do Zurychu, na Sorbonę, w większości do Rosji na Aka-

1) „O kobiecie“ str. 215.

2) Tamże, str. 29.

3) Tamże, str. 49.

demie Medyczną lub szkołę pedagogiczną w instytucie Bestużewa. Warunki jednak studiowania i walka o jutro, nawet życzliwością ludzką nie poparta, są bardzo trudne, „piśmiennictwo nie zachęca do nich, rodziny uważają je prawie za nieszczęście¹⁾. Zresztą, jak słusznie zwraca uwagę Orzeszkowa, kobieta na zajęcie w biurze liczyć nie może, tym bardziej Polka. Jedyny wyjątek stanowią biura telegraficzne, gdzie w roku 1878 w Warszawie było 30 kobiet zajętych przy telegrafach. Poza tym czasem koleje prywatne przyjmują kobiety w charakterze kasjerek. Tak więc najczęściej uczą one w szkołach elementarnych i na prywatnych pensjach, a „był tych (nauczycielek ludowych) niezmiernie wiele pozostawia do życzenia i graniczy niemal z nędzą²⁾. Na pensjach otrzymują 50 kop. do 1 rs. za godzinę, podczas gdy mężczyźni biorą od 1 do 3 rs. Z prawdziwą satysfakcją pisze Orzeszkowa o Tomaszewicz-Dobrowskiej, która była w Polsce pierwszym lekarzem-kobietą i miała tak liczną klientelę, jak najbardziej znani lekarze warszawscy. Dopiero w roku 1874 powstała pierwsza szkoła rzemiosł dla kobiet, zawierająca działy: introligatorstwo, krój sukien, krój i szycie bielizny, kwiecjarstwo, rękawicznictwo, szewstwo damskie i dziecięce, drzeworytnictwo, drukarstwo, fryzjerstwo, rysunek stosowany do rzemiosł, fotografię, retuszerstwo, snycerstwo, zegarmistrzostwo, jubilerstwo, pieczętkarstwo, litografię, szczotkarstwo, polerowanie mebli i tokarstwo. W ciągu lat 6-ciu od roku 1874—1880, przeszło przez ten zakład 743 uczennice. Według tego, co pisze Orzeszkowa,

krawiectwo	miało	425	uczennic,
kwiecjarstwo	„	103	„
introligatorstwo	„	82	„
rękawicznictwo	„	34	„

¹⁾ „O kobiecie“, str. 52.

²⁾ Tamże, str. 55.

krój bielizny	miało	27	uczennic,
szewstwo	„	8	„
buchalteria	„	45	„

Ogół uniwersyteckiemu studiowaniu kobiet był przeciwny. Ilustruje to zdanie przytoczone przez Elizę Orzeszkową z felietonów „Gazety Polskiej“: „Ponieważ w porze, w której Afrodyta wyłoniła się z piany morskiej, nie było na świecie żadnego uniwersytetu dla kobiet, uniwersytet taki nie jest i nigdy potrzebny być nie może¹⁾. Oczywiście, że argument taki oburzał Orzeszkową — to też odparła go odpowiednio: „Ponieważ Afrodyta wyłaniająca się z piany morskiej żadnego wcale uniwersytetu nie potrzebowała, aby móc na niebie i ziemi właściwe sobie zadanie spełnić, zatem dzisiejsze kobiety pełnić mogą zadania swe bez pomocy żadnego uniwersytetu, czyli najstaranniej biorąc przykład z Afrodyty, jak tylko można najogólniej stawiać się Afrodytami²⁾. Ogół krzyczy, że studentek Polek nie ma. Orzeszkowa z prawdziwą satysfakcją ośmiela się twierdzić, że są i że pewna ich część znajduje się we Francji, gdzie minister oświaty Victor Durny otworzył wyższe zakłady naukowe przy Sorbonie dla kobiet, są w Genewie, w Bernie, Zurychu i gdzie indziej. Kursów Bestużewskich słuchało Polek 60. Studentki nie tylko były i uczyły się, ale, jak pisze Orzeszkowa: „jak donoszą o tym ze źródła, corocznie, przecięciowo 2 spośród tych kobiet umierają tam z głodu³⁾, nie licząc tych, które żyją co prawda, ale kosztem swego zdrowia i swych nerwów. Wreszcie z ironią pisze Orzeszkowa: „Wedle wskazań naszego społecznego horoskopu, którego o to zapytywałam, długo jeszcze posiadać będziemy nie-

¹⁾ „O kobiecie“, str. 152.

²⁾ Tamże, str. 153.

³⁾ Tamże, str. 163.

skończenie większą liczbę Afrodyt niż studentek¹⁾). Nie omieszkła Orzeszkowa wypowiedzieć się nawet w sprawie krótkich włosów emancypantek, oburzających tak bardzo ówczesnych ludzi. Oto co pisała: „Co do włosów krótko uciętych przyznaję otwarcie, że z mego punktu widzenia rzeczy nie rozumiem, dlaczego one byłyby mniej estetyczne, czy mniej moralne, od włosów w kształt koka bombiasto wydętych²⁾), dowodząc jeszcze i tym swoim zdaniem, jak bardzo wyprzedziła swój czas. W trakcie swych wywodów wskazywała, że dużo możliwości mają kobiety np. jako lekarki, choćby na tych stanowiskach, których mężczyźni zajmować nie chcą, po wsiach i małych miasteczkach. Nie pomija także upośledzenia kobiecego pod względem prawnym, a więc to, o czym pisała w swej noweli pt. „Czternasta część“. Dochodzi do wniosku i wykazuje, że kobieta, choć w zakresie przestępstw traktowana jest na równi z mężczyzną, pod względem praw i przywilejów jest upośledzona. Tyle o sprawach kobiecych przyniosły obie rozprawy Orzeszkowej.

Zrozumiałym jest, że kwestia kobieca w Polsce, choć ma swoje specyficzne lokalne cechy, pozostaje w związku z sprawą kobiecą w ogóle na świecie, a dokładniej w Europie i Ameryce. Jak wiadomo, ruch o wyzwolenie kobiety rozpoczął się we Francji powieściami George Sand („Lelia“, „Indiane“). Prosper Enfantin powołuje do życia sektę saint-simonistyczną, gdzie w r. 1831 na zgromadzeniu Rodziny padły te słowa: „Kobieta jest równa mężczyźnie, będzie równa mężczyźnie; jest dziś niewolnicą, jej pan powinien ją wyzwolić. Nie przez protest, nie przez negację, zdołacie ściągnąć kobietę, ale pozyskacie ją, oświadczając czego pragniecie dla niej, jak pojmujecie jej przyszłość, jakiej przyszłości spodziewa-

¹⁾ „O kobietach“, str. 171.

²⁾ Tamże, str. 173.

cie się dla niej“. Na czele ruchu emancypacyjnego we Francji stały Anna Ludwika de Staël, urodzona w roku 1766, zmarła w roku 1817, i Aurora Dudevand, urodzona w roku 1804, a zmarła w roku 1876. Walczą one o niezależność od samowoli rodziców w rozporządzaniu ich ręką i losem, niezależność w wyborze męża i urzędowania wzajemnych stosunków, i niezależność prawną w zarządzaniu swoją własnością. Dążą również do wyższego i gruntowniejszego wykształcenia i rozszerzenia zakresu pracy, tak, aby kobieta mogła samoistnie żyć. Sprawa nierozzerwalności małżeństwa gorączkuje umysły i wytwarza mniej lub więcej skrajne poglądy. Potem, gdy Francja za Napoleona III przede wszystkim bawiła się, na czele ruchu kobiecego stanęły Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Anglia. W Stanach już zresztą w r. 1800 pierwsza kobieta zostaje doktorem medycyny; w Anglii w tym duchu pisze Karolina Brontë zmarła w roku 1883, i przede wszystkim Maria Anna Evans (zameżna Levis), zmarła w roku 1890 (pseudonim George Elliot).

W Polsce ruch emancypacyjny ukształtował się w warunkach zupełnie odmiennych. Zapoczątkował go noworocznik „Piewiosnek“, wychodzący pod redakcją Pauliny z Radziejowskich Krakowowej (1788—1852). Akcję zapoczątkowaną przez „Pierwiosnek“ posunęły naprzód „entuzjastki“ z Gabryelą-Narcyzą Żmichowską na czele (1819—1876). Program swój rozwijają w „Przeglądzie Naukowym“, wychodzącym w Warszawie od roku 1842 do 1848 pod redakcją Skimborowicza i Dembowskiego, i w broszurkach osobno wydawanych. Do grona entuzjastek należały początkowo tylko cztery kobiety, a mianowicie: Narcyza Żmichowska, Wincenta Zabłocka, Anna z Sokołowskich Skimborowiczowa, Kazimiera z Jaczewskich Ziemięcka. Do nich dołączyły się później: Zofia Mielecka, Faustyna Morzycka, Bibiana

Moraczewska, Emilia Gosselin. Domagały się one nie tylko gruntownego wykształcenia dla kobiet, ale większej swobody dla panien i większej opieki prawnej dla mężatek. W życiu towarzyskim pragnęły szczerości i niezależności przekonań. Ten polski feminizm rozwijał się w warunkach odmiennych niż francuski na przykład. Przyczyniło się do niego powstanie w roku 1831, niosące poważny ubytek mężczyźn. Wówczas „kobieta urasta, mężczyzna kurczy się i maleje“, jak to określa Boy. Niektóre z ówczesnych kobiet w ogóle nie chcą wychodzić za mąż, czy to jak Wincenta Zabłocka po stracie narzeczonego, czy to, inne piękne i bogate, jak Bibianna Moraczewska, Paulina Zbyszewska, Izabella Zbiegniewska — bez żadnych przyczyn. Oczywiście, że oddziaływały tu i wpływy francuskie. Paulina Zbyszewska miała opinię saint-simonistki, a w silniejszym jeszcze stopniu Julia Molińska, która bez ślubu — nie chciała go brać dla zasady, — żyła z Wojkowskim. Jakkolwiek było, stwierdzić możemy, że już im sprzykrzyła się „klasyczna kądziel i motowidło“ i zapragnęły życia samodzielnego, możliwości kształcenia się — i ideałom tym pozostawały wierne „usque ad finem“, o czym świadczy choćby testament Zbyszewskiej.

Szersze kręgi zatoczył polski feminizm po roku 1863. Wpłynęła na to zmiana ekonomiczna, wywołana uwłaszczeniem, która zmusiła właścicieli ziemskich liczyć się z groszem, i drugi równie ważny powód, ubytek mężczyźn wywołany ostatnim powstaniem. Jak powiada Orzeszkowa, przez 10 lat przeszło mężczyzna w wieku sposobnym do ożenienia się był dosłownie rzadko spotykaną osobliwością¹⁾. Wreszcie zaważył tu niewątpliwie, choć najmniej pozytywizm, który powoływał wszystkich do gruntownego kształcenia. Na czele ruchu stają przede wszystkim Eliza Orzeszkowa, dalej Józefa

¹⁾ „O kobiecie“, str. 137.

Śmigielska-Dobieszewska, zmarła w roku 1900, Anastazja Dzieduszycka, a wymienić by tu można było jeszcze inne, mianowicie Józefę Kamocką, Władysławę Izdebską, Marię Zalewską, itd.

Jak wyglądało wówczas wychowanie kobiet i jakie były kobiety, wiemy z powieści Orzeszkowej. Ten obraz świata i życia kobiecego, jaki tam znajdujemy, choć dziś nam wydaje się może zbyt czarnymi malowany barwami, niestety najzupełniej zgadza się z tym, co piszą inni z tego okresu, lub o tym okresie.

„Będąc mniej lub więcej powolną służebnicą męża, pełniła ona w rodzinie dwa zadania; pierwsze: „wydawała na świat dzieci i przez kilka lat roztaczała nad nimi swą pieczę, drugie: strzegła ogniska domowego, rządziła kuchnią i drobnymi sprawami gospodarskimi. Jakkolwiek błyskotliwymi pozorami okrywano nędzę jej położenia, ubóstwo ideałów kobiety, wbrew apoteozom poetów i zakochanych, utrzymywało ją stale na poziomie rodzicielki i gospodyni w najważniejszym zakresie“¹⁾, pisze Karpowicz.

Jeszcze bardziej pokrywa się z tym, co wiemy z powieści Orzeszkowej o systemie wychowawczym, dalsze wywody tegoż autora: „Wychowanie domowe dziewcząt polegało głównie na pozbawieniu wszelkiej samodzielności, na tłumieniu wrodzonego ludzom popędu do badania i zaszczepiania tzw. cnót niewieścich, tj. usposobienia wiernego, uległego, powierzchownego sądu o rzeczach, różowych pojęć o życiu, zamilowania w pozorach i sztuki podobania, co właściwie stanowi początek, treść i koniec całej edukacji kobiety“²⁾.

O życiu bogatej pani czytamy znowu prawie to samo u Karpowicza, co u Orzeszkowej: „Matka zdaje swe dzieci na łaskę pospolitej służącej, rodaczki lub cudzoziemki, a sama odwiedza znajomych, bawi się po

¹⁾ „Kobieta współczesna“, str. 15.

²⁾ Tamże, str. 16.

wieczorkach, rautach, balach itp. czytuje powieści, trochę grywa na fortepianie, czasem maluje, lub wyszywa przeróżne ozdóbki, ale wszystko to nudzi w końcu, bo razem wzięte nie ma celu. Snuje się przeto jedną intrygę za drugą, stwarza dramacik miłosny, lecz i to nie długo pociesza, więc domy bogatsze szukają wrażeń po większych miastach, badach i krajach zamorskich, by z większym jeszcze zniechęceniem powrócić do bezbrzeżnej szarzyzny życia, a panie uboższe zaskorupiają się ze swymi cnotami i miliardami kłopotów we własnym zakątku i pędzą żywot ślimaczy¹⁾.

Obserwacje Orzeszkowej potwierdza również artykuł z „Kraju” nr 14 roku 1883. „Uznając kobietę już za niższą umysłowo, słabszą fizycznie od mężczyzny (społeczeństwo) chce ją mieć jako niewolnicę, naprzód rodziny, a potem męża, nie mogącą być nigdy samoistną, lecz tylko albo wierną zabawką w ręku mężczyzny, lub też sprzętem w domu męża. W tym kierunku ją więc wychowują. Rodzice od lat najmłodszych starają się przy pomocy nauczycielek, aby ich córka zatraciła własną wolę zupełnie, i we wszystkim tylko im się dała powodować; nie rozwijają w niej samodzielności myśli, poczucia moralnych obowiązków, a po prostu robią z niej wielkie zero i podnoszą tę bierność umysłową do apoteozy cnoty i łagodności, która staje się upragnionym ideałem domowego wychowania”.

Małżeństwo, sądząc z powieści Orzeszkowej, to w świecie ówczesnym tylko proste targi, mniej lub więcej zamaskowane. I jak się okazuje nie było to tylko jej zdanie, bowiem w tymże samym artykule „Kraju” czytamy: „Jeżeli nie prowadzimy handlu niewolnikami na rynkach, jak to czynili starożytni, to jednak handel taki istnieje u nas w odmiennej tylko nieco formie. Czyż rodzice nie sprzedają swych córek, dla jakichbądź wi-

¹⁾ „Kobieta współczesna”, str. 25.

doków? Czyż mężczyzna nie szuka sposobu wzbogacenia się przez ożenienie, a niezdolny do pracy lub leniwy czyż nie idzie na utrzymanie żony, przypisując sobie prawo zostania posiadaczem jej całego mienia i czyż nie traci go nieraz, nie czując się za to odpowiedzialnym, bo je miał za swoje? Czyż kobieta w braku środków i zarobkowania, ażeby z głodu nie umrzeć, nie sprzedaje siebie zepsutemu sybarycie?”

O tym zaś jaki był stan oświaty, specjalnie kobiecej, świadczą cyfry wzięte chociażby ze stosunków grodzieńskich. Oto w roku 1882 w tamtejszym żeńskim gimnazjum kształciło się 332 uczennic, wyznania rzymsko-katolickiego 43 tylko, podczas gdy prawosławnego 133, ewangelickiego 11, mojżeszowego 152, mahometańskiego 3. Częściowym powodem małej ilości uczennic wyznania rzymsko-katolickiego było to, że wychowanie dziewcząt powierzano prywatnym nauczycielkom, albo oddawano je na pensję, a najważniejszym, fakt, że nie wszędzie jeszcze uznano potrzebę gruntownego wykształcenia dla kobiety; „najczęściej zadawalniamy się, pisze autor artykułu poruszającego tę sprawę, gdy umie przeczytać romans, napisać miłosny bilecik, sprawdzić rachunek kucharki, po co tam gruntowna nauka. Wszak część życia przesiedzi u rodziców i krewnych, a potem usiadzie na kark mężowi¹⁾. Podobnie jak Orzeszkowa, publicyści tego okresu zwracają uwagę na nędzne położenie kobiet, zwłaszcza mniej zamożnych, dla których jedynymi dostępnymi gałęziami pracy są nauczycielstwo i krawieczyna. Ci również stwierdzają, że, ponieważ podaż znacznie przewyższa popyt, płace są niskie, tak, iż ich byt graniczy prawie z nędzą. Podobnie jak Orzeszkowa zwracają uwagę, że gra w tym wypadku rolę również upośledzenie kobiet, bo „gdy dobremu guwernerowi ofiarowują 1.000 do 2.000 rs. pensji rocznej, a kore-

¹⁾ „Kraj” petersburski 1883, nr 41.

petytorowi przygotowującemu do szkół płaci się przeciętnie 25 rs. miesięcznie, najwyższa pensja nauczycielek domowych nie przenosi 600 do 800 rs. a czasem tylko 180 rs. Nauczyciel mężczyzna dający lekcje na godziny nie przyjmuje zwykle tańszych lekcji niż rublowe, gdy dla nauczycielki o tych samych kwalifikacjach rubel jest szczytem marzeń¹⁾. „O! gdyby ci, pisze autor artykułu w „Kraju“ (nr 41 roku 1883), co powstają przeciw wyższym naukowym zakładom dla kobiet, a tym samym przeciw rozszerzeniu pola ich pracy, zobaczyli nauczycielkę wracającą w późny wieczór z całodziennych lekcyj do domu, nieraz w obezwładnieniu padającą na łóżko, zmęczoną, znużoną, z umysłem ociężałym, niezdolnym do myślenia, gdyby się przypatrzyli jak krwawo zdobywa kawałek chleba ta, która nie chce być ciężarem dla innych, możeby zmienili swe poglądy i nie chcieli stawiać na drodze polepszenia bytu nieszczęśliwych „pracownic“. „I tak już ciężkie położenie tych helotek inteligencji, jak autor nazywa nauczycielki prywatne, pogarsza wprost nieuczciwość ludzka. Oto pewni państwo umówili w Grodnie nauczycielkę do swych dzieci, posiadającą wszelkie kwalifikacje. A gdy ta porzuciwszy swe dotychczasowe lekcje przybyła, przyjęto ją bardzo chłodno, obejrzano należycie, następnie lekcje zaczęto odkładać z dnia na dzień; piątek dzień feralny, w sobotę znowu coś wymyślono, a w poniedziałek powiedziano, że za młoda jest (panna lat 30) do uczenia ich dzieci, zatem może wracać skąd przyjechała. Tak więc, jak widzimy, traktowanie nauczycielek prywatnych zgadza się z tym, co wiemy chociażby z „Panny Antoniny“ Orzeszkowej. A teraz przyglądnijmy się jak wyglądało wychowanie panien zamożniejszych, które dostatecznie już znamy z powieści Orzeszkowej. Oto co pisze „Kraj“ w n-rze 45 z roku 1883: „zamożniejsze odbierają wyłącz-

¹⁾ „Kobieta współczesna“, str. 45.

nie wychowanie domowe, kierowane natchnieniem bez systemu, bez uwzględnienia niezbędnych wiadomości; nauczycielki bowiem biorą na chybił trafił, w najlepszym razie, z patentem moralności i niepokalanej francuskiej wymowy. To też w każdej trochę szerszej rozmowie, można podsłuchać mnóstwo banialuków, szczególnie z dziedziny przyrodniczej i rodowitego języka; matki po dawnemu rumienia się za swą nieświadomość przed synem 2-klasistą, a jest nadzieja, że jeszcze długo rumienić się będą. Zaczarowane koło konwenansów czyni z naszych kobiet dość miłe lalki za młodu, dokąd żar codziennej pracy grzebią za nie rodzicielskie ręce; praktyczne życie przerabia je na zrzędne gosposie, których świat zaczyna się w oborze a kończy się w kurniku, albo na nieszczęśliwe ofiary uginające się pod ładą ciężarem“.

Należałoby jeszcze poruszyć kwestię studentek, o których Orzeszkowa wbrew opinii społecznej twierdziła, że istnieją. Otóż wedle Piltza¹⁾ w roku 1889 na 1575 młodzieży studiującej za granicą, było kobiet 144, czyli 9.14%. Polki oczywiście mogły nauki uniwersyteckiej szukać tylko za granicą, bo tak uniwersytety austriackie, jak niemieckie i rosyjskie, nie przyjmowały kobiet. Opinia publiczna studiom kobiecym była przeciwna. A jednak studentki były i to nieprzeciętne. Studiowały i pracowały za granicą; (już zresztą w 1847 roku przybyła do Ameryki Polka Maria Zakrzewska i studiowała medycynę w Clevelandzie¹⁾). Wystarczy wspomnieć Józefę Joteyko, która studia przyrodnicze odbywała w Genewie, lekarskie w Paryżu, gdzie w roku 1896 otrzymała stopień doktora medycyny, i gdzie w r. 1915 została zaproszona (pierwsza kobieta) na wykłady w Collège de France, Dr Michalinę Stefanowską, urodzoną w Grodnie, która kończy uniwersytet genewski, pracuje w Paryżu i Bruxelli w Instytucie Fizjologicznym Solvay'a i wresz-

¹⁾ „Nasza młodzież“.

cie znaną wszystkim Skłodowską. To najślawniejsze z tych w ciężkim trudzie studiujących studentek ówczesnych, z których, jak pisze Orzeszkowa, 2 przeciętnie umierały rocznie z głodu. Inne po studiach powracały do kraju jak Anna Tomaszewicz-Dobrska, pierwszy lekarz-kobieta w Polsce pracująca w Warszawie. W roku 1900 liczono 90 Polek zajmujących się praktyką lekarską, w kraju jak i za granicą.¹⁾ Jak wiadomo w ogóle pierwsze otworzyły swe uniwersytety dla kobiet Stany Zjednoczone Ameryki Północnej; a w Europie pierwszym zakładem, który przyjął kobiety, był uniwersytet zurychski, bo już od roku 1864, (w 1870 było tam 18 studentek), potem paryski od roku 1869. Pierwsze hospitantki w Krakowie pojawiły się w r. 1894, we Lwowie 1896, a w roku 1897 pozwolono się tu kobietom wpisywać na wydział filozoficzny i medyczny pod warunkiem zdania baka-laureatu. Pierwszą kobietą doktorat w Polsce otrzymała w roku 1904 Moraczewska. Pod zaborem austriackim miały wstęp tylko poddane austriackie, a doktorkom wolno było się zajmować praktyką od roku 1896. Tak więc okazuje się, że Eliza Orzeszkowa była doskonałą obserwatorką między innymi i sprawy kobiecej. Słyszac nazwiska tych sławnych kobiet ówczesnych, nie należy się łudzić co do ogółu, bo jak pisze Karpowicz: „Ogół kobiet ani z nauką, ani z kulturą współczesną nie ma nic wspólnego; rozmowy bowiem o nowościach powieści, dramatu, i o najświeższych wypadkach politycznych i kierunkach w sztuce, są tylko grą słów, nawet bez udziału wyobraźni“.²⁾

Wiele w tym, co pisała Orzeszkowa o kobietach swego czasu wypłynęło z jej osobistych przeżyć; przecież i ona, podobnie jak cały szereg panien z jej sfery, wraz z siostrzyczką Klimunią, mogła mówić jako dziecko

¹⁾ Według Lipińskiej „Kobieta współczesna“.

²⁾ Karpowicz „Kobieta współczesna“, str. 16.

z matką tylko po francusku, tak że nie pamiętała siebie nie mówiącej tym językiem; z nauczycielką mówiła również po francusku i tylko w nieobecności matki dzieci z panną Kobylińską rozmawiały po polsku. Z panną Fechner mówiły po niemiecku. Wykształcenie otrzymała takie samo, jak setki jej współczesnych panien z dobrego domu — na pensji u Sakramentek. Wszystkie braki w wychowaniu kobiecym, o których mówiła, знаła z własnego doświadczenia. Dużo trudu i pracy musiała włożyć, aby swe wiadomości zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych — uzupełnić. Wspominała ile namozoliła się „samoukując“ nad chemią i fizyką zwłaszcza, o której ani w domu, ani w szkole nie słyszała — „takim był zwyczaj. Wielu rzeczy uczyły się podówczas panny, ale wielu innych uczyć je, ani nawet kiedy pomyślano. Było to powszechne“.¹⁾

Wreszcie pogląd Orzeszkowej na sposób zawierania małżeństw w jej sferze znany nam z jej powieści sformułował się pod wpływem osobistych, smutnych doświadczeń. Oto jak doszło do skutku jej małżeństwo: „Już po dwóch wizytach, z których jedna trwała kwadrans, a druga kilka godzin, pan Glindziez (dawny i bliski znajomy matki Elizy) na wieczorze u Klimaszewskich prosił moją matkę o moją rękę dla swego szwagra. Na tym wieczorze tańczyłam dużo z panem Orzeszką; wiedziałam doskonale, że jest to mój starający się, i po powrocie do domu słyszałam jak mama naradzała się z mężem, jaką ma dać nazajutrz odpowiedź panu Glindziezowi i najmniejszego niepokoju nie uczuwałam. Wiedziałam, że muszę wyjść za mąż bardzo rychło, bo tak sobie życzy matka i wymagają tego zwyczaje. Za kogo? wszystko mi było jedno. Pan Orzeszko podobał mi się więcej od innych z powierzchowności, ze sposobu tańczenia, a uczuwałam ciekawość do stron dość dalekich,

¹⁾ Zwierzenia „Kraj“ petersburski, 1891 nr 50.

w których mieszkał“.¹⁾ Nic więc dziwnego, że gdy Glin-dzicz przyjechał po odpowiedź, była tak spokojna, iż czytała z zapalem powieść Zachariasiewicza pt. „Uczony“ i była nią zainteresowana więcej niż swym małżeństwem. Trzeba pamiętać, że brakowało jej do lat 16-tu parę miesięcy,²⁾ a pan Orzeszko miał lat 35. Że małżeństwo jej było nieszczęśliwe, to oprócz tego, iż wiemy, że przeprowadziła rozwód mimo wielkich trudności, świadczą słowa jej: „O niektórych stronach ówczesnego życia mego, mówić nie będę ani teraz, ani nigdy. Życie oduczyło mnie zwierzeń osobistych i mam wrodzony zarówno, jak z pewnych zasad moralnych wypływający wstręt do głośnego skarżenia się“. To wystarczy.

Po powrocie z pensji wiodła tryb życia przypominający Waclawę, czy wiele innych bohaterek jej powieści. „Bawiono się, jak w wielkim mieście, były ustawiczne wizyty, wieczory, wieczorki, teatry amatorskie w resursie obywatelskiej, zebrania po kilkaset osób liczące, maskarady, loterie fantowe, itp. Bywałam z mamą wszędzie i u nas bywało mnóstwo osób. Zajmowałyśmy przy ul. Brygidzkiej mieszkanie z 9-ciu pokojów złożone, z dużym salonem“.³⁾ To o czym pisała — jak więc widzimy, sama w znacznej części przeszła. Wyłamała się spod ogólnej rutyny, całą swą wiedzę zdobyła później własną pracą, ustawicznym kształceniem się, którego rozkosz poznała. Walczyła dla kobiet o prawo do kształcenia się i pracy na równi z mężczyznami, bo sama zaznała pustki próżniaczego na zabawach spędzonego życia i z drugiej strony radości, niczym nie dającej się zastą-

¹⁾ Pamiętnik ogłoszony przez Meyèta, Kurier Warszawski, 1911, nr 24.

²⁾ Tak pisze w pamiętniku ogłoszonym przez Meyèta — tymczasem wydawcy „Listów“ (1937) prostują, że miała lat 17, Orzeszko 33, t. I, str. 420.

³⁾ Pamiętnik ogłoszony przez Meyèta, Kurier Warszawski, 1911 nr 23 i nast.

pić, jaką daje nauka. Walczyła, by otworzyć wstęp na uniwersytet, by inne kobiety mogły zakosztować tego, o czym marzyła przez długie lata, jak gdzieś powie-działa. Kiedyś w dyskusji Smolka, który był przeciwnikiem dopuszczenia kobiet na uniwersytety, powiedział do niej, że prędzej mu włosy na dłoni wyrosną niż ko-biety ujrzy w audytoriach uniwersyteckich. To też w kil-ka lat później, gdy wbrew jego przewidywaniom, ma-rzenia Orzeszkowej ziściły się, stwierdziła z radością: „podziwiałam pyszną długą brodę profesora Smolki, ale włosów na dłoni nie zauważyłam“.

VII

MŁODZIEŻ, OŚWIATA

Powiedziała gdzieś w „Cnotliwych” Orzeszkowa przez usta Gaczyckiego: „Wzrost i wychowanie młodego pokolenia, uważam za główną dźwignię naszego społeczeństwa, za pracę, która powinna być najważniejszą naszą troską, bo od jej rezultatów zależy powodzenie lub upadek spraw najdroższych naszemu sercu”.¹⁾ To też o kwestii oświaty i nieodłącznej od niej kwestii wychowania pisała dużo tak w swoich powieściach jak i artykułach. Widziała tegoż wychowania liczne braki i błędy zwłaszcza, jeśli chodziło o sfery najzamożniejsze, a jej najbardziej znane. Przyglądnijmy się, jak w świetle tej powieści wyglądało to wychowanie (pomijam tu kwestię wychowania kobiecego, wyżej już omówioną).

Synowie rodzin najzamożniejszych spędzają dzieciństwo najzupełniej beztrosko, nie robiąc najczęściej nic do lat 10-ciu. Ot, Kalikst Graba, jak ongiś Rej, biegał z biczkiem ze złoconą galką, strasząc nim kury na folwaraku i żaby nad stawem. Od lat dziesięciu gdzieś, wychowaniem ich kierują guwernantki, czy guwernerzy, u najbogatszych wprost z Paryża, czy Londynu sprowadzeni, jakiś L'abbé Rivière, czy Sir Wight („Melancholicy”). Metody wychowawcze dokładnie opisuje Graba: „Niemka ciągle spała, albo robiła pończochę, bo była stara i głupowata; Szwajcarka ciągle kochała się i czytała ro-

¹⁾ „Cnotliwi”, str. 230.

manse, bo była młoda i romansowa. A prawda, Szwajcarka uczyła mnie rozumieć francuskie romanse, które kazała mi czytywać sobie do godziny 12-tej lub 1-szej w nocy, a gdym czego z nich nie pojmował tłumaczyła mi z niewypowiedzianą dokładnością i wymową”.¹⁾ Czasem uczęszczają nawet do gimnazjum, choć częściej ograniczają się do ukończenia 5-ciu klas powiatowych jak Michał Starski („Początek powieści”), czy 3 progimnazjalnych jak Kaliński („Stracony”), poczem rodzice czym prędzej przywołują ich pod dach ojczysty. W gimnazjum, o ile je kończą, niewiele się uczą, bo dobrze zamożni rodzice potrafią swych synów uchronić od tej przykrości. Ot, gdy nadchodziły egzaminy, przyjeżdżał taki papa Kloński, za nim ciągnęły fury indyków i zwierzyny, „dawał kilka śniadań profesorom, całował ich serdecznie w oba policzki”,²⁾ i syn nie trudząc się dostawał promocje z klasy niższej do wyższej, nie wiedząc nawet czego w poszczególnych uczą. Inni wreszcie kształcą się w ogóle za granicą, jak ordynat Zrębski w Anglii, w kulcie dla sportu, koni i befsztyku. A wszyscy, których na to tylko stać, uzupełniają swoją edukację w paryskich kawiarniach, w domach gry, gdzieś w Hamburgu, czy Baden, czy wreszcie w wiedeńskich kabaretach. W ciągu lat paru tracą miliony i zdrowie. Na tak szeroki gest może sobie pozwolić tylko elita. Inni zadowolniając się Warszawą, czy Wilnem, w najgorszym razie jarmarkami, czy bilardem i kartami u miejscowych Szmulów. Kończy się to czasem niewesoło: 19-letni dziedzic pięknego, starego nazwiska, taki właśnie, co to wychowywał się pod opieką Francuzki, potem Francuza, zabija w sporze małomiasteczkowego szulera karcianego („Stracony”). W najlepszym razie młodzieńcy ci, mogliby o sobie powiedzieć to, co Tozio Ślabecki: „mówię do-

¹⁾ „Pan Graba”, str. 127.

²⁾ Tamże, str. 40.

skonale po francusku i trochę po angielsku, przeczytałem kilkadziesiąt romansów Sanda i Dumasa, wiem jak znaleźć się w salonie i z ożywieniem poprowadzić dowcipną konwersację z damami. I oto cała moja wiedza“.¹⁾

Rodzice nie myślą synów swych kształcić, a broń Boże wysyłać na uniwersytet; rozumują tak jak matka Graby, czy Waclawy: „Kaliś nie będzie potrzebował pracować na życie, po co mu te nauki“.²⁾ Wszak wedle wyobrażeń panujących w tym świecie, bogaci uczą się tylko języków obcych, muzyki, tańca i manier towarzyskich. To też mówią normalnie dobrze dwoma, czy trzema obcymi językami, grają co najmniej na 2-ich instrumentach, tańczą nieźrównanie walca, po mistrzowsku piją szampana i to wszystko. Tak młodzi, a starsze pokolenie? W większości również jeżdżą za granicę, a w mniejszości bawią się i polują w kraju. Wizyty, gra w winta czy preferansa wypełniają czas. Nieliczni, tacy jak Benedykt Korczyński, Mieczysław Orchowski, czy Hornicz z „Braci“ wszystkie swoje wysiłki wkładają w walkę o utrzymanie ziemi, tak że nie mają już ni czasu, ni siły na uzupełnienie swego wykształcenia; strudzony nad gazetą zasypia pan Benedykt.

Wśród zamożnej, złotej młodzieży beztrosko i wesoło pędzącej życie, trafiają się czasami inteligentniejsi, mający pewne aspiracje. Ci w chwilach nudy i pustki czepiają się jakiejś niby pracy, wtedy np. tłumaczą przez dwa lata 2 akty „Kaina“ Byrona, czy piszą artykuły do gazet, myślą nawet o założeniu dziennika. Jednak złe nastroje szybko przemijają, i codzienne zabawy sprawiają znów przyjemność, wszelkie plany pryskają; lękają się bowiem pracy, bo przecież „robotą to wóz, który co dzień ciągnąć trzeba, a cóż będzie, jeżeli którego dnia zabrak-

¹⁾ „Pan Graba“, str. 223.

²⁾ Tamże, str. 27.

nie ochoty do ciągnięcia?“¹⁾ Ich ucywilizowanie właściwie objawia się w ten sposób tylko, że nie pozwala im zagrzebywać się na wsi, zmusza do pobytu w mieście, i podróży, wszak „podróżowanie należy do cech niejako pierwotnych i potrzeb zupełnie nieprzepartych człowieka kompletnie ucywilizowanego“.²⁾

Czasem nawet niektórzy z nich zdawali sobie sprawę, że należą do pokolenia, „które na drogę życia wstępuje w dniu feralnym, i zasmucało ich to niewątpliwie, lecz aby ta feralność specjalnie na nich wpływać miała, aby wynikała z niej dla nich potrzeba, czy powinność jakiejś metamorfozy, to im po prostu do głowy nie przychodziło“³⁾. I owszem, byliby nawet zdolni dokonać wielkich czynów, czy bohaterskich ofiar, gdyby ich entuzjazm w tym kierunku rozbudzono. Jednak ta grupa jest bardzo nieliczna. Na ogół młodzież z tych sfer sprawami swego kraju i społeczeństwa mało się interesuje, pędzi życie gdzieś między Paryżem a Ostendą. A ci nieliczni, którzy w ogóle zdolni są myśleć o czymś i nad czymś się zastanawiać, wyraźnie stwierdzają, że nie mają zamiaru dla społeczeństwa, czy ojczyzny pracować — to „dekadenci“, wychowani na Baudelaire. „Tak zwane zbawianie świata dla naszej schyłkowej epoki, jest już baśnią zaledwie prawdopodobną a nagą prawdą to, że każdy żyje dla siebie i według siebie“,⁴⁾ głosi Marian Darwid i jemu podobni. Oni wiedzą dobrze, że egoizm rządzi poczynaniami ludzkimi, i co więcej jest dobrym interesem. Im jest na razie dobrze. Co ich inni obchodzą — „dlaczego Paweł ma cierpieć, celem zmniejszenia cierpień Gawła?“⁵⁾

¹⁾ „Dwa bieguny“, str. 36.

²⁾ Tamże, str. 67.

³⁾ Tamże, str. 8.

⁴⁾ „Argonauci“, str. 168.

⁵⁾ Tamże, str. 168.

„My dzieci starego czasu, schyłkowcy, wiemy dobrze, że człowiek wiele zdobyć może, ale nie posiedzie nigdy bezwzględnej prawdy. Nie ma jej. Wszystko jest względne, jedynym dla mnie pewnikiem jest to, że ja jestem i chcę, a jedynym interesem umieć chcieć“¹⁾, głosi Marian Darwid. Jeżeli więc decydującym jest zaspokojenie osobistych pragnień, nic dziwnego, że dążą do niego bezwzględnie, depcząc wszelkie przeszkody w postaci, czy to rodziny, ojczyzny, miłosierdzia, czy ludzkości. Nie ma u nich miejsca na pracę dla innych, patriotyzm, czy inne „malowane garnki“. „Ojczyste, ojczyste, ojczyzna, — skarpetka cerowana, jedna z tych etykiet, którymi oblepiają się ludzie z pstrą powierzchownością, wrota, przed którymi stoją grabarze“²⁾. Podupadli majątkowo ziemianie, ogarnięci furją spieniężenia wszystkiego za byle co, są dla nich przedmiotem drwin, sans-chemise'ami, których liczna progenitura utworzy chyba klasę „sans-culotte'ów“. (Emil Blauendorfer). Własne społeczeństwo, kraj rodzinny, jest dla nich krajem puszczyków, gasnących lamp. Od nich, od własnej impotencji i spleenu uciekają w świat w poszukiwaniu nowych, silnych dreszczów. Tak przedstawia się młodzież najzamożniejsza, która mając pieniądze mogłaby najwięcej zdziałać — gdyby chciała. Mniej zamożni i całkiem biedni synowie owych wyśmiewanych małych właścicieli ziemskich z trudem wiążących koniec z końcem, podupadłych po roku 1863, kształcą się w gimnazjum, kończą 4, czy 5 klas, byle tylko jak najszybciej zacząć na siebie pracować. Najczęściej dostają jakąś posadę biurową, przez 11 godzin dziennie pracują jak Ryżyński („Widma“), czy Walery („Dziwak“) i wielu innych; wynagrodzenie mają nędzne, są przemęczeni, drżą o te nędzne egzystencje a wolne chwile wy-

¹⁾ „Argonauci“, str. 174.

²⁾ Tamże, str. 9.

zyskują, by się wyspać. Na „kulturę“ sił, ni czasu, ni, co najważniejsze, pieniędzy nie mają. Inni jeszcze wstępują do wojska rosyjskiego, zapominają z czasem polskiego języka, skrupuły czy wyrzuty sumienia, o ile je mają, zabijają pijaństwem i oficerskimi hulankami. To pewne, że pokolenie to uczyć się mogło tylko wyjątkowo „a wszystko to stawało się pod naciskiem przyczyn rozlicznych lecz ogólnie w miejscu tym i czasie panujących“¹⁾, jak dyskretnie określa Orzeszkowa. Ci, jeśli nawet czasem samouctwem zdobędą pewien zapas wiedzy, to po to, by stał się on dla nich tylko zarzewiem tęsknoty i wyższych pragnień, których skazani na „wieczne gryzmolenie“ spełnić nie mogą. O wielu z nich można by powiedzieć to, co autorka mówi o Mirewiczu: „Widocznym było, że myśl jego zrywała się, do szerszego lotu niż dozwalał na to zakres jego zajęć, że wiadomości, które posiadał, przewyższały potrzeby jego zawodu, że w głowie jego zebrało się dużo materiału umysłowego, z którym nie miał co zrobić. Dlatego praca, którą spełniał gorliwie, lecz wśród której ciągle zniżać się i powściągać musiał, nużyła go i niecierpliwiła“²⁾. Ci tym bardziej odczuwają zatechłą, duszącą atmosferę małych miast, gdzie wśród szarych trosk, upływają im dni podobne do siebie jak paciorki różańca. Bo oto jak wygląda takie małomiasteczkowe życie np. w Ongrodzie (Grodnie): „Wesoło jest lafiryndom, frynom, brzęczącym ostrogom, binoklom i spiczastym bokobrodom. Ale ktokolwiek nie ma szczęścia należeć do żadnej z powyższych grup społecznych, ten w miejscu tym w tej porze czuje w piersi swej wysuszający powiew pustyni, a w głowie jego jak w źródłach pewnych kwiaty, myśl zamienia się w kamień“³⁾. Wielu wśród kancelistów i doradców prawnych jest ta-

¹⁾ „Bańka mydlana“, str. 332.

²⁾ Tamże, str. 300.

³⁾ Tamże, str. 269.

kich, którzy wtłoczeni zostali w swój tryb życia, mimo że przeznaczeniem ich jest właśnie nauka. Ci stają się samoukami, w ciężkim trudzie i nędzy zdobywającymi wiedzę. Uczyć się nie mogą, po pierwsze dlatego, że jak najprędzej muszą zarabiać, a po wtóre, nie łatwo jest dzieciom polskim w ogóle a zwłaszcza biednym ukończyć gimnazjum. Czym była szkoła rosyjska dla dzieci polskich, przekonać się możemy z „Zygmunta Ławicza“, choć tam obraz, ze zrozumiałych względów cenzuralnych, został znacznie złagodzony. Jak widzimy w „Zygmuncie Ławiczu“ dzieci polskie uczyć się musiały w atmosferze wrogiej niechęci, jaką żywili ku nim ich wychowawcy i to pominiawszy już inne okoliczności stawało się trudnością nie do zwalczenia i zmuszało często do opuszczania przedwcześnie gimnazjum. Oto co Orzeszkowa o tych stosunkach mówi w „Zygmuncie Ławiczu“: „Do gimnazjum w X. przybył przed rokiem hellenista, niezmiernie uczony, ale obdarzony przez naturę temperamentem bardzo porywczym, głosem szorstkim i sercem, w którego głębi osiadła żarliwa niechęć ku tej mianowicie grupie ludzkości, do której należeli Ławicz i przyjaciele jego. Znał on tę grupę daleko mniej i niedokładniej, niż tę z której ród swój wiedli Xenophont i Homer niemniej nie lubił jej i koniec. Tak zwane pochodzenie przedstawiało się oczom hellenisty w postaci pierworodnej cnoty albo pierworodnego grzechu. On sam posiadał pierworodną cnotę; Ławicz i przyjaciele jego przyszli na świat z pierworodnym grzechem. Wszystko to razem w połączeniu z przyrodzoną gwałtownością temperamentu i szorstkością głosu czyniło go dla gromadki młodych przyjaciół wyjątkowo surowym i podejrzliwym, im zaś uczenie się Homera i Xenophonta niepospolicie utrudniało. Trudność ta wynikła z tego, co znanym już było i starożytnym Grekom a określanym przez nich nazwą zakłóceń duszy. Dusze ich w czasie wykładów greckich zakłócały się czasem tak dalece, że

przez całą resztę dnia Ławicz był blady i jak grób milczący, Zegrzda targał włosy i zgrzytał zębami, Kaplicki mówił o porzuceniu szkoły i wyjeździe na wieś, Derszłakowi zaś oczy zapadały głęboko i płonęły gorączką“.¹⁾

Nie łatwo uczyć się w takiej atmosferze, o konflikt nie trudno tym bardziej, że nauczyciele robią wszystko, by do niego doprowadzić. Jak ten z „Zygmunta Ławicza“: „Milczeć zawołał i ciszej nieco dodał inny jeszcze w dykcjonarzach salonu i parlamentów nie znajdujący się wyraz“.²⁾ A kiedy Ławicz odpowiedział niespodziewanie, że spokój jest pięknością duszy, nauczyciel rzucił mu Odyseję w głowę, na co Zegrzda zareagował rzuceniem kałamarza, który niestety upadł u nóg belfra. Skończyło się wyrzuceniem chłopców ze szkoły z dodatkiem „nie przyjmować nigdzie“, przyszłość i kariera ich były złamane. Trudno więc, jak widzimy, było ukończyć rosyjską szkołę, przebrnąć przez pasma niechęci i znieść ustawiczne poniżanie. Uczniowie tychże zwłaszcza myślący, inteligentniejsi, wcześniej czy później musieli dojść do wniosku, „że świat do góry nogami stoi, że trzeba go nazad do góry głową odwrócić“³⁾ tym bardziej, że krzywdy doznane w szkole zapadały szczególnie głęboko w dziecinne serca i czyniły je podatnymi na wszelkie dążenia, mające na celu burzenie starego porządku. Po takiej katordze, jaką była dla ucznia rosyjska szkoła średnia, szedł na uniwersytet. Wśród studentów uniwersytetu z powieści Orzeszkowej, widzimy zaś różne typy ludzi i o różnych dążeniach. O wszystkich można powiedzieć, że uczą się w warunkach trudnych, wśród ludzi nie tylko obcych, ale często wręcz wrogich. Są wśród nich liczni chyba w każdym czasie i na każdym miejscu, tacy co to noszą zbyt krótki paltot, twarze mają

¹⁾ „Zygmunt Ławicz“, str. 31.

²⁾ Tamże, str. 34.

³⁾ Tamże, str. 23.

mizerne i blade, i otoczenie denerwują ostrym, suchym kaszlem. To ci, dla których kochankami są ideały, a źródłem utrzymania lekcje, które, jak wiadomo, zmienne są. W tych warunkach studiujący Polak z Polesia może o sobie powiedzieć, że „w zeszłym roku żył jak pan; 3 razy na tydzień obiady jadał, co trzeci dzień w piecu palił i o resztę nie dbał”.¹⁾ Tak żyją zresztą w okresie prosperity, cóż dopiero, kiedy lekcji nie ma? Nędza, zimny nieopalony pokój, klucie w piersiach, silna gorączka, co na zamarzniętych szybach maluje obrazy z rodzinnego domu, tęsknota za matczyńskiem, które choć samo biedne skórę by dla dziecka zwlokło, i szybko postępująca gruźlica, to niestety jedyny cel, jaki duży procent spośród najbardziej wartościowych i najbiedniejszych osiąga. Nic dziwnego, że u wielu z nich ugruntowuje się tylko, w gimnazjum już zdobyte, przeświadczenie, że świat na opak jest; po roku wracają z Petersburga zdecydowanymi socjalistami. W socjaliźmie znajdują odpowiedź na te wszystkie zagadnienia, na które nie mogła i nie chciała dać wyjaśnienia dążąca do zroszanie tylko szkoła. „Wiem wszystko, rozumiem wszystko, otrząsnąłem się z pleśni przesądów i głupich urojeń, znienawidziłem do reszty ten stary świat, pełny niesprawiedliwości i głupstwa — jestem człowiekiem nowym”²⁾, głosi Julek z młodzieńczą, nie dopuszczającą sprzeciwu pewnością. Gorzej jednak, że wśród deklamacji o nowym świecie i pracy dla ludzkości zapominają o najbliższych, wobec których mają największe obowiązki i którym najwięcej zawdzięczają. Mającej skrupuły Lusi, wychowanej przez dziadka kosztem jego największych wyrzeczeń, tłumaczy Julek: „Czyż nie rozumiesz, że mówiąc o obowiązkach względem niedołęznego i na nic światu niepotrzebnego starca, powtarzasz pacierz za panią mat-

¹⁾ „Widma“, str. 217.

²⁾ Tamże, str. 217.

ką, a zapominasz o tych wielkich i rzeczywistych obowiązkach, które każdy z nas ludzi nowych ma dla ludzkości”.¹⁾ Za dużo w tym wszystkim, co ci ludzie nowi głoszą, pozy i deklamacji a brak szacunku dla pracy istotnej choć cichej, dużo słów wielkich o skrzywdzonej ludzkości, w praktyce krzywdzenie najbliższych. Ot jak Julek: „O zajęciach i pracach codziennych, jednostki ludzkie na celu mających, zarówno jak o cnotach i poświęceniach cichych, wykonywujących się w obrębie ścian domowych i kółek rodzinnych mawiał: dzieciństwa. Przestrzeń wszelką ograniczoną do jednej okolicy jakiejś, do jednego kraju nazywał: zakątem, parafią, albo nawet więzieniem”²⁾. Najgorsze jednak w tym wszystkim to, że przywieziony z Petersburga socjalizm demonstrował na ulicach Wilna czerwoną rosyjską rubachą. Z kraju wyjeżdżają, choć nawet woleliby ojczyste nieba, bo jeżeli wszyscy ludzie tak czują, to musi być w tym jakieś prawo natury; zostaliby „gdyby tu uczono się i dochodzono prawdy, gdyby tu można było jawnie i głośno walczyć o to, co człowiek ma najdroższego dla siebie, gdyby się tu ludzie spierali i łączyli w koła wielkie i do postępu do prawdy i do szczęścia dążyli... lecz w katakumbie milczącej i ciemnej ja nie zostanę i tobie zostać nie dam”³⁾. Uciekają, bo kraj ojczysty to grób, a społeczeństwo to grono istot splakanych i sennych wśród których i nudno i smutno.

Wielu jest oczywiście takich studentów, którym się nie robić nie chce, studiują rok medycynę, rok prawo, rok filozofię; ci chętnie podszywają się pod hasła socjalistyczne, by nimi pokryć swą niechęć do pracy. Mówią wiele i głośno o starym świecie, który kruszy się i upada i o nowym, który powstaje. Swoboda, równość, władza,

¹⁾ „Widma“, str. 222.

²⁾ Tamże, str. 225.

³⁾ Tamże, str. 225.

natura, to wyrazy, których bodaj że nadużywają. Ze swych pseudo studiów wynoszą przekonanie, że „cnota jest głupim i prostym komunalem, maską, pod którą każdy żyje jak mu się podoba“¹⁾. Ci zresztą swych socjalistycznych przekonań wyrzekają się bardzo łatwo i mimo całej pogardy i wstrętu dla kasty zbijającej pie-niędzy, gdy tylko nadarzy się okazja zrobienia kariery, ani chwili się nie wahają jak Eugeniusz Skiba („Pier-wotni“). Niektórzy z młodocianych zwolenników socja-lizmu, skończywszy jakieś 5 gimnazjalnych, uczyć się w ogóle nie chcą, bo „na nic się to nie zda; z nauką czy bez nauki ludzie zawsze cierpieć będą“²⁾, jak utrzymuje Szymon Kępa, początkowo idealista, dążący do prze-robienia świata przez przerobienie natury ludzkiej, po-tem odkąd Tarżyc, właściciel ziemski uwiódł dziewczy-nę wiejską, jego ukochaną, zagorzały głosiciel nauki o niesprawiedliwym podziale dóbr, nienawidzący, zresz-tą nic dziwnego, tych, którzy go skrzywdzili. Poglądy jego znajdują zwolenników wśród wszystkich, których, cierpiących nędzę czy niedostatek, nurtuje nienawiść do bogatych, wytwornie ubranych i zamieszkujących piękne domy. Grunt szczególnie podatny stanowią dzieci krzywdy, nieślubni synowie wielkich panów jak Sylwek. Kępa korzysta z każdej sposobności, by opo-wiadać ludziom o możliwości szczęśliwej przyszłości ro-du ludzkiego i o sposobach osiągnięcia tejże. Nie trzeba zresztą dodawać, że jego nauka trafia na grunt podatny: Sylwek napada na Tarżycę, co zresztą się nie udaje.

Wracając do studentów socjalistów faktem jest, że często najbardziej wartościowi za swą działalność prze-śladowani przez władze, marnują zdrowie w rosyjskich więzieniach jak Zenek Derszlak. Z tych, którzy kończą uniwersytety mniej liczni wracają do kraju, to ci którzy

¹⁾ „Pierwotni“, str. 129.

²⁾ „Sylwek cmentarnik“, str. 196.

zadawalniają się skromniejszym bytem, inni szukają kariery w głębi Rosji. Ci którzy pracują w kraju choć czasem chcieliby zrobić coś dla społeczeństwa, podnieść poziom kulturalny życia, czy choćby tylko higienę ma-łych miast, niewiele zrobić mogą zdani na samych sie-bie, lękający się o swe stanowiska; toteż szarpia się jakiś czas, aż zmęczeni tracą siły — w klatce. Stąd duża ilość wyjeżdża w świat dla kariery. To są ci, któ-rzy głoszą się często modernistami w każdym calu: „Tylko najświeższe prądy naukowe i polityczne, naj-świeższe artystyczne i literackie szkoły, najświeższe mo-dy w zwyczajach, ubraniu itd.“¹⁾. Etyka wszechludzka, prawa historyczne, sprawiedliwość, to pojęcia, które le-żą poza sferą ich zainteresowań — „na to jest dekalog, są księża, poeci,... no... i pensjonarki, my zaś ludzie pozy-tywni, gruntowni, nie znamy i znać nie chcemy nic, prócz trzech rzeczy, którymi są fakt, cyfra i interes“²⁾. To są ci kosmopolici dla kraju straceni, karierowicze, dla których wszystko jedno gdzie, byle dużo i dobrze. Opu-szczenie kraju zaś, to według Orzeszkowej вина i to wielka, należąca do tych, „których przebaczać nie wol-no, bo zadają krzywdę nie nam i nie jednostkom, lecz idei“³⁾. Zbyt smutny byłby obraz młodzieży, gdyby wy-czerpywał się na tych typach. Na szczęście są w powie-ściach Orzeszkowej i inni ludzie. Są już wykształceni właściciele niedużych włości, którzy „dzikusy“ w opinii ogółu, rezygnują z szukania kariery w Wiedniu, Peters-burgu, za Uralem czy w Kurlandii, zabierają się do umiejętnej pracy na roli, i starają się pomóc innym do utrzymania ziemi jak Romuald Darnowski („Austral-czyk“). Są młodzi, którzy interesują się stanem ekono-micznym kraju, którzy zbliżają się do ludu i usiłują

¹⁾ „Liść uschły“, str. 147.

²⁾ Tamże, str. 149.

³⁾ „I pieśń niech zapłacze“, str. 87.

Praca z duszy

z nim pracować, spadkobiercy idei powstańców z 1863 roku; ci nie uważają wszelkich ideologów za półgłówków, a czyn z 63 roku jest dla nich świętością. To „powracająca fala“, — jak określa B. Korczyński — reakcja przeciw przyziemnemu zagrzebaniu się w codziennej „pozytywnej“ pracy, bunt przeciw brakowi ideałów zepchniętych i zlekceważonych. I tacy przechowują myśl o przetrwaniu. Ci jednak wiele mają do zrobienia zwłaszcza jeżeli chodzi o zbliżenie do ludu. Jak wiemy, rząd rosyjski wykopał przepaść między dworem a wsią przez sposób przeprowadzania pańszczyzny. Prócz tego publicyści rosyjscy robili wszystko, aby w oczach demokratów rosyjskich zohydzić szlachtę polską, jako gnębieli ludu. Oto co pisze Aleksy von Szarlov, sędzia śledczy w „kraju zachodnim“, demokrata znający polskie stosunki z odległości, do swego przyjaciela: „Otóż ja mam przed sobą tę ziemię, która rodziła przez wieki ponure zieleń niewoli. Otóż na polach i drogach, w wagonach i na drogowych stacjach widzę tych ludzi, którzy przez wieki rozłamywali się na dwa przepaścią oddzielone z sobą odłamy społeczne, panów i niewolników. Nie potrafię ci opisać wszystkich uczuć, które we mnie powstały, mieszały się i grzały, były to te same uczucia nienawiści i pogardy dla ciemieńców, a nieskończonej litości dla uciemiężonych, którycheśmy prawie wszyscy doświadczali za uniwersyteckich i nawet wcześniejszych jeszcze, bo gimnazjalnych czasów, przy czytaniu broszur lub dziennikarskich artykułów, opisujących te strony i ich ohydne stosunki społeczne“. I dalej „niechaj to plemię zginie, nie dlatego, że jest plemieniem tym, ani innym, ale dlatego że w nim upostacia się jeden z najgłępszych przesądów, jedna z najsroższych ran i ze wszystkich pewnie najohydniejsza zbrodnia przeszłości¹⁾“, Tymczasem ów zapalony demokrata, prowadząc jako sędzia do-

¹⁾ Przy dochodzeniu śledczym, str. 69.

chodzenia, przekonywa się, że właśnie jego ojciec, który dzierżył majątek w „kraju zachodnim“, nadany dziadowi za zasługi, był takim właśnie panem, który „sieć kazał i z chaty do chaty jak psy przepędzał, lepszemu lepszą ziemię, gorszemu niby to za karę, gorszą dając“), tak że Janek Skoromoszka uciekł, kiedy dostał bicie i rozkaz przeniesienia się do walącej chaty.

Nie pomijała Orzeszkowa żadnej sposobności, aby stosunek szlachty do ludu w Polsce przedstawić we właściwym świetle, by sprostować wrogie a błędne informacje rosyjskie. To też gdy w zeszycie styczniowym „Ruskiej myśli“ z dnia 20. 3. 1898 r. autor artykułu omawiającego działalność Orzeszkowej zauważył, że ona pierwsza w literaturze polskiej wyraziła współczucie doli włościan i żydów — wysłała list otwarty do Redakcji, w którym, cytując pisarzy XVI, XVII i XVIII wieku i powołując się na pisarzy XIX wieku wśród których nie ma po prostu autora, dla którego by te idee były obce, zaprzeczyła kategorycznie. Jeśli zaś chodzi o stan faktyczny to wyjaśniła, że winą tu nie po stronie Polaków, bo nie mają narzędzi propagandy jak wolna prasa, szkoły, możność stowarzyszania się, tracą przy tym moc energii na odzyskanie niepodległości politycznej i co najważniejsze, od 100 lat nie mają w rękę władzy ustawodawczej.

Zresztą przypomniła, że w 1818 roku obywatele gubernii wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej i kowieńskiej przedstawiali cesarzowi Aleksandrowi I-szemu podanie o pozwolenie uwolnienia włościan od poddaństwa i otrzymali odpowiedź — odmowną.

A jeśli właściciele jak Chreptowicz, Brzostowski, Cywiński i inni uwalniali testamentem włościan i przekazywali im swe dobra, rząd sprzeciwiał się zawsze egzekwowaniu tych testamentów.

¹⁾ Przy dochodzeniu śledczym, str. 86.

Tak więc rozpowszechnione wśród społeczeństwa rosyjskiego mniemanie, jakoby chłopom w Polsce było specjalnie źle, jest jak stwierdziła Orzeszkowa przesadą i nieprawdą. Faktem jest, że za granicą było gorzej, bo we Francji tuż przed 1793 rokiem za zabicie zającą zabijano chłopą, w Niemczech za zerwanie owocu, drzewo owijano wyprutymi z niego wnętrznościami. Cała bieda w tym, „że gdy inni błędy swe naprawiali, myśmy już za nie pokutować tylko mogli. I właśnie szczytem tragizmu zawartego w doli naszej jest to, że nic z tego, co powstaje w myśli naszej, żywym czynem stawać się nie może“.¹⁾ List ten wywołał komentarze w prasie rosyjskiej, a Moskiewskie Wiadomości stwierdziły, że Orzeszkowa pisze celowo kłamstwa, bo „nigdzie prócz Polski włościanie nie byli obrócenii w proste bydło“.

Jasnym więc jest, że ci, którzy pracują nad ludem, muszą przede wszystkim zwalczyć jego nieufność, a po wtóre zdecydować się na szykany władz, na kary pieniężne i więzienie. Joasia Lipska, (akcja ze względów cenzuralnych toczy się w zaborze pruskim) za nauczanie dzieci pozbieranych z podwórza, zostaje skazana na 3 miesiące więzienia, za co w innych krajach otrzymuje się ordery. Ojciec wydalony został z posady nauczyciela, „dlaczego? — daleka przyszłość zdumiewać się będzie nad tym; tymczasem wszyscy to łatwo odgadną. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy“.²⁾

Nic więc dziwnego, że w takich warunkach oświata w ogóle, a szczególnie ludowa, stoi bardzo nisko. I tak Benedykt Korczyński pragnął, by mieszkańcy dziedzicznych jego wiosek nauczyli się czytać, owocowe ogrody zakładać, u doktorów się leczyć, karczmy omijać „lecz

¹⁾ „Ruska myśl“ 20/3 1898, przedrukowane „Kraj“ petersburski 1898, nr 12.

²⁾ „ABC“, str. 7.

bardzo prędko wszelkiej roboty około tego musiał zaniechać, [bo na kilka miesięcy wyjechał do najbliższego miasta, w celu przeprowadzenia dość kosztownej i niebezpiecznej sprawy. Odtąd na ten punkt obłoków nie zerknął już nigdy“.¹⁾

Sama Orzeszkowa już nie w powieściach, ale wprost w artykułach pisze również o stanie oświaty. Oto co czytamy w jej artykule pt. „Znad Niemna“, w „Niwie“, tom VI, r. 1874: „Publiczna edukacja młodzieży popadła w zaniedbanie, w pogardę niemal; uniwersytecka nauka dostawała się w udziale niezmiernie rzadkim tylko wyjątkom. Gimnazjalne szkoły kończyli sami zaledwie najbiedniejsi, w perspektywie mający biurowe zajęcia; ogromna większość rodziców synów swych zamykała w domu, przy boku guwernerów, a nawet guwernantek, albo też pozwoliwszy im dla dopełnienia jakiejś formy przyzwoitości na przebycie studiów, 4-ro lub 5-cio klasowych, przywoływała ich co prędzej pod dach rodzinny, skończonymi uznawała młodzieńcami“. I dalej „nie należy bowiem mniemać, aby pokolenie o którym mowa, nie otrzymując prawie wcale uniwersyteckiego wychowania, a szkolne otrzymując rzadko i niekompletne, zagrożonym być miało w ciemnocie i zupełnej obojętności; na ogół biorąc oświeconym było do wysokiego nawet stopnia, ale w jednym tylko wyłącznie kierunku. Objęło ono w posiadanie jedną z gałęzi wyrastających z olbrzymiego pnia cywilizacji, ale jedną tylko. W ścianach domowych i w pewnych prywatnych zakładach od guwernerów i guwernantek, z książek i podróży uczono się wtedy pilnie wszystkiego, co życie upiększa, uprzyjemnia, co czyni je zdobnym i gładkim, co zajmuje i obudza wyobraźnię, dla pewnych wyłącznych przedmiotów roztkliwia serce: więc języków obcych, sztuk pięknych, wytwornego obejścia się towarzyskiego, tej dorywczej

¹⁾ „Nad Niemnem“, t. II, str. 41.

encyklopedycznej wiedzy, która zamiast pojęć daje daty i imiona, zamiast skłonności do myślenia, udziela człowiekowi możliwości błyszczenia¹⁾. Jak widzimy, jest to kwintesencja tego wszystkiego, co o wychowaniu młodzieży i stanie oświaty powiedziała w powieściach.

Tak przedstawia się młodzież i stan oświaty na podstawie powieści Elizy Orzeszkowej. A rzeczywistość niestety nie była inna i w tym wypadku. Należy jednak poszukać przyczyn, o których autorka, mając usta cenzurą zakneblowane, mówić nie mogła. Przede wszystkim należy sobie zdać sprawę, że od lat wielu pracowała Rosja nad tym, by stan oświaty w ziemiach zabranych był jak najniższy, że pokolenie starsze, było tym, które wychowało się w szkołach epoki paskiewiczowskiej. Z tego wpływały konsekwencje. Samo niedouczzone, nieoświecone starsze pokolenie nie mogło inaczej wychować swych dzieci. Inaczej być nie mogło. Wszak wszelkie działania oświatowe od lat już odbywały się w myśl zasad wypowiedzianych przez Szyszkowa (15 maja st. st. 1824 został ministrem) na pierwszej sesji Głównego Zarządu Szkół: „Nauki jak sól są pożyteczne tylko wtedy, gdy są używane i stosowane w miarę, według stanu i według potrzeby każdego zawodu. I uczyć czytania i pisania cały naród, lub nawet zbyt znaczną w stosunku do liczebności narodu ilość osób, znaczyłoby to przynieść więcej szkody niż pożytku²⁾. Zgodnie z tym, reskryptem cesarskim z dnia 19 sierpnia st. st. 1827 zamknięto dostęp do szkół średnich i wyższych dla chłopów pańszczyźnianych i czeladzi dworskiej. Cele wychowania określił dość ściśle Paskiewicz: „Język rosyjski, mówił namiestnik, stanowi pierwszą potrzebę wychowania polskiej młodzieży. Rząd organizujący w Polsce instytutu naukowe na tych zasadach, na których takowe w Rosji istnieją, ma głównie na celu zbliżenie ducha wychowania w Kró-

¹⁾ Kucharzewski Jan „Epoka Paskiewiczowska“, str. 13.

lestwie do wychowania w Cesarstwie, a następnie zbliżenie Polaków do Rosjan, do czego nauka języka rosyjskiego jest niezbędna³⁾. Wreszcie przepisy dodatkowe z roku 1845 zapowiadały zrównanie liczby gimnazjów z ilością gubernij Królestwa, z wyjątkiem warszawskiej, gdzie mogło istnieć więcej niż jedno gimnazjum. W roku 1850-51 norma została osiągnięta — ilość gimnazjów wynosiła sześć. Na to zaś, jakimi metodami posługiwano się, rzuca światło instrukcja Rady Wychowania Publicznego, a zwłaszcza jej punkt 5-ty, dotyczący się narzędzi kary. Należy używać „miotelki z różg brzoźowych, świeżych lub w wodzie zmoczonych, która związana końcami, nieobciążona w związaniu winna mieć grubości około 1 cala, długości od ćwierci do półtora łokcia itd.“⁴⁾. Instrukcja ta była sekretna, nieogłoszona więc w dzienniku praw, wydrukowana jednakże była dla użytku wewnętrznego. Nie mogło być mowy o rozwijaniu kultury polskiej w czasie, kiedy wszystkie wysiłki skierowane były ku temu by ją zgnieść. Język polski prześladowany był w nadziei, że „wkrótce należeć będzie w literaturze, jak również w dziedzinie wiedzy do języków zanikłych; niebawem stanie się on małym i biednym dialektem, gwara ludu prostego“⁵⁾. Aby osiągnąć ten szczytny cel wprowadzono najpierw język rosyjski do administracji. W roku 1868 nakazano władzom administracyjnym, gubernialnym i powiatowym używać języka rosyjskiego tak w służbie wewnętrznej jak i w korespondencji. W Komisji Sprawiedliwości dopiero jednak od roku 1874 zaczęto używać rosyjskiego. W roku 1868 zarządzone, by w polskich szkołach nie tylko historia i geografia Rosji i Polski, ale także przedmioty fizyczno-matematyczne wykładane były po rosyjsku, a w rok później wpro-

¹⁾ Kucharzewski Jan „Epoka Paskiewiczowska“, str. 147.

²⁾ Tamże, str. 193.

³⁾ Tamże, str. 271.

wadzano język rosyjski jako wykładowy dla wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem zresztą i to nie co do wszystkich szkół, religii. Przedmiotem obowiązkowym nauki w szkole ludowej uczyniono naukę czytania i pisanie po rosyjsku, a językiem wykładowym stał on się tutaj od roku 1885. Używanie języka polskiego w murach szkolnych, nawet poza obrębem nauki, ścigano jako przestępstwo. Oto co pisze o ówczesnej szkole Piltz: „System wychowania, jeśli w danym wypadku o wychowaniu można było w ogóle mówić, oparty na śledzeniu, podpatrywaniu, drażnieniu, zamieniony był w tresurę policyjną, coś co było zaprzeczeniem i urągawiskiem wszelkich zasad pedagogicznych. Między nauczycielem a uczniem wszelka łączność duchowa, wszelka nić wspólności zerwana, a zamiast niej plenił się bujnie jadowity kwiat wzajemnej nieufności i niechęci. Młodzieży o zdrowych instynktach moralnych, atmosfera taka nie mogła nie obmierznać.“¹⁾

Że nauczyciele Rosjanie wrogo byli do Polaków ustosunkowani, ot, tak jak w „Zygmuncie Ławiczu“, stwierdzają nawet rosyjscy pisarze, jak o tym świadczy Piltz: „w szkole rządowej Królestwa obchodzą się z dzieckiem polskim nie tylko nieserdecznie, lecz wprost wrogo, robią mu w niej zarzut, z jego polskiego pochodzenia, obrażając jego uczucia narodowe, pogardliwie traktują jego religię, a język ojczysty stawiają w rozkładzie nauk po obcych językach, francuskim i niemieckim. Wracając do domu dziecko opowiada rodzicom, już skądinąd nie celującym w miłości do narodu rosyjskiego o obelgach doznanых w szkole, o faworyzowaniu w niej dzieci rosyjskich, a jest to niezaprzeczalny fakt, bo od dziecka polskiego władze szkolne wymagają lepszej znajomości języka rosyjskiego i jego reguł gramatycznych, niż od dziecka rosyjskiego. Takie nieczułe traktowanie dziecka,

¹⁾ Erazm Piltz „Polityka rosyjska w Polsce“, str. 29.

ma się rozumieć doprowadza do skutków wręcz przeciwnych jak oczekiwane przez rząd od działalności tych szkół. Nie wywołuje ono u dziecka miłości do Rosji, lecz przeciwnie, zmusza go do zniechęcenia od najmłodszych lat wszystkiego co rosyjskie, co w najlepszym okresie jego życia wyrządziło mu tyle bezcelowych obelg, przypawiło go o tyle łez gorzkich¹⁾. A Hurko Włodzimir Josifowicz (syn) pisze: „Wykład języka polskiego w szkołach średnich, służy w Królestwie, jako niewyczerpane źródło dla wszelkiego znęcania się nad tym językiem i nad uczniami“²⁾. Faktem jest, że w razie trzykrotnego przychwycenia na używaniu w murach szkolnych języka polskiego, następowało wydalenie. W niektórych gimnazjach zresztą nawet religia wykładana była po rosyjsku. Oto co pisze o tym Smoleński: „W roku 1858 byłem uczniem gimnazjum plockiego, klasa 7-ma do której uczęszczałem, zbuntowała się przeciwko nakazowi nauczania religii w języku rosyjskim księdza Ołdakowskiego, który władzom szkolnym ofiarował swe usługi nazwaliśmy Łajdakowskim i postanowiliśmy gimnazjum raczej opuścić niż uczyć się religii po rosyjsku“³⁾. Rosjanizowanie jest więc celem, który przysłania wszystkie inne. Dlatego też szkoła, albo nie wywiera żadnego wpływu, częściej oddziaływa jak najgorzej. Zdobywanie wyższej nauki utrudnione. Uniwersytet warszawski bowiem zamknięto w roku 1831, podobnie inne zakłady naukowe tak, że nauki wyższej musiano szukać za granicą. Do Krakowa zakazywano jeździć tak na uniwersytet jak i do gimnazjum. Kursa prawne, jakie otwarto w roku 1840, zamknięto po 6-ciu latach; utworzono natomiast na uniwersytetach petersburskim i moskiewskim

¹⁾ Memoriał J. W. Hurki u Piltza, str. 45.

²⁾ Hurko Włodzimir Josifowicz (syn) w „Oczerki Priwisli-nja“, u Piltza „Polityka Rosyjska, str. 46.

³⁾ Władysław Smoleński, „Monteskjusz w Polsce w XVIII w.“, str. 20.

po 2 katedry prawa w Polsce obowiązującego. W roku 1869 zwinęto polską Szkołę Główną w Warszawie, miejsce jej zajął rosyjski uniwersytet, w którym i lektorowi języka polskiego przepisany został jako wykładowy język rosyjski. Do sądownictwa język rosyjski częściowo został wprowadzony w roku 1863 a całkowicie razem z reorganizacją w roku 1876. W roku 1891 zakazano w ogóle na kolejach języka polskiego, nawet w rozkładach, napisach itd. W roku 1893 wprowadzono go do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego do ksiąg, korespondencji itd. Zresztą o poziom nauki nawet na uniwersytecie warszawskim nie bardzo się troszczono, przysyłając z małymi wyjątkami „wybierki i odpadki”; profesorów polskich usunięto prawie zupełnie, na 60-ciu zostało 2-ch. Docentom wstęp zatamowano. Ludzie zdolni i wykształceni musieli się chwytać jakiegokolwiek pracy i mając kwalifikacje na profesorów uniwersytetu uczyć w prywatnych pensjonatach, zarobkować w biurach kolejowych czy bankowych. Zresztą nie tylko z uniwersytetu, ale z gimnazjów rugowano profesorów Polaków. To też np. Piotr Chmielowski marnował się wyrobnictwem literackim i lekcjami prywatnymi, Tadeusz Korzon uczył w warszawskich pensjonatach żeńskich, potem miał skromną posadę na kolei żelaznej, aż w końcu otrzymał dyrektorstwo Biblioteki Zamoyskich. Ernest Świeżawski, znawca polskiego średniowiecza, pełnił funkcje sekretarza Giełdy Warszawskiej, chemik Napoleon Milicer pracował na komorze celnej warszawskiej, etnolog Stanisław Ciszewski w Zarządzie Akcyzy i wielu, wielu innych marnowało się w podobny sposób¹⁾. „Uprawiano naukę dorywczo, poświęcając niedospałe godziny, noce i dnie, wypoczynków świątecznych, oddawano się jej bez widoków na jakiegokolwiek korzyści materialne w przeświadczeniu, że się spełnia obo-

¹⁾ Por. Wład. Smoleński, „Monteskjusz w Polsce w XVIII w.“.

wiązek służby narodowej. Nie ułatwiały pracy archiwa państwowe i zasobne biblioteki ordynackie; pierwsze znajdowały się pod strażą nieżyczliwych nauce polskiej funkcjonariuszów rosyjskich, drugie były pełne lęku, żeby udostępniając swe skarby publiczności nie ściągnąć na się odpowiedzialności za propagandę antyrządową¹⁾. Nie doznawała też poparcia młodzież uniwersytecka, zmuszona szukać wykształcenia, bądź na uniwersytetach rosyjskich, bądź w Niemczech, Austrii, Belgii, Francji czy gdzie indziej. Liczba studiującej młodzieży na uniwersytetach niewielka. Według Piltza przypadało w przybliżeniu:

na Warszawę	1400
na Kraków	1300
na Lwów	1800
na cesarstwo rosyjskie .	1800
za granicą	1600
razem	8300

co wobec dzisiejszych 50.000 jest cyfrą rzeczywiście bardzo niewielką. Liczba 2.200 studiujących w Rosji, rozkłada się na uniwersytety w Petersburgu (najwięcej, bo 1/3), Moskwie, Kijowie, Odessie, Charkowie, Jurjewie, Kazaniu i Tomsku.

Studenci Rosjanie na uniwersytecie warszawskim byli forytowani, dostawali stypendia ufundowane przez patriotów na kształcenie młodzieży, podczas gdy studenci Polacy przymierali głodem. Polacy zaś byli przedmiotem szykan ze strony władz; już na skutek alarmu Murawjewa co do ducha młodzieży uniwersyteckiej i zgubnego na nią wpływu Polaków, ilość ich została ograniczona do 20%. Szeregi przerzedzają znacznie częste arestowania; wędrują na dalszy, czy bliższy wschód, nabawiają się w więzieniach chorób, odbierają sobie ży-

¹⁾ Smoleński, „Monteskjusz w Polsce w XVIII w.“, str. 9, 10.

cie. Od roku 1878 zaczynają się aresztowania bądź za socjalizm, to znów za udział w manifestacjach narodowych, zwłaszcza od roku 1891 od manifestacji w setną rocznicę ogłoszenia Konstytucji 3-go Maja. Tak więc w r. 1895 aresztowania w Rolniczo-leśnym Instytucie w Puławach, w r. 1897 — 40 osób aresztowanych, poszlakowanych o udział w Towarzystwie Oświaty Ludowej, w r. 1898 — 42 osoby za sprawę oświaty ludowej, a równie częste były aresztowania za socjalizm.

Należy w tym miejscu nieco obszerniej zająć się kwestią ówczesnego socjalizmu dlatego, że poświęciła mu Orzeszkowa kilka powieści (przede wszystkim „Widma“, „Sylwek Cmentarnik“, ubocznie „Zygmunt Ławicz“, „Pierwotni“), w których wypadł on zresztą negatywnie. Jak widzieliśmy twierdziła, że socjalizm znajduje zwolenników wśród młodzieży polskiej głównie dlatego, że żyje ona w warunkach anormalnych, od kolebki oddycha krzywdą i nędzą, w szkole nie znajduje odpowiedzi na dręczące ją pytania, w domu nie zawsze znaleźć może, co wszystko wytwarza grunt podatny na hasła „wywrotowe“.

Skądinąd wiemy, że nie uznawała socjalizmu wierząc w dobroczynność, trwałość postępu wtedy tylko „gdy rozwija się na drogach pokojowego i logicznego rozwoju“. „Nowatorstwo, które przemocą naturę ludzką przekształcać, a łańcuch dziejowych przyczyn i następstw rozrywać usiłuje, które płynie nie z wewnątrz ogółu, lecz z zewnątrz doń przybywa, a na sztandarach swych przynosi krzywo wypisane nazwy socjalizmu i kosmopolityzmu — przedstawia mi się jako niedorzeczność groźna i wstrętna, na najwyższych szczytach swych zaledwie mająca prawo do nazwy jałowej ideologii, poniżej zaś będąca czemś daleko gorszem“ pisze w liście do Kraszewskiego¹).

¹) Listy, t. I, str. 9.

Niewątpliwie najbardziej odstręczał Orzeszkową od socjalizmu jego kosmopolityczny, międzynarodowy charakter. Ponieważ wytwarzał „dzieci świata“ uważała go za najpoważniejsze z nieszczęść nurtujących społeczeństwo. Nie tyle więc chodziło jej o ekonomiczną czy społeczną jego stronę, ile o ustosunkowanie się do idei niepodległości. I z tego punktu widzenia przede wszystkim patrząc, poczuwała się do obowiązku zwalczania go i na to przeznaczyła swe „Widma“ i rozprawę pt. „Patriotyzm i kosmopolityzm“.

Ufać mu nie mogła tym bardziej, że uważała go za „import“ wybitnie rosyjski. „Objawy takie nie wyrosły z gruntu naszego, towar to przywożony. Stamtąd przychodzi kędy tradycja brzydka, cywilizacja powierzchowna, instynkty wpółdzikie“¹). I rzeczywiście faktem jest, że socjalizm do Polski przedostał się właśnie z uniwersytetów rosyjskich. Zaczął się on tam rozwijać w latach w 1866, 1867, 1868 wśród młodzieży, której większość stanowiła inteligentny proletariatus, a więc grunt najpodatniejszy. Na młodzież polską zaczyna on oddziaływać w latach 1870, 1874. Pierwsze tajne socjalistyczne kółka Polaków powstały na uniwersytetach rosyjskich, a pierwsze było petersburskie. Od roku 1878 zaczynają wychodzić broszury socjalistyczne tłumaczone z niemieckiego i rosyjskiego. W roku 1879, 1880 istnieje w Petersburgu tajne kółko młodzieży „gmina polska“. A kiedy „gmina“ rozpadła się w roku 1880 na jej miejsce powstała polsko-litewska socjalno-rewolucyjna partia pt. „Proletariat“ z dwiema odnogami, ogniskiem i radą tajną. Miała ona na celu zjednoczyć młodzież polską takiego samego lub zbliżonych kierunków w różnych miastach (Petersburg, Wilno, Warszawa, Moskwa, Kijów). Niezależnie od nich, ale sprzymierzony, istnieje w Warszawie od roku 1882 „Komitet Robotniczy“ z Waryńskim

¹) Listy, t. I, str. 50.

na czele. Prócz tego „Proletariat” stawiał sobie za cel walkę ekonomiczną z kapitalizmem, polityczną z rządem, a działał w porozumieniu z rosyjską organizacją „Narodna Wola”. Wydawał w Warszawie pismo „Proletariat”, w Genewie „Walkę klas”. Patriotyzm uważał za rzecz nie dającą się pogodzić z charakterem szermierzów sprawy robotniczej. Wspólność działania z rosyjską partią rewolucyjną przewidziana została w osobnej umowie. Centralny Komitet Polski zobowiązał się nieść pomoc rosyjskiemu Komitetowi Narodnej Woli, w ludziach, pieniądzech i stosunkach. I to właśnie raziło Orzeszkową, która, jak się okazuje, była doskonałą obserwatorką. Bez wątpienia w pierwszej swej fazie ruch socjalistyczny był międzynarodowy. I to właśnie międzynarodowe stanowisko większości skłoniło Bolesława Limanowskiego do wystąpienia z redakcji pisma „Równość” (wychodzi od roku 1879). Przepaść między kierunkiem narodowym a międzynarodowym pogłębił obchód 50-letniej rocznicy powstania listopadowego urządzony w roku 1880 przez redakcję „Równości”. Najjaskrawiej pogląd ten sformułował Kazimierz Dłuski, kończąc swą mowę: „Precz z patriotyzmem i reakcją, niech żyje internacjonal i rewolucja socjalna¹⁾”, a hasło przezeń sformułowane było na razie wyrazem przekonań ogromnej większości socjalistów polskich²⁾, mimo, że na ten właśnie obchód Marks nadesłał z Londynu list podpisany również przez Fryderyka Engelsa, Pawła Lafargue i Fryderyka Lessnera, w którym w przeciwieństwie do Waryńskich, Dłuskich, Mendelsonów przedstawił socjalistów polskich jako spadkobierców dawnej rewolucyjno-demokratycznej demokracji polskiej, a zakończył list oświadczeniem, że budzący się ruch socjalistyczny wśród ludu polskiego jest jednym więcej dowodem, by wznieść

¹⁾ E. Haecker „Historia socjalizmu”, str. 216.

²⁾ Por. Haecker tamże.

okrzyk „niech żyje Polska!”¹⁾). Głos ten jednak minął bez echa. Limanowski tylko, wystąpiwszy z „Równości”, rozpoczął wydawnictwo broszurowe pt. „Biblioteka socjalno-demokratyczna”, a w roku 1881 założył narodowo-socjalistyczną partię „Lud Polski”. Rozłam uwidocznił się w roku 1881 w Cuerze (Chur) na międzynarodowym kongresie socjalistów. Narodowców reprezentował Limanowski, międzynarodowców Waryński i Dłuski. W styczniu 1883 roku na ogólnym zjeździe polskich grup rewolucyjno-socjalnych, zapadło postanowienie, denuncjacji i uznania polskich partii rewolucyjno-socjalnych za mające wyłącznie międzynarodowy charakter. W maju w 1884 pojawiła się proklamacja „Komitetu Centralnego” wyrzekająca się patriotyzmu w słowach: „Z charakterem naszym, jako szermierzów sprawy robotniczej niezgodny jest udział w konspiracjach natury patriotycznej²⁾”. Proces w 1885 roku przeciw członkom „Proletariatu”, kary śmierci, zesłania, rozbiły polską partię socjalno-rewolucyjną. Jak się okazuje Janek z „Widm” na ulicach Wilna w rosyjskiej rubasze, to również postać z dobrze zaobserwowanej rzeczywistości wzięta. Oto co czytamy u Haeckera o Zygmuncie Balickim, który w 1881 roku uciekł z Warszawy do Galicji: „patriotyzm Balickiego innego zupełnie był pokroju (niż Limanowskiego). Wywodził się on prosto z „narodnicztwa” rosyjskiego. Do tego stopnia był Balicki pod wpływem rosyjskim w czasie swego pobytu we Lwowie w latach 1881 do 1882, że zaznaczał to na zewnątrz chodząc w rosyjskiej koszuli zwanej rubaszką³⁾”. Ten to właśnie charakter międzynarodowy raził i odstręczał Orzeszkową „Polkę miłującą bez granic Ojczyznę”, jak określiła sama siebie motywując bez obsłonek swą odmowę wzię-

¹⁾ E. Haecker „Historia socjalizmu”.

²⁾ E. Piltz „Nasze stronnictwa skrajne”, str. 51.

³⁾ Haecker „Historia socjalizmu”, str. 288.

cia udziału w obchodzie Mickiewiczowskim, urządzanym przez literatów rosyjskich w Petersburgu. Dopiero po pewnym czasie zablakane serca międzynarodowców zatęsknią do Ojczyzny, dopiero później pojawi się przekonanie o konieczności połączenia ideałów socjalistycznych z narodowymi. Próba podjęta została w Paryżu; grono wychodźców z Królestwa ze Stanisławem Borańskim na czele założyło w 1889 polską narodowo-socjalistyczną partię. Miesięcznikiem ich była „Pobudka“, a wybitne znaczenie w partii zajął Limanowski. Jako cel ostateczny stawiała ona niepodległą socjalistyczną Rzeczpospolitą i w ust. 13 statutu postanowiła „że kwestia niepodległości Polski i kwestia socjalna, muszą być uważane za nierozdzielne, niezależnie jedna od drugiej do rozstrzygnięcia niemożliwe“¹⁾. W roku 1892 na zjeździe delegatów polskich stowarzyszeń socjalistycznych poddano sprawę dyskusji i uchwalono wstawić do programu dążenia do niepodległości Polski. Owocem tego porozumienia było zorganizowanie w 1893 Polskiej Partii Socjalistycznej. Uprzednio, w roku 1892 powstaje związek zagraniczny socjalistów polskich przyłączony następnie do P. P. S., który w Londynie ma główną kwaterę działającą na Królestwo. W działalności wydawniczej naczelne miejsce zajmuje „Robotnik“, wychodzący od roku 1894. W lutym 1900 wykryto tajną drukarnię w Łodzi i aresztowano Józefa Piłsudskiego. Po dwóch miesiącach przerwy „Robotnik“ zaczął wychodzić odbijany w 1800 egzemplarzach. Z drugiej jednak strony jeszcze w sierpniu w 1893 roku pewna grupa członków P. P. S. z Różą Luksemburg na czele wystąpiła przeciw żądaniu niepodległości Polski, jako obojętnemu dla interesów robotniczych, a nawet szkodliwemu, bo rozluźniającemu łączność z proletariatem rosyjskim, naturalnym sprzymierzeńcem.

¹⁾ E. Piltz „Nasze stronnictwa skrajne“, str. 55.

Tak więc w okresie w którym powstały „Widma“ Orzeszkowej, socjalizm zwłaszcza w zaborze rosyjskim miał charakter międzynarodowy, a więc taki, jak to ona przedstawiła. Zresztą należy sobie jasno zdać sprawę, że to co Orzeszkowa pisała o socjaliźmie wypłynęło ze spostrzeżeń poczynionych na jego zwolennikach w zaborze rosyjskim. Sama wyznała, że o socjalistach galicyjskich nie miała pojęcia. „Innych gazet, prócz tych, które posiadają tu kurs prawny nie czytam i w ogóle Galicji całkiem nie znam. Dotąd znam tylko jeden gatunek socjalistów — Polaków ten mianowicie, którego szczepy przychodzą ze Wschodu i wyznać trzeba, że to gatunek ciernisty, kole oczy i ręce uczciwych ludzi i nie prócz żalu nad zmarnowanymi siłami obudzić nie może“, pisze w liście do Jeża¹⁾. Jak widzieliśmy o tym „gatunku ciernistym“ nie pisała na ślepo, ale ruch ten obserwowała jak zawsze z właściwą sobie wnikliwością. I to, że socjalizujący bohaterowie jej powieści nie chcą kończyć uniwersytetu, to też nie błahe słowa, ale istotna cecha ówczesnego socjalizmu. Jak wiadomo Bakunin był heroldem programowej ucieczki młodzieży z uniwersytetu, rozumując, że celem jest „złanie z życiem wytwórcy, tj. z ludem i prowadzenie wśród niego propagandy socjalizmu i rewolucji. Do tej roboty wystarczy wykształcenie średnie i ocytanie z dziedziny socjalizmu, historii ruchów rewolucyjnych i współczesnej walki klasy robotniczej we Francji i Anglii. Lecz tego wszystkiego nauka urzędowa (kazionnaja) naszych uniwersytetów nie daje. Porzućmy je. Do diabła z nauką urzędową“²⁾. Zresztą socjaliści ówcześni rozumowali, że nie mają prawa uczyć się, gdy sam lud mrze z głodu, a uniwersytet do budzenia socjalizmu nie jest potrzebnym,

¹⁾ Listy, t. I, str. 61.

²⁾ Według Czerkiesowa za Kucharzewskim „Od białego caratu do czerwonego“, t. IV, str. 395.

tym bardziej, że w razie pozostania na uniwersytetach grozi „zburzuazyjnienie”. Z tym samych względów potępia się filozofię. Piotr Tkaczew (miesięcznik „Dzieło”, rok 1868) pisze „od jednego pracownika odbiera się ostatnie grosze i za te grosze utrzymuje się filozofów, którzy w zamian za zabrane grosze nie dają robotnikowi nic, oprócz zadrukowanych arkuszy, zabazgranych jakimiś głupimi, pozbawionymi ludzkiego sensu frazesami. Czyż to nie znaczy płacić fałszywymi liczmanami za prawdziwe złoto¹⁾”.

Walka z narodowością i kulturą polską przybiera ostry charakter zwłaszcza, pod surowymi rządami jenerał-adiutanta Hurki, którego dystansuje fanatyk rusyfikacji, kurator okręgu naukowego Apuchtin. Czytając dzienniki tego czasu wprost na każdej stronie znajdujemy potwierdzenie spostrzeżeń Orzeszkowej. Ot, pisała o studencie Polaku umierającym z nędzy na gruźlicę w dalekim Petersburgu²⁾ i oto co czytamy w „Kraju” (rok 1882 nr 19): „Student petersburski znajduje lekcje tylko z nadzwyczajną trudnością, cierpi nędzę”. W związku z tym „Kraj” apeluje do miłosierdzia publicznego i sam ofiarowuje rs. 100. Nędzę młodzieży i z niej, obok innych okoliczności, wypływający fatalny stan zdrowotny uważała za drugie po socjaliźmie nieszczęście. I to specjalnie stan zdrowotny mężczyzn, bowiem jeśli idzie o kobiety pocieszała się, że warunki ich życia wszędzie tak samo są nienormalne i chorobliwe. Donosząc Jezowi w liście o dwu znanych sobie młodych ludziach mających gruźlicę (pierwszy, bo po wygnaniu ojca w 63-cim roku przymierając z głodu od 13 roku życia pracował 10 godzin dziennie w biurze, drugi jako ofiara systemu wychowawczego) pisała „gdyby to były

¹⁾ Kucharzewski „Od białego caratu do czerwonego”, t. IV, str. 390.

²⁾ „Daleko”.

wyjątki nie pisałabym o nich Panu. Są to typy i przyczyny, które ich takimi zrobiły, są też typowe. Na 50 twarzy, które przesuną się tu przed oczami w miastach szczególnie jeden zaledwie nosi na sobie znaki zdrowia i wesołości¹⁾. Do kwestii stypendiów uniwersyteckich, należy dodać, że stypendia na uniwersytecie warszawskim dzieliły się na 3 kategorie: 1-sze stypendia ministerialne, 2-gie stypendia ze sum pozostających w rozporządzeniu generał-gubernatora warszawskiego, 3-cie stypendia z zapisów prywatnych. Stypendia pierwszych 2-ich kategorii stanowiły połowę wszystkich i były udzielane tylko studentom Rosjanom (normalne stypendium wynosiło 360 rs. rocznie). Co do ostatniej kategorii trzeba przede wszystkim zaznaczyć, że wiele sum stypendialnych, o których w testamencie ofiarodawcy nie było powiedziane, że są przywiązane do uniwersytetu warszawskiego zostały przeniesione do uniwersytetów rosyjskich²⁾.

Nie można winić o niedokształcenie młodego pokolenia tylko społeczeństwo, bo jak widzieliśmy, zgodnie z założeniami polityki rosyjskiej, właściwie młodzież nie miała się gdzie kształcić. Świadczą o tym artykuły dziennikarskie, w których nie brak skarg tego rodzaju. I tak w artykule w „Nowej Reformie” z roku 1891 w nrze 235 czytamy: „brak tedy szkół średnich czuć się daje w sposób dotkliwy; zrazu koło roku 1865 chciano zaradzić temu przez zakładanie pensyj prywatnych, Apuchtin jednak nie tylko, że potrzebnego pozwolenia nie udziela, lecz przeciwnie za lada sposobnością już istniejące zamyka. Doszło więc do tego, że łatwiej gdziekolwiek dla siebie wyjednać posadę, aniżeli umieścić syna w gimnazjum. Zresztą nauka wskutek tego, że szkół jest mało, jest bardzo kosztowna, zwłaszcza, dla mieszkańców pro-

¹⁾ Listy, t. I, str. 61.

²⁾ Por. „Nowa Reforma”, r. 1892, nr 1 „Głos polski spod zaboru rosyjskiego”.

wincji, którzy zmuszeni są dzieci swe kształcić, w gimnazjach gdzieś w Wilnie, Witebsku, czy Rydze, gdzie płacić trzeba nie tylko stancję ale i podróż do odległego miasta. Dlatego też najczęściej działwa rośnie przy pomocy Bożej na silnych parobków i nic więcej“.

Że nie łatwo gimnazjum skończyć, z przyczyn natury specjalnej, wyżej już omówionych, potwierdza następująca statystyka: W grodzieńskim gimnazjum z ogólnej liczby 456 za rok 1882/3 skończyło gimnazjum 21, opuściło szkołę nie skończywszy nauk 66, z pozostałej liczby 368 na rok 1883/4 zostało na drugi rok w tychże samych klasach 98 uczniów. Na ogólną liczbę 457 uczniów, z r. 1883/4 przypada wedle wyznań: 157 rzymskokat., 177 prawosławnych, 22 luterańskich, 99 mojżeszowych. „Obecnie mniej niż czwarta część wstępujących do gimnazjum kończy takowe, a wyższe naukowe zakłady są przepełnione i przed setkami żądających nauki drzwi swe zamykają. Cóż będzie dalej? Czy nie pora byłoby pomyśleć o jakimś wyższym zakładzie naukowym na Litwie, gdzie dawno już uczuwa się ogromny brak takowego?“¹⁾ — pisze autor artykułu poświęconego temu zagadnieniu.

Że obraz życia małych Ongrodów nie nazbyt czarnymi przez Orzeszkową został namalowany barwami świadczy korespondencja z Grodna, której autorką jest Ostoja (Józefa Sawicka — „Kraj“ rok 1883 nr. 38). Oto co pisze: „Nie łatwą jest rzeczą pisywać korespondencję z miejscowości, gdzie we wszelkich gałęziach życia panuje prawie zupełna stagnacja. Stan ten tym smutniejszy wywiera wrażenie, że jest z góry zakreślony, że jest podtrzymywany, pożądaný, bo nie mać spokoju tak potrzebnego do wieczornego winta. Zdawać sprawozdanie z tutejszego życia jest to otwierać jęczące się rany głęboko w piersiach ukryte i tym boleśniesz, że środki ku ich leczeniu są nie w naszej mocy“. Jasno i wyraźnie, jak

¹⁾ „Kraj“ r. 1883, nr 42.

widzimy, sformułowana została przez korespondentkę owa z góry narzucona systematyczna dążność do gaszenia polskiego ducha. Że inteligencja w Grodnie jest taka właśnie, jak w powieściach Orzeszkowej wziętych z małomiasteczkowego życia, stwierdza ta sama korespondentka pisząc: „młoda inteligencja biurowa wolny czas od zajęć urzędowych przepędza w knajpie“; jako powody tego stanu podaje zwykłą biedę, z którą walka wyczerpuje siły i czas, a z drugiej strony brak instytucyj krzewiących kulturę. Wszak „ani z katedry, ani z desek sceny ucha ich nie doleciał żaden głos — o nauce, etyce i pięknie“. Niewiele można było zrobić dla podniesienia stanu oświaty, ponieważ istniał zakaz otwierania szkół choćby prywatnych, z językiem wykładowym polskim. Później dopiero wybrnięto i starano się o zalegalizowanie „kursów praktycznych“ pozwalających zajęcia mechaniczne objaśniać po polsku. Pierwszą taką szkołę założyło Towarzystwo Pszczelniczko-Ogrodnicze w Pszczelinie w 1900 roku. Zresztą nie dopuszczał rząd do powstawania jakichkolwiek zrzeszeń kulturalnych, a nawet zebrania jakiekolwiek mogły się odbywać tylko za pozwoleniem władzy, a dodać trzeba, że nigdy prawie na nie nie zezwalano; pozwolenia rządowego wymagano nawet jeśli chodziło o spółki handlowe. Klubom towarzyskim pozwolono powstawać na prowincji pod warunkiem, by ich zarząd składał się w połowie z Rosjan oczywiście urzędników, bo innych w Królestwie nie było. W 1909 roku rozciągnięta została i na Królestwo ustawa upoważniająca władze miejscowe do nakładania z pominięciem sądu za nauczanie tajne kar administracyjnych do 300 rs. i 3-ch miesięcy więzienia, o czym zresztą zupełnie identycznie pisze Orzeszkowa w „ABC“. Niewiele więc można było zrobić dla podniesienia oświaty w ogóle, a tym bardziej oświaty ludowej. To jednak nie przeszkadzało, by publicyści rosyj-

scy zohydzali Polaków twierdząc, że klasy oświecone uważały zawsze i wciąż jeszcze tak jak za czasów pańszczyźnianych, od których uwolnił chłopów dobroliwy car, uważają lud za bydło. Tę wrogą propagandę rosyjską uwypukliła Orzeszkowa w noweli: „Przy dochodzeniu śledczym“ i w wyżej wspomnianym liście do „Ruskiej myśli“ usiłowała jej przeciwdziałać. Nic więc dziwnego, że wedle danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wśród nowozaciecznych, powołanych w r. 1905 było przeciętnie w 48 guberniach Rosji Europejskiej 37% analfabetów, w Królestwie 61.7%.¹⁾ Urzędowe sprawozdanie Ministerstwa Oświaty i zarządu generał-gubernatorskiego obliczyło, że od r. 1882 do 1884 (czasy Apuchtinowskie) oświata ludowa cię cofnęła. Liczba uczniów szkół ludowych proporcjonalnie do ogółu ludności włościańskiej zmniejszyła się o 8%. W chwili zamknięcia okresu Apuchtinowskiego jedna szkoła przypadała na 2150 mieszkańców, gdy w 1882 r. tylko na 1925. Według obliczeń sekretarza stanu Kolomzina, prezesa komisji powszechnego nauczania w Królestwie jedna szkoła wypada na 2552 mieszkańców, podczas gdy w całym państwie na 1967.²⁾ Niski stan oświaty odbił się również na stanie przestępczości, jak wykazuje statystyka kryminalna, w ciągu ostatnich lat 10-ciu przestępczość w Królestwie wzrosła o 46%, podczas gdy w guberniach wewnętrznych o 14%.³⁾ Wreszcie potężną rolę w duszeniu polskiej kultury spełniała cenzura ostro, prewencyjna, która nie pozwalała dziennikarzowi zająć się najżywotniejszymi sprawami kraju. Sam zresztą przymiotnik polski stał się niecenzuralnym i musiano go zastąpić przymiotnikiem „miejscowy“. Historia polska jako czynnik składowy romansu została przekreślona; był czas gdy wolno było drukować historyczne powieści polskie, tylko do

¹⁾ Piltz „Polityka rosyjska w Polsce“, str. 48.

²⁾ Tamże, str. 49.

³⁾ Tamże, str. 50.

XIV w. Oto, co czytamy na ten temat w „Nowej Reformie“ w nr 104 w r. 1891: „Każda redakcja prawie, pragnąc wywiązać się z przyjętych zobowiązań przynajmniej co do czasu prawidłowego wychodzenia pisma, musi na każdy numer posiadać 2 razy tyle złożonego materiału, ile potrzeba, gdyż nigdy żaden rutynowany redaktor nie może być pewny, co mu cenzor puści a co zatrzyma, lub pokieroszuje tak, że niesposób jest drukować artykułu bez obawy narażenia się na śmieszność lub idiotyzm, wobec czytelników nieświadomych roboty, odbywającej się w kuźni cenzury“. O metodach cenzury świadczy fakt, że na afiszach teatralnych nie pozwalano wydrukować imienia i nazwiska Juliusza Słowackiego, ani wymienić wyrazu król, lecz polecono zastąpić go przez „książę“ w „Mazepie“¹⁾.

¹⁾ „Nowa Reforma“, r. 1891, nr 109.

VIII

POWSTANIE STYCZNIOWE I JEGO ECHA

Dotąd trzymałam się tej metody, że od powieści szłam do rzeczywistości, tu przy tym rozdziale, zrobię wprost przeciwnie, wyjdę od życia do powieści. Dlaczego? Zmusza mnie do tego sama autorka, która na temat 63 roku nie stwarzała fikcyj powieściowych, ale wspominała raczej, tak że trudno byłoby wytyczyć linię graniczną między rzeczywistością a jej fantazją.

W okresie poprzedzającym wybuch powstania styczniowego 17-letnia Orzeszkowa wydana za męża za człowieka 35-letniego pędziła życie przynajmniej na pozór wesołe, a w każdym razie huczne w Ludwinowie, życie o którym sama pisała w kilkanaście lat później: „Dziwnym się to wydaje i obszernych objaśnień wymaga, ale faktem jest, przez wielu jeszcze pamiętanym, że w przededniu najmniej pewno zabawnej epoki prawie hasłem i najwyraźniejszym celem życia była zabawa. Bawiono się wszędzie, zawsze w sposoby najrozmaitsze i dla wszelkich możliwych pretekstów. Wizyty, obiady, wieczory, tańce, polowania, karty, majówki, kuligi, wrzały po wsiach i miastach. Dni ciszy, skupienia jakiegokolwiek pracy zdarzały się czasem, tygodnie bardzo rzadko, miesiące nigdy¹⁾. Aż nadeszła wiosna 1863 roku i przerwała bezmyślne życie ówczesnego społeczeństwa. Ludwinów stał się ogniskiem ruchu powstańczego w po-

¹⁾ Wspomnienia grodzieńskie, „Kraj“, r. 1886, nr 31.

wiecie kobryńskim, (w tym samym powiecie Traugutt miał swą wioskę Ostrów) i 22-letnia Orzeszkowa była świadkiem nieomal naocznym powstańczego wysiłku na tym odcinku, wtajemniczonym i pracy powstańczej całą duszą oddanym. „Wiedziałam o wszystkim, co się dokładało i nikt z niczego tajemnicy przede mną nie czynił“, napisze potem sama o tych czasach („Gloria Victis“). W miarę sił swoich brała udział w powstaniu, należała bowiem do tego kobiecego legioniku, którego zadaniem było zaopatrywać partię w żywność, bieliznę, bandażę, opiekować się rannymi, przewozić pocztę. Sama musiała kiedyś połknąć kilka ważnych listów, aby nie dostały się w niepowołane ręce.¹⁾ Karetą swą przemycała bieliznę i dużo strachu przeżyła, gdy kiedyś zatrzymał ją patrol kozacki i z karety wysadził. Nic nie znaleziono, bo cały zapas miała na sobie, a gdy z powrotem wsiadała, obsunęła się jakaś powstańcza koszulina i omal jej nie zdradziła. A kiedy w lipcu chory Traugutt porzucił dowództwo, przez 2 tygodnie przebywał w Ludwinowie, gdzie odbyło się w tym czasie 9 rewizyj na szczęście bezskutecznych. Tymczasem Litwę okrył cień, co od licznych (jak licznych trudno nam dzisiaj uwierzyć) szubienic Wieszatelowych padł. Ludwinów, jak wiele innych polskich majątków, został skonfiskowany, a pan Orzeszko został zesłany do Permu. Nie towarzyszyła mu Orzeszkowa, co zresztą wyrzucała sobie później, bo „choć go nie kochała, ale w każdym razie, dla wielkiej cierpliwości“.

I „wiosna przeminęła, sen zgasł, godzina umarła“ pozostawiając jednak w duszy Orzeszkowej piętno niezatarte. „W ciemności miałam duszę wiecznie utęsknioną, za słonecznymi, złotymi snami goniącą, po polach, nad którymi stały cisze głuche i hasały ponure wichry“, powie o sobie w „Gloria Victis“. I o ile przesadne jest

¹⁾ Godlewski, „Pani Orzeszkowa“.

zдание, krytyka literackiego miesięcznika „Gegenwart“, że jej oryginalny talent zawdzięczają Polacy Murawjewowi, o tyle nie przesadzimy, ani trochę stwierdzając, że rok 1863 był tym decydującym wstrząsem, który obudził w Orzeszkowej wielkiego człowieka i wielką artystkę. Stał się on dla niej tym zasadniczym przeżyciem, którego z serca i pamięci wyrwać nie można, co choć przysypane pyłem codziennych spraw, mgłą czasu osnute, pulsuje zawsze żywe, w każdej chwili gotowe przemówić. I snują się w powieściach jej wspomnienia, aluzje o tych mogiłach, „gdzieś daleko, daleko w nieznannej krainie przysypanych warstwą śniegu, przykrytych ziemią, nierozmarzających nigdy“¹⁾. Wśród głupich snobów ukaże nam obłąkanego Adama Kniksa, którego „tak zajmowało to, co się działo na świecie“²⁾, że gdy źle dziać się zaczęło, i z nim stawało się gorzej. Z dalekiej długiej podróży, z której wrócił przed kilku miesiącami zaledwie, przywiózł pan Otocki, ongiś właściciel Otoka, dziś szwajcar w hotelu wszech-krajów mleczną białosć ogromnych swych wąsów i lekką niemoc w nodze³⁾. O nim to dla wyjaśnienia dodaje autorka „Otocki był jednym z liści takich, miał kiedyś wioskę cichą, piękną z szumiącymi drzewy, klekocącym bocianem i skowronkami zrywającymi się znad zielonych runi, nie była już ona własnością jego. Posiadał znajomych, przyjaciół, krewnych... co się teraz z nimi działo? Bujali jak on w zmaconym powietrzu, pośród obcych i niepojętych im obrazów, albo przypadli do ziemi, do samej ziemi i przylgnęli do niej mocno, cicho, tak jakby pragnęli, aby świat o nich zapomniał, aby tylko końca swego, w spokoju i bezpieczeństwie doczekać mogli“⁴⁾. Echa roku 1863 do-

¹⁾ „Pan Graba“, str. 63/4.

²⁾ „Pompalińscy“.

³⁾ „Widma“.

⁴⁾ Tamże, str. 121.

lecą gdzieś we wspomnieniach Zygmunta Ławicza, gdy w zimny mglisty poranek, małe biedactwo, zawieszony na oślizgłym ogrodzeniu stacyjnym za odjeżdżającym w sybirną dal pociągiem wołał: „Adieu, tatko, adieu“, coraz słabiej i płacźliwiej. Poza tym, tu i ówdzie w powieściach, wiele snuje się postaci, które w powstaniu straciły osoby bliskie sobie i majątek („Jędza“, „Ad astra“), po wielu tych, co liczyć nie umieli, pustką stoją domy na śmierć skazane, opustoszałe, („Śmierć domu“).

A koło siebie widziała „strach wieczny, tę ostrożność niewolników, których drżeniem przejmuję sam brzęk ich obroży... to zagrzebanie szlachetnej duszy w prochu bojaźni i interesu... tę obojętność dla wszystkiego, co nie żywi i nie odziewa ciała... ten brak miłości dla ziemi i ludzi“¹⁾, i zaczęła mówić głośniejszym głosem korzystając z pewnej wolności cenzury w obronie mogił, które odwiedzali niektórzy tylko i to ukradkiem, którym tylko czombry i dzwonki liliowe gdzieś po leśnych polanach wieczne odpoczywanie grały.

I opowiedzieć kazała Jankowi Bohatyrowiczowi o powstańczych pamiętnych potyczkach, a zwłaszcza o tej stoczonej gdzieś „dobrze po świętym Janie, a może około świętej Anny“²⁾, po której w zaniemieńskim lesie wyrosła zbiorowa mogiła 40-tu.

Widziała w otaczającym ją świecie coraz mniej Anzelmów, co wciąż jeszcze żyli wielkością tamtych chwil, a coraz więcej takich, co przestali zerkać na obłoki i z trudem tkali byt własny, pełen trosk małych i trudów przyziemnych, którym na określenie pewnych faktów, dat, czy nazwisk pozostały tylko słowa „to... to... tamto“. Czy obwiniała za to tych, w typie Benedykta Korczyńskiego? E, chyba nie, sama wyjaśniła, jaką drogą z wielkich ideałów i wzlotów schodzili do więcej niż przecięt-

¹⁾ „Nad Niemnem“, t. II, str. 245.

²⁾ Tamże t. II, str. 42.

nej powszedniości, pisząc o Korczyńskim: „Z początku czynił to niezgrabnie i zawsze jeszcze ku obłokom trochę zerkając. Wynikło dlań stąd wiele strat i nieprzyjemności. Tak np. raz w pierwszych jeszcze latach gospodarowania różne teorie dobrze mu znane zbudziły w nim chęć, aby mieszkańcy dziedzicznych niegdyś jego wiosek nauczyli się czytać, owocowe ogrody zakładać, u doktorów się leczyć, karczmy omijać... lecz bardzo prędko wszelkiej roboty około tego musiał zaniechać, bo na kilka miesięcy wyjechał do najbliższego miasta w celu przeprowadzenia dość kosztownej i niebezpiecznej sprawy. Odtąd na ten punkt obłoków nie zerknął już nigdy“.¹⁾

Rozumiała więc tragizm tych, którzy powoli rok za rokiem rezygnować musieli z ideałów, tępić wszelkie wzloty, wpleceni w koło szarej powszedniości bez ideałów i świetlistych celów. Oburzały ją natomiast bluźniercze słowa tych, którzy czczonych przez nią jak świętość bohaterów, uważali za szaleńców „bardzo szanownych zresztą, ale do najwyższego stopnia szkodliwych“, bo przecież „tylko szaleńcy i krańcowi idealisci bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych“²⁾. Oburzała się na tych, którzy z lekkim sercem, gdy bank został do szczytu rozbity, szli grać przy innym stole. Spotykała wokół siebie snobów sytych i zadowolonych, umiających dobrze liczyć i przemówiła w obronie panny Róży,³⁾ wyśmiewanej za rozczuływanie się w Mickiewiczu i za jakże romantyczną i niepraktyczną, wierną do końca miłość do narzeczonego, który, jak wielu innych, życiem powstanie przyplacił. Aż wreszcie przyszli do niej ci wszyscy ze wspomnień młodości, otoczyli ją rojem gwarnym, jak niegdyś, i opowiadać zaczęła „o tych dziejach dawnych, widzianych, słyszanych, odczutych, przeży-

¹⁾ „Nad Niemnem“, t. I, str. 41.

²⁾ Tamże, t. II, str. 179.

³⁾ „Panna Róża“.

tych, na dnie pamięci i serca wiecznie żyjących. Strumień czasu po nich płynął i pod wartkami jego falami bladły niekiedy ich obrazy, lecz nie znikwały nigdy; dziś powstają tętniące pulsem krwi, która je zrodziła, rozlegają się krzykami tragedii, pomalowane barwami poezji, tak głębokiej, jak głęboka była ta otchłań ofiar i mąk“.¹⁾

Dlaczego teraz właśnie postanowiła dać wyraz temu, co czuła całe życie, wyjaśniła sama pisząc: „Chwila sposobna nadeszła. Chwila potrzeby nadeszła. Niech serca ostygające dla Ojczyzny przybliżą się do tego żuźla, który niegdyś spadł był na jej drogę — niech odetchną wonią jego, piekącą i gorzką“²⁾. Może prócz tego towarzyszyło jej jakieś przeczucie, co kazało łabędzi śpiew poświęcić temu, co najbardziej ukochała. I powstało „Gloria Victis“ nie z fantazji wysnuta powieść, ale pamiętnik raczej o ludziach, sprawach wielkich i kochanych, pełen faktów i postaci, żywych, autentycznych. Przecież Florenty, ten świeży eks-student, demokratą odmieniający przez wszystkie przypadki wyraz lud, to brat jej męża Orzeszki z którym jeszcze w 1862 założyła w Ludwinowie szkołkę dla dzieci chłopskich. Autentyczną postacią jest również Gustaw Radowski, słynny z jazdy konnej i celnych strzałów właściciel Dziatkowicz, gdzie gromadziła się Trauguttowa partia, o którym pisała: „O, zszedł już z tej ziemi, w krainę nieznaną, która tam po drugiej stronie rzeki życia leży, zszedł z niej po długich cierpieniach wygnania, ubóstwa, czysty do końca, mężny do końca, gwieździe młodości swej i otchłani, która mu życie pożarła, błogosławiąc do końca. Zszedł z tej ziemi samotny, bezdzietny... i wolno mi imię jego wymówić“³⁾. Zgodnie z tym co pisze Orzeszkowa wymienia tegoż Radowskiego Dubiecki w swej

¹⁾ „Gloria Victis“, str. 53.

²⁾ Tamże, str. 53.

³⁾ Tamże, str. 19.

książce o Traugucie, jako adiutanta naczelnika partii Traugutta, dodając, że to jeden z tej licznej rodziny, która wszystkich swych członków złożyła w ofierze Ojczyźnie, w owym tragicznym roku nadziei i boleści bezbrzeżnej. Wymienia Dubiecki również Feliksa Jagmina jako dowódcę konnicy, a więc znowuż zgodnie z tym, co pisze Orzeszkowa w noweli „Oni“, którego śmierć opisuje w „Gloria Victis“. Zresztą i sama owa bitwa, którą opisuje Orzeszkowa jest najzupełniej zgodna z prawdą historyczną, tak jak nie jest złym koszmarem fakt, że wtedy Moskałe dobijali rannych i lekarzy opatrujących ich. Oto, co o tej bitwie pisze Dubiecki: „Czwarta część, a może i więcej partyzantów, broniących swych stanowisk znalazła tam zgon. Żołnierze generała Eggera wtargnąwszy do obozowiska z takim trudem zdobytego, pastwią się nad rannymi, obdzierają martwych. Lekarz opatrujący rannych Pawłowski Paweł został przy swej pracy zamordowany“.¹⁾ O tej samej bitwie w 40 lat potem pisała Orzeszkowa w liście z dnia 6 lutego 1907 roku do Mariana Dubieckiego: „Bitwy co prawda na własne oczy nie widziałam żadnej, ale jedną słyszałam we dworze u jednego z Orzeszków o niecałą wiorstę oddaloną od miejsca, w której się toczyła. Było to po drugiej stronie kanału Królewskiego, w lasach tzw. horeckich. Zwiedzałam potem miejsce, na którym się toczyła i widziałam pustą już polanę, na której partia przez 3 tygodnie obozowała. Jeszcze leżały tam nie pogrzebane trupy końskie, stały namioty z gałęzi splecione już wznosił się kopiec mogilny, nad zwłokami poległych powstańców“. I dalej w tymże liście pisze Orzeszkowa „bitwa, o której wspominam była w powieści kołobrzyskiej ostatnią. Rozproszona przez bardzo znaczne siły wojskowe pod dowództwem generała Eggera partia, miała w parę tygodni potem połączyć się znowu w powieści

¹⁾ M. Dubiecki, „Romuald Traugutt“, str. 70.

pińskim, dokąd na pomoc jej dążył z paruset ludźmi Jan Wańkowicz (pseudonim „Leliwa“); te dwa tygodnie całe przepędziłam z Trauguttem, który przez połowę czasu tego ukrywał się w domu naszym w Ludwinowie, a przez drugą połowę dojeżdżał do partii na nowo pod Pińskiem sformowanej, w moim towarzystwie i w poszostnej karcie; gdyż inaczej jak w towarzystwie kobiety w zamkniętym, paradnie wyglądającym powozie, podróży tej wśród tysiącznych niebezpieczeństw odbyć by nie mógł. W kilka tygodni później po rozbiciu dwóch połączonych w Pińszczyźnie partyj Traugutt wraz z Wańkowiczem przybył ponownie do Ludwinowa, skąd obaj znowu karetą naszą odjechali aż do granic Królestwa Polskiego, kędyś za Brześciem Litewskim“. O wspomnianym w liście Wańkowiczu pisze Orzeszkowa również w noweli „Oni“: „i jak dzwonek radosną wieść ogłaszający, zabrzmiało w ustach ludzkich imię Leliwa. Było to przybrane imię; ukrywało się pod nim inne, nam zresztą wiadome. Bił od imienia tego blask, pięknej sławy, szły przed nim opowieści do legend podobne“.¹⁾ Nie pominęła oczywiście tego, który stał na czele umiłowanych bohaterów — wodza „z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka“ — Romualda Traugutta. Nazwała go człowiekiem świętego imienia i na pytanie dlaczego świętym jest to imię, od razu dała odpowiedź: „Albowiem według przykazania Pana, opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój, wszystko co pieści, wszystko co raduje i życia jest ponętą, czarem, skarbem, szczęściem, a wzięwszy na ramiona krzyż narodu swego poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał“. I jeszcze smutne słowa: „nie tutaj zgorzał. Nie w tej mogile śpi. Kędyś daleko“.²⁾ O nim zresztą śniła się jej opowieść wielka i mocna jak wielkim był ten bohater, co do walki wiódł

¹⁾ „Gloria Victis“, str. 37.

²⁾ Tamże, str. 285.

choć „spostrzegał wylaniającą się z dnia ofiar i boju potworną czarną noc¹⁾”, wódz, któremu mogiła stała się rów otaczający Cytadelę, wapnem miast wawrzynu przysypyany. Świadczą o tym słowa: „Ale nie o nim teraz opowiadać będę. O nim — potem, długo. Długą być winna powieść o mężu wielkim, który po sobie zostawił imię głośnie²⁾”.

Nie ograniczyła się zresztą do wspomnień o tych najbliższych i najbardziej znanych. W swym piśmie na cześć zwyciężonych, a jednak zwycięskich, nie zapomniała o tym całkiem nieznanym powstańcym żołnierzu, co rekrutował się przeważnie z leśników, słynnych z celnych strzałów, z drobnej zagrodowej szlachty i oficjalistów. Nie pominęła nawet tych „licznych wątplych postaci najmniej wyraźnych, zdających się być cieniem, które idą za tamtymi, których z miasteczek, gdzieś gdzieś ze wsi chłopskich i z jakichś może dróg losu obłądnych i nieszczęśliwych przywiodły tu hasła, które sennymi duszami wstrząsnęły, nadzieje przyszłości lepszej, które czasem spływały na złą teraźniejszość³⁾”. Zresztą ze smutkiem niejednokrotnie stwierdzała, że chaty chłopskie były przed powstańcami zamknięte. W liście do Dubieckiego pisała: „Wstąpiła do partii, cała liczna młodzież obywatelska (powiatu kobryńskiego) i przyprowadziła ze sobą swoje dwory: oficjalistów, służących rozmaitych, nade wszystko leśników. Sporo też było szlachty zagrodowej, z nielicznych zresztą w kobryńskim okolic⁴⁾”, i dalej w tym samym liście: „Powstanie na Litwie było szlacheckim, prawie wyłącznie; jedna to z przyczyn, dla których nieszczęśliwie się skończyło, ale temu winne wieki, nie ludzie ówczesi⁴⁾”.

1) „Gloria Victis”, str. 286.

2) Tamże, str. 286.

3) Tamże, str. 233.

4) M. Dubiecki, „Romuald Traugutt”, str. 64.

Wieki zawiniły, Orzeszkowa patrzyła na skutki ich win i ze smutkiem o tym pisała: „I tylko niestety wozy i wózki nasze nie zatrzymywały się nigdy przed chatami chłopskimi. Zamykały je przed nami różnice wiary i mowy, błędy przodków naszych, niestety, niestety¹⁾”. Wiedziała, że „chłopi drogi — pokazują... prowadzą”, bo „do jednostajnie przed zapaśnikami zamkniętej chaty chłopskiej zapukała siła, ludzi tych z niej wyprowadziła i za sobą prowadziła. Milczący sfinks leniwie i obojętnie ciągnął za tysiącglowym kołosem, a zbiorowe oblicze jego spod czap baranich zdawało się mówić, „muszę” i „wszystko mi jedno²⁾”. Że dobrze rozumiała dlaczego tak było świadczą słowa, jakimi kończy opowiadanie swe o potyczce powstańców i zachowaniu się w czasie niej chłopów: „Tak, na toczące się po górskich wyżynach boje Ateńczyków z Lacedemonczykami z przyziemnych siedlisk swych musieli spoglądać heloci³⁾”. I nawet ten Panas Teleżuk („Hekuba”), co nie poddanym, a raczej przyjacielem i doradcą był pani Teresy nie mógł zrozumieć, dlaczego ukochanemu synowi pozwoliła iść do powstania. Nie pomogło długie gorące tłumaczenie pani Teresy, co to Ojczyzna i wolność — w rezultacie Nastka usnęła a w sennej oku Panasa błyszczała ironia. Nie rozumieli, bo „z tej strony dusza chłopska posiadała wzrost stłumiony, była ślepą, głuchą i niemą⁴⁾”. Wieki zawiniły i nie pomogła odezwa Rządu Powstańczego, głosząca wszystkim synów Polski bez różnicy wiary, rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju, przyrzekająca, że ziemia, którą lud rolniczy posiada na prawach czynszu lub pańszczyzny staje się od tej chwili bezwarunkową jego

1) „Gloria Victis”, str. 36.

2) Tamże, str. 45.

3) Tamże, str. 45.

4) Tamże, str. 156.

własnością, dziedzictwem wieczystym, że właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z funduszków państwa; wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie śmierci na polu chwały, rodziny ich otrzymują z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi. Odezwa ta Komitetu Centralnego potwierdzona została w dekreście z 10/5 1863 roku i ponowiona jeszcze 25/3 1864 roku. Komisarze nadzwyczajni wysłani przez Rząd narodowy w kwietniu 1863 roku na prowincję dla zbadania, czy dekret o uwłaszczeniu został wykonany i czy obywatele ściągają czynsze donieśli, że oprócz biadań i skarg tu i ówdzie słyszeć się dających zaledwie kilka w całym kraju było faktów tajemnego pobierania czynszów od włościan. A jednak to wszystko nie pomogło. Czy może dlatego, że wiekowa niewola wyrobiła u chłopów nieufność, czy może, jak słusznie zwraca uwagę Limanowski¹⁾ w mętnych głowach chłopskich, rządy istniejące były także polskimi. Ogółu to nie pociągnęło i choć zdania historyków polskich są podzielone, na ogół zgadzają się, że chłopci dobrowolny udział w powstaniu wzięli nielicznie, a przymusowy — niechętnie, że niekiedy wręcz wrogo ustosunkowywali się do powstania. Błąkającego się po rozbiściu partii z 12-ma ludźmi, po błotach pińskich Rogińskiego, pochwycili chłopci we dworze obywatela Młyńskiego, skąd odesłany został do Warszawy²⁾. Spieszących do powstania spotykały różne ironiczne uwagi ze strony chłopów: „Co chłopcy, idziecie do lasu? na dobrą sprawę po jabłka? uważajcie tylko, aby nie były kwaśne“³⁾. W niektórych okolicach włościanie udawali się do władz gminnych, czy naczelników powiatu, oświadczając gotowość schwywania i odstawiania powstańców, tak że jak

¹⁾ Bolesław Limanowski, *Historia demokracji polskiej*.

²⁾ M. Berg, „Zapiski o powstaniu polskim“, t. II, str. 315.

³⁾ Tamże.

chlubi się Murawjew¹⁾ „wkrótce też można już było z samych włościan formować zbrojne straże wiejskie, które wszędzie wojskom pomagały, do ostatecznego zniszczenia buntowników“. Podobnie i Śliwiński twierdzi, że masy włościaństwa mimo dekretu o uwłaszczeniu spode łba przyglądały się oddziałom powstańczym. To wszystko, więc zgadzało by się z tym, co mówi Orzeszkowa o stosunku chłopów do powstania. Oczywiście trafiały się wyjątki. Tenże sam Berg powiada w innym miejscu: „Coraz częściej nawet zdarzało się, że włościanie dobrowolnie, zaciągali się do szeregów walczących, szczególnie w województwach płockim, mazowieckim, i radomskim“. Aweyde w swoich zeznaniach podobnie i Giller twierdzą, że władze narodowe zmuszone były odsyłać wielu ochotników-włościan z powiatów wrocławskiego, warszawskiego, kutnowskiego, z powodu braku broni. Limanowski wylicza oddziały w większej części z chłopów złożone, jak np. Bohdanowicza w Chełmszczyźnie, Mystkowskiego w Płockim, Tomasza Kolbe, Pawła Suzina w Augustowskim, Lelewela (Borelowskiego) w Lubelskim, Żychlińskiego na Mazowszu, i oddziały Krysińskiego i Szpaka z samych chłopów złożone. Uważa, że pod koniec powstania generał Bosak dzielnie się trzymał w Krakowskim i Sandomierskim, głównie dzięki pomocy włościan. Nie ulega wątpliwości, że były wśród chłopów przykłady szczerego patriotyzmu. Dowodem na to choćby Bitis walczący na Żmudzi na czele paruset chłopów aż do wiosny 1864 roku, o którym chlubne wzmianki czytamy w odezwach Traugutta, czy też spotkany na Syberii przez Gillera sołtys spod Okuniewa, który wycierpiał 3.000 kijów i zesłany został do Nerczyńska, podobnie jak i zięć jego Filip Kurek. Za pomoc okazaną powstańcom spalone zostały na rozkaz Murawjewa Ibiany na Żmudzi i Jaworówka na Litwie

¹⁾ Pamiętniki Murawjewa z „Russkaja Starina“.

17/8 1863 roku. A „mieszkańców wszystkich co do jednego i starców i młodych, mężczyzn i matki z niemowlętami u piersi“ zesłano na granicę turkestańską, na co nawet Berg oburzał się pisząc „kto odpowie za takie bezmyślne barbarzyństwo“.¹⁾ Jeśli zaś zdarzała się zdrada ze strony chłopów, to oprócz innych przyczyn powodem jej był często strach, przed represjami ze strony władz rosyjskich. „Na wsie i okolice ich, na dziesięć do piętnastu wiorst, które świadomie zezwalały na pobyt tych rozbójników i nie donosiły o tym do najbliższych komend wojskowych, kazałem nakładać ogromne kontrybucje“ pisze sam Murawjew o swych metodach.²⁾

Zresztą czy można choć przez chwilę dziwić się chłopom, kiedy wiemy, że szlachta w liczbie 3.000 obywateli z całego Królestwa zgromadziła się w Warszawie potępiając ruch zbrojny jako nieszczenie narodowe,³⁾ i był nawet plan wysłania do Wielkiego Księcia adresu, potępiającego ruch zbrojny.⁴⁾ Nawet służba i oficjaliści niektórych dworów składali przysięgę powstańczą, podczas, gdy panowie za żadną cenę nie chcieli do organizacji przystąpić⁵⁾. Byli zresztą nawet tacy, jak właściciel Kowalewic, Puciałło, który sam posłał parobka po Moskali, gdy oddział powstańczy ukazał się we wsi⁶⁾. I to nie tylko starzy byli aż tak „biali“, ale i młodzież Szkoły Głównej Warszawskiej opowiedziała się przeciwko powstaniu, a liczni studenci oświadczyli gotowość rozjechania się po kraju i nakłaniania oddziałów do rozejścia się. Należy dodać, że Uniwersytet Krakowski, posłał swym

¹⁾ N. Berg „Zapiski o powstaniu polskim“, str. 164.

²⁾ Pamiętniki Murawjewa.

³⁾ Grabiec „Powstanie styczniowe“, str. 89.

⁴⁾ Por. Przyborowski „Dzieje roku 1863“, t. I., str. 135 i Stella-Sawicki „Rok 1863“, str. 40.

⁵⁾ Por. Giller „Polska w walce“.

⁶⁾ Tamże.

warszawskim kolegom... wrzeczono...¹⁾. Tym wszystkim, którzy potępiali rok 1863 i uważali, że powstańcy „zdrową głowę pod Ewangelię kładli“ odpowiedziała Orzeszkowa przez usta Orszaka: „Śmiech gorzki z takiego zdrowia, nie nam nie było wolno, tylko: jedz, pij, śpij i gnij, to wolno... niedobrze ci z tym? powinno być dobrze, a jeżeli nie jest, to milcz! Jeżeli sarkniesz głośno, lub palcem poruszysz, na Sybir“²⁾. Dla tych zaś, którzy uważali powstanie za porywanie się z „motyką na słońce“ miała prosta odpowiedź: „Duszą ludzką nie wolno pozwalać, aby ktokolwiek je zabijał. Oto jest nasze prawo do walki, którą podejmujemy i oto dlaczego sprawa nasza jest sprawą boską. Jeżeli wygramy, wygraną naszą, będzie zbawienie duszy narodu, jego czci i jego doczesnego szczęścia, jeżeli przegramy, rzeką krwi przez nas przełanej, inni zapłyną do wolności“³⁾. I mimo, że widziała wokół siebie pokornie zgięte karki, bijące pokłony przed pieniądzem i przemocą, wbrew ogólnemu vae victis miała odwagę zawołać „gloria victis“. Umiała czcić bohaterów, którym ni wieńców nie składano, ni pomników nie wznoszono, którym chwałę tylko brzozy płaczące na cienkich gałązkach grały. Wiedziała, że trzeba było „w samej nawet klęsce z za zasłon czasu dostrzeżonej widzieć krwawe, lecz nieśmiertelne ziarno przyszłego zwycięstwa i na grób własny patrzeć żrenicą nie tylko niewzruszoną, lecz jeszcze rozradowaną przez myśl i nadzieję, że kiedyś w pokoleń i czasu oddali, z emanacji przez grób ten wyziewanych powstanie krwią przełaną unieśmiertelniony, Arcyzwycięzca — Duch“⁴⁾.

¹⁾ E. Piltz, „Nasza młodzież“.

²⁾ „Gloria Victis“, str. 16.

³⁾ Tamże, str. 20.

⁴⁾ Tamże, str. 9.

IX

SZUKANIE RZECZYWISTOŚCI
PRZEZ E. ORZESZKOWĄ

Na dnie każdego utworu literackiego leży rzeczywistość. Czasem są to całe zdarzenia, czy fakty z życia zaczerpnięte, fantazją autora wyolbrzymione lub pomniejszone, stosownie do wymagań światopoglądu. Czasem rzeczywistość nie dostarcza wątku dramatycznego, ale w każdym razie pewne sytuacje, charaktery, to echa choćby podświadome spostrzeżeń autora, na najbliższym często otoczeniu poczynionych, a bardzo często świadome — wynik studiów środowiska, którego życiem zajął się autor. Oczywiście ciekawą jest ta transformacja rzeczywistości w utworach artystycznych i niemniej ciekawe, choć nie zawsze możliwe jest wyszukiwanie tej rzeczywistości. Jeśli chodzi o powieści Orzeszkowej, to jak zawsze, zorientowanie się o ile i jak rzeczywistość została w nich przetworzona, jest trudne; oczywiście można przypuszczać to i owo, badając środowisko w jakim żyła i jakie ewentualnie spostrzeżenia narzucić się jej musiały.

Jak wiemy urodziła się i dzieciństwo spędziła w Miłkowszczyźnie w powiecie grodzieńskim. Mając lat 10 wyjechała na pensję Sióstr Sakramentek do Warszawy. Z tego pierwszego okresu życia już niewątpliwie pozostały echa w jej twórczości: wiele bohaterek jej powieści, podobnie jak ona, mówi od dziecka po francusku, a i ciężkie życie panny Antoniny („Panna Antonina”) zbyt ucziwej, aby jej mogło być dobrze na świecie, ma na pewno wiele wspólnego z życiem nauczycielki małej Elżuni, kochanej przez nią zresztą panny Michaliny Kobylińskiej. Generałowa Or-

czyńska, bogata dziwaczka („Pompalińscy”) niegdyś piękna rezydentka, wydana za starego 70-letniego generała (ten ożenił się tylko przez złośliwość, aby majątek nie dostał się rodzinie), która dręczy nadskakujących jej w nadziei spadku krewnych przyjęciami w nieopalonych pokojach, na obiadach z ciepłej wody i twardych, chudych kogutów, być może, że to tylko transformacja pani Sweczyn z domu Biszpinzanki, o której pisze w pamiętniku:¹⁾ „Stałam przy mamie i słuchałam rozmowy, którą prowadziła ona z panią Sweczyn z domu Biszpinzanką, sławną podówczas bogaczką i dziwaczką. Była to kobieta stara zupełnie, otyła, w ogromnie dekoltowanej sukni z liliowej mory, z kwiatami przy włosach i staniku, mówiąc makaronizowała, mieszając w każdym zdaniu słowa polskie i francuskie”.

Echa zaś pobytu w klasztorze znaleźć możemy w „Ascetce”. Jak wiadomo po 6-letnim pobycie na pensji wróciła Orzeszkowa do Miłkowszczyzny i tam, a względnie w Grodnie, gdzie mieszkały z matką przy ulicy Brygidzkiej, zajmując mieszkanie z 9 pokoiów złożone z dużym salonem, wprowadzono ją w świat, by wydać za mąż jak najprędzej. Na ustawicznych wizytach i przyjęciach upływał jej czas, aż do wyjścia za mąż. Ten okres życia znalazł swój obraz przede wszystkim w „Pamiętniku Wacławy”. Życie Wacławy, to życie Orzeszkowej po opuszczeniu pensji, której do „ukończenia 15 lat brakowało kilka tygodni”. A że obraz salonów jest wier-ny, świadczą słowa E. Zoryana²⁾ „taką monografię salonów, jaką w „Pamiętniku Wacławy” skreśliła Orzeszkowa możemy śmiało zaliczyć do dzieł pomnikowych, z których kiedyś historyk obyczajów wiele będzie mógł się nauczyć”. A przecież słowa te pisał Zoryan w 1885

¹⁾ Pamiętnik ogłoszony przez Meyeta Kurier Warszawski, 1911 r.

²⁾ Kłosy, Warszawa, 1885.

a więc wtedy, kiedy mógł zestawić to, co Orzeszkowa pisała w „Pamiętniku Wacławy” z rzeczywistością. Jeśli chodzi o osobiste przeżycia Orzeszkowej po wyjściu za mąż, to wiele z nich znajdziemy z pewnością w „Początku powieści”. Bohaterka tejże rozsądna dziewczyna, która otrzymała staranne jak na owe czasy wykształcenie na pensji w Warszawie, pod presją rodziców-nowobogackich, którzy dorobili się majątku na wątpliwych spekulacjach (przetrzykiwanie kontrabandy itp.) wychodzi za mąż za głupca, który skończył 4 klasy powiatwe, ot dlatego, że im eks-ekonomom imponuje nazwisko i stosunki. W tragedii niedobranego małżeństwa z Tarnowskich Różyńskiej („Ostatnia miłość”) znowu żony głupca, mającego pasję do koni, może odnaleźlibyśmy wiele serdecznego bólu samej Orzeszkowej wpływającego z tragedii jej niedobranego małżeństwa. Z osobistych przeżyć wypłynęły również gorzkie doświadczenia Kamili, żony szulera Graby, starającej się o rozwód. Że małżeństwo Orzeszkowej nieszczęśliwym było nie ulega wątpliwości. Świadczy o tym dowodnie fakt, że nie towarzyszyła mężowi do Permu, co zresztą wyrzucała sobie „bo choć go nie kochała, ale dla wielkiej cierpiał idei”, a jeszcze bardziej ten, że starała się o rozwód i że mimo wielkich trudności przeprowadziła go.

A gdybyśmy tych nawet danych nie mieli, wystarczy, że gdy wychodziła za mąż brakowało jej tylko kilku miesięcy do lat 15-tu, jak sama powiada, a pan Orzeszko miał 35,¹⁾ i to, że w chwili decydującej rozmowy Glinicza z matką w kwestii jej małżeństwa, z najwyższym zainteresowaniem i spokojem czytała powieść Zachariasiewicza. Wszak wiedziała, jak sama powiada w pamiętniku, że rychło musi wyjść za mąż, bo tak chce matka i wymagają tego zwyczaje, za kogo, wszystko jedno;

¹⁾ Wydawcy „Listów Orzeszkowej” (1937), t. I, str. 420 prostują, że miała niespełna 17, a P. Orzeszko 33.

pan Orzeszko fizycznie może podobał się jej trochę więcej od innych, a przede wszystkim zaciękawiały ją strony z których pochodził. Że w tych 3 powieściach jest wiele elementu rzeczywistego i to autobiograficznego — niewątpliwe. Nie możemy jednak stwierdzić do jakiego stopnia są one takimi, gdyż sama autorka nie mówiła nigdy na temat swego pożycia małżeńskiego oświadczając wręcz „o niektórych stronach ówczesnego życia mego, mówić nie będę, ani teraz ani nigdy. Życie oduczyło mnie zwierzeń osobistych i mam wrodzony, zarówno jak z pewnych zasad moralnych wypływający wstręt do głośnego skarżenia się...”¹⁾ To chyba wystarczy.

Po 6-letnim pobycie w Ludwinowie, majątku męża, wróciła Orzeszkowa do Miłkowszczyzny. W Ludwinowie zetknęła się prawdopodobnie z ludem po raz pierwszy; wszak w roku 1862, z Florentym bratem męża, założyła dla dzieci chłopskich szkołę w Ludwinowie. Z tych obserwacji wypłynęła pierwsza ogłoszona jej nowela „Obrazek z dni głodowych”. Jakżeż dalekie od rzeczywistości i od klasycznych wprost, późniejszych jej Dziurdziów, czy Chama, są te postacie. Dopiero późniejsze obserwacje, poczynione w czasie letnich miesięcy spędzonych przeważnie we wsiach nadniemeńskich, wydały te arcydzieła. Jednym z miejsc letniskowych Orzeszkowej był, jak wiemy, Poniemón, leżący nad Niemnem, o kilkanaście kilometrów od Grodna. Spędzała też wakacje w Świsłoczy Górnej, gdzie wynajmowała dom od pani Kopczewskiej, a także często w Miniewiczach. Prawdopodobnie wyjechała tam pierwszy raz po pożarze Grodna w roku 1885. Miniewicze leżą również w powiecie grodzieńskim, otoczone dookoła szlacheckimi barwnymi zaściankami. Tam uczyła się mowy poważnej i melodyjnej, mającej w sobie coś z czaru mowy Jana z Czarnolasu i tam gdzieś

¹⁾ Pamiętnik ogłoszony przez Meyeta.

na ścieżynce, wśród śliwowego sadu ujrzyć musiała elegantkę w stylu Dowmuntówny. „Dnie całe spędzała na rozmowach ze szlachtą, wsłuchiwała się w opowieści, poznawała harde dusze i poetyczne podania. W jednym zaścianku pokazują podobno do dnia dzisiejszego ławeczkę, na której siadywała pieśniarka mogiły Jana i Cecylii gawędząc ze staruszką panem bratem“¹⁾

Czas spędzony na wsi, przeznaczała Orzeszkowa na zawarcie serdecznej znajomości z kwiatami, co nad brzegami Niemna rosły obficie, z ludźmi, którzy w małych chatkach pracowali, martwili się i umierali; obserwowała ich małe troski i równie małe radości, a pod szarą powłoką codzienności i powszedniości tego bytowania oczyma artystki umiała dojrzeć niosący ból dziw życia. Że tak było, że to nie frazes świadczą jej artykuły o ludziach i kwiatach nadniemieńskich umieszczane w „Wisła“. Poświęciła je właśnie tym mieszkańcom nędznych chałup, ludowi o którym pisała, że „najłatwiej popaść może w podejrzenie o zupełną niezdolność do myślenia i obojętność względem wszystkiego, co nie zostaje w związku z najbliższymi i poziomymi jego potrzebami i interesami. Ruchy ciała w młodości nawet ociążały i leniwe, rysy apatyczne, wejrzenie częściej ponure i głupowate, niż wesołe i roztropne, mowa powolna, wahaająca się, spleciona, to zewnętrzne jego cechy od razu w oczy się rzucające“²⁾. Już te słowa dowodzą, że znała dobrze ten lud. A że znajomość ta nie była powierzchowna świadczy dalsza część tegoż artykułu „pod tą prawie bezmyślną zewnętrznością ukrywa się cały szereg specjalnych przez wieki wypracowanych pojęć, cały kodeks wynikających z tych pojęć praw, wiele też samoistności i śmiałości w charakterach i mniemiach“³⁾. Gdy czytamy te słowa, tę charakterystykę lu-

du białoruskiego przychodzi nam na myśl przede wszystkim Panas Teleżuk, ów mrukliwy chłop z „Hekuby“, który zda się, że dwóch słów zamienić nie potrafi, że niewiele odczuwa, a przecież pod nieczułą tępawą pozornie powłoką bije serce miłością gorącą do dzieci, wdzięcznością do ludzi, którzy mu dobroć okazali.

Nie tylko znała Orzeszkowa lud, ale i ukochała tych mrukliwych mieszkańców niskich chat, ukochała ich poezję zaklętą w tęsknych pieśniach, w opowiadaniach strasznych i smutnych. Zaprzeczała jakoby lud niewrażliwy był na piękno przyrody. A na dowód przytaczała jego pieśni. Znała lud dobrze, studiowała go. Dowodzą tego artykuły przesłane do „Wisły“, w których wymieniała rośliny przez lud używane w celach leczniczych czy czarodziejskich, a między innymi tę właśnie zahartuszkę, którą Pietrusia dała nieszczęśliwie zakochanej France, by zjednała jej ukochanego. Zaznacza przy tym Orzeszkowa, że użycie jej doradzają tylko te, które „wiedźmarują“, a nie „lekarują“. Podaje przy tym, przy każdej roślinie jej nazwę naukową, nazwę nadawaną jej przez lud i przez szlachtę zagrodową. Jak więc widzimy i to rozróżnienie nawet na wiedźmy otoczone nienawiścią, jak Słaboszucha w noweli „Bez duszy“, a z drugiej strony lekarujące, cieszące się powszechnym szacunkiem, jak Awdocia w „Chamie“, jest wynikiem pilnego studiowania, owego kodeksu praw ludu. Oto co pisze Orzeszkowa w artykule do „Wisły“: „kobieta, która za pomocą, nie tylko roślin, ale także płazów, szczególnie ropuch, nietoperzy, słów i znaków tajemnych, oddziaływała w sposób dowolny na zdrowie, majątek, losy, charaktery ludzkie powodując się w tym nienawiścią, zemstą, faworem i przekupstwem, nosi nazwę wiedźmy. Jest to istota nie posiadająca duszy (stąd, jak widzimy, tytuł noweli „Bez duszy“), ulubienica i zarazem własność dia-

¹⁾ E. Godlewski „Pani Orzeszkowa“, str. 42.

²⁾ „Wisła“ r. 1888, t. II, „Ludzie i kwiaty nad Niemnem“.

³⁾ Tamże.

¹⁾ „Wisła“ r. 1888, t. II, „Ludzie i kwiaty nad Niemnem“.

bla. Bóg nie dał jej duszy, a w zamian diabeł włożył w nią swoją moc i mądrość. Są nawet całe rody, które nie do Boga, ale do diabła należą i duszy pozbawione, moc diabła w sobie noszą. Taki ród nazywa się czartowskie plemię. Pojęcie to tkwi głęboko w umyśle ludu, i wydobywa się na zewnątrz z wielką trudnością, bo mówienie o tym przedmiocie zgrozą przejmuje i budzi obawę zemsty „niedobrych“, jednakże wielomówne kobiety wiejskie, raz rozgadane nic prawie utaić nie są w stanie. Opowiadania ich o wiedźmach i całych rodach pozbawionych duszy nieraz słyszałam. Mówiły o tym po cichu z ponurym wejrzeniem i zmarszczonymi czołami, a wnet potem własnymi słowy przerażone błagały o zachowanie ich zwierzeń w naglejszej tajemnicy. Zresztą wiedźma spełnia oprócz czarowniczej i czynność lekarską. Chorzy udają się do niej po radę, położnice ją wzywają na pomoc tym częściej, że kieruje nimi przekonanie o jej wszechmocy. Jakąkolwiekby jednak była skuteczność jej rad lekarskich, nie budzi w swym otoczeniu uczuć innych jak pogardę i bojaźń zmieszaną z bardzo wyraźnym odcieniem nienawiści“. Przytoczyłam wyjątek z artykułu Orzeszkowej, bo po pierwsze wykazuje on jak dobrze знаła lud, a po wtóre, dopiero w jego świetle zrozumiałą dla nas staje się śmierć Pietrusi, dla której nie było litości w sercach chłopskich, bo była wiedźmą, więc istotą bez duszy. A że wiedźmą była nie ulegało wątpliwości, wszak nadeszła pierwsza na ogień z osinowego drzewa, na który od wieków czarownice łapały. Wprowadzenie tutaj osinowego drzewa właśnie, a nie jakiegoś innego, również nie jest przypadkowe, bo do osinowego drzewa lud na wschodnich kresach przywiązywał znaczenie specjalne. W jednym z artykułów w „Kraju“¹⁾ czytamy, że pewien szlachcic zagrodowy chcąc się zemścić powbił osinowe kolki w poprzek

¹⁾ Rok 1889 nr. 21.

drogi wiodącej do zagrody przeciwnika. I jak wyjaśnia autor artykułu (Al. Jelski) „miało to oznaczać czardziejskie zaklęcie ponieważ drzewo osinowe używane przez guślarzy, posiada jakoby moc tajemniczą nawet w leczeniu znachorów wiejskich“. W świetle artykułu Orzeszkowej rozumiemy dopiero oburzenie Awdoci z „Chama“, kiedy ją „lekarke“ rozłuszczona Franka nazywała wiedźmą. A przecież to zupełnie co innego. Lekarka jak pisze Orzeszkowa „to jest kobieta, która posiadając znawstwo leczniczych roślin i guseł, na szkodę ludzi go nie używa, lecz przeciwnie zawsze ku pożytkowi ich obraca. Wiedźmy zazwyczaj są ubogie, albo ubóstwo udają i do rzemiosła swego łączą żebractwo tym natarczywsze, że wszelka udzielona im odmowa ściągnąć może fatalne następstwa. Tak np. wiedźma Słaboszycha z nadniemeńskiej wsi Miniewiczze za odmówienie jej kawałka słoniny coś takiego Karasiowi i jego żonie zrobiła, że od tej pory klócić się z sobą nie przestają. Lekarka zaś zajmuje poważane stanowisko matki i gospodyni chaty, odziewa się porządnie, na ubóstwo nie wyrzeka, żebractwem się nie trudni. W zamian rad swych przyjmuje dobrowolne dary, ale ich nie wymaga i często oddaje bezpłatne usługi. Bez względu na naturę posiadanej przez nią wiedzy i możliwą skuteczność rad, których udziela, jest to wśród ludu postać poważna i sympatyczna“. Jak więc z przytoczonej części artykułu widzimy nie zmieniła Orzeszkowa nawet imienia swej wiedźmy Słaboszychy w noweli „Bez duszy“. Po wtóre, Słaboszycha zrobiła coś Karasiowi, że się z żoną wciąż klóci, a w powieści („Dziurdziowie“) Pietrusia coś zrobiła Stefanowi Dziurdzi, że na niedolę swą pokochał ją i zapomnieć nie mógł, a z żoną klócił się i bił.

W tymże samym artykule pisze Orzeszkowa o samej sobie „lekarce“, cieszącej się powszechnym szacunkiem. Otóż ta Lucia z Hledowicz, jest niewątpliwie prototypem Awdoci. Autorka „Chama“ pisząc o Awdoci, Lu-

cię miała przed oczyma. Wystarczy tylko zestawić. Oto co pisze o Luci: „od lat paru imię jej często obijało mi się o uszy. Jeżeli się chcecie czego dowiedzieć, mówiły młode i stare kobiety, zapytajcie się Luci. Ona wiele wie, ale dobre tylko wie. Złego nie wie. Sama nawet za wiedzę uchodząca Słaboszucha, gdy z nią o roślinach rozmawiałam udzieliła mi rady, abym z zapytaniami mymi udała się do Luci. Jest to kobieta 50-letnia, małego wzrostu, chuda, z okrągłą, rumianą mocno już pomarszczoną twarzą, wśród której błyszczy para małych, czarnych, wesołych oczu. Wyraz tej twarzy łagodny, uczciwy i przyjemny. Odzież nosi czystą i dostatnią. Jest gospodynią ludnej chaty, ma męża, syna żonatego, dorosłe córki, parę małych wnuków i o tej rodzinie rozpowiada wesoło i chętnie. Gdy z pękiem roślin związanych w pasiastym fartuchu przybywa i przy stole zasiada, pierwszą rzeczą, którą oświadcza jest, że się zmęczyła i że jej w oczach ciemno. Ma to znaczyć, że potrzebuje napić się wódki. Ten kieliszek wódki, który powoli i ze wstydliwym wahaniem się wypija, jest jedyną rzeczą, do której się w powyższy sposób domawia. Ta Lucia więc, a podobną jej lekarke każda okolica posiadać musi, przedstawia wyborne źródło, z którego wiadomości o wierze i wiedzy ludowej czerpać można“. A teraz posłuchajmy jak autorka pisze o Luci-Adwoci w „Chamie“: „Przed głębokim, pustym wystygłym otworem pieca w świetle płonącej na kształt pochodni drzazgi, ukazała się i uwypukliła głowa jej czerwoną chustką owinięta i twarz w ramach czerwonej chustki na czole, policzkach, dokoła ust i oczu w mnóstwo drobnych zmarszczek pomarszczona, ale okrągła, pełna, rumiana jak zdrowe i tylko nieco przymarzłe jabłko jesienne. W czarnych bystrych oczach, oprawą mnóstwa zmarszczek otoczonych blask ognia zapalał złote świece“¹⁾.

¹⁾ „Cham, str. 233.

Awdocia podobnie jak jej prototyp ma również dorosłych trzech synów, córki i wnuka; dba o nich wszystkich i gdy chorują poi ich gorzkim stanounikiem czy paraszenikiem.

A i Pietrusia z „Dziurdziów“ ma swój prototyp, jest nią Hanulka Wysocka ze wsi nadniemeńskiej Ponizan „młoda, dobra, miła i dziwnie poetyczna dziewczyna, dla której żaden kwiat obojętnym i żadna zdaje się trawka bezimienną nie jest“, jak pisze o niej autorka w liście do „Wisły“.

W Ponizanach również rozegrała się tragedia bohaterów „Chama“, która według określenia samej autorki jest „najprawdziwszą prawdą“. Była więc Franka, był Paweł tak jak w powieści rybak na Niemnie. Oto, co na zapytanie Konopnickiej, czy historia ta jest prawdziwa, odpowiedziała Orzeszkowa: „Aż do szczegółów. Zdarzyła się niemal że przed oczyma mymi, na główne jej momenty patrzyłam, znam ludzi. Jest to studium prawie“¹⁾.

Wnet po ukazaniu się „Chama“ wybrał się do Ponizan Józef Kotarbiński, by porównać model z artystyczną przeróbką. Franka tak jak ją opisuje Kotarbiński była to kobieta trzydziestokilkuletnia, ze śladami niepospolitej urody, nerwowa, niespokojna, śpiewnym głosem skarżyła się na los. Zapytana przez Kotarbińskiego, jak jej się powodzi, odpowiedziała: „Źle, panie, zwyczajnie kiedy się szlachetna krew między kaimską dostanie“. Kiedy Kotarbiński powtórzył słowa Franki Elizie Orzeszkowej usłyszał odpowiedź: „Czemu mi ona tego wcześniej nie powiedziała“²⁾.

Nie chciała autorka nic prawie zmienić w tej powieści, którą samo życie napisało; zachowała więc autentyczne tło: najwierniej i najdokładniej oddała poło-

¹⁾ „Gazeta Polska“, r. 1889 nr 259.

²⁾ „Kraj“ petersburski r. 1891 nr 80 „U Orzeszkowej“.

zenie Ponizan. Jak wiemy z relacji Kotarbińskiego, w rzeczywistości tak jak w powieści Ponizany leżały nad brzegiem Niemna — pod lasem była mała cerkiew, a obok niej wśród sosen sterczały drewniane krzyże dawnego cmentarza. Cmentarz leżał na szczycie spadzistości, która dochodziła do rzeki, a na dole widać było parę chat oderwanych od wioski.

I tylko w jednym odstępowała Orzeszkowa od rzeczywistości: Franka w powieści wieszana jest na jednej z tych sosen, wśród których sterczą szerniałe ramiona krzyżów, Franka zaś w rzeczywistości nie powiesiła się, ale zwariowała, co na jedno wychodzi, jak pisze Orzeszkowa w liście do Meyeta.

Oto odnośny urywek z listu: „Z „Chama“ jestem dość zadowolona, opracowałam go bardzo starannie, a ponieważ opisywałam wypadki zupełnie prawdziwe zdarzone z chłopami ze wsi sąsiedniej Mimowiczom, których dobrze znam, więc może ta psychologia chłopska jest przedstawiona wiernie. Jeżeli kiedyś będziesz w Miniewiczach, drogi przyjacielu, pokażę ci bohatera tej powieści, rybaka. Bohaterka znajduje się teraz naprawdę w domu obłąkanych w Grodnie; w powieści dla zaokrąglenia historii wieszana jest, ale to na jedno wychodzi¹⁾).

Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że znamy dokładnie motywy, które sprawiły, że Franka w powieści powiesiła się. Na zapytanie Konopnickiej w tej materii wyjaśniła sama Orzeszkowa: „Widzisz, powieść ma swoje wymagania, a raczej ma je czytelnik powieści. On chce być raz na zawsze zaspokojony, co do losów bohaterów, i chce pewności, że już skończył z nimi swoje rachunki. Brak takiej pewności niepokoi go i rozdrażnia. Rodzą się w nim obawy, przypuszczenia, podejrzenia nawet. Są to objawy całkiem naturalne; składa się na nie zarówno altruizm jak i egoizm ludzki. Czytelnik chce

¹⁾ Listy, t. II, str. 302.

przestać cierpieć w bohaterze swoim. Cieszy się, gdy bohater nabiera statku, żeni się według serca, lub w inny sposób dobro swoje osiąga; wzdycha, ale także czuje pewną ulgę, gdy postać powieściowa, która budziła jego zajęcie, wymazana zostaje z liczby żyjących. Rozcięte pasmo zawikłań, pozwala mu odetchnąć spokojnie; czytelnik który pochowa nieszczęsnego bohatera swej powieści odzyskuje dobry humor, apetyt i równowagę wewnętrzną, jest wdzięczny autorowi, że mu pozwala nie myśleć już o tym, co myśl tę pobudziło w kierunku przykrym dla niej. Jest to zresztą jedyny szczegół który w „Chamie“ odstępował od rzeczywistości. Poza nim cała osnowa powieści jest najprawdziwiej prawdziwą¹⁾). Z tych powodów Franka w powieści musiała umrzeć. Tymczasem życie nie krępowało się żadnymi względami i okazało się dla niej znacznie mniej litościwe niż Orzeszkowa; bo bodaj czy nie bardziej tragiczna jest ta Franka rzeczywista, ostrym, a zarazem matowym głosem zawożdżająca w letni ciepły wieczór w izbie zakładu dla obłąkanych: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Ten obłąkańczy, codzienny, modlitewny śpiew to jedyny, zdaje się, efekt, jaki osiągnął Paweł ratujący duszę Franki.

Oto, jak opisuje Konopnicka Frankę, którą zobaczyła w zakładzie dla obłąkanych w Grodnie: „Tuż za oknem, oparta czołem o ścianę, klęczała na ławie, szczipła, wpół z chłopska, wpół z miejska odziana kobieta śpiewając pieśń ową z rękami głęboko zasuniętymi w rękawy samodziałowej świtki, spod której widać było modrą, perkalową spódnicę i nieduże stopy obute w cienkie trzewiki; twarz jej profilem do okna zwrócona wynędzniała była i śniada, oczy głęboko spuszczone, przymknięte prawie, włosy ciemne, opadające na chude policzki spod związanej na głowie chustki. Ani jeden muskuł nie drgnął w tej twarzy nieruchomej, zmartwiałej.

¹⁾ „Gazeta Polska“, r. 1889 nr 259.

tylko w miarę jak śpiewała, śniade czoło zdawało się coraz silniej do muru przypierać, a ręce coraz głębiej zasuwały się w rękawy, jakby szukając ochrony od chłodu, który dreszczem wewnętrznym wstrząsał jej wąskie ramiona¹⁾.

Zresztą w zakładzie dla obłąkanych przebywała Franka niedługo, bowiem przed upływem roku zabrał ją mąż do chaty.

„Świat“ z roku 1891 zamieścił nawet fotografię rodziny Kozłowskiego (w powieści zwanego Koźlukiem), na której znajduje się między innymi Ułana, siostra Kobycy, Chtawian przygarnięty przez Pawła syn Franki z książką w ręku, wreszcie główny bohater — stary rybak z siecią — Paweł Kobycy.

Wreszcie wszystkie rośliny, których używa Pietrusia, czy Awdocia nie są na chybił trafił podane, ale na istotnych studiach oparte, z życia chłopów wzięte. W artykule z roku 1890 do „Wisły“ podaje Orzeszkowa 35 nowych nazw, przez chłopów nadawanych roślinom, oraz ich leczniczo-ludowe zastosowanie. Między innymi wymienia stanounik, poza tym paraszenik, urażnik, stosowane do celów leczniczych. O znaczeniu czarodziejskim wymienia znane z „Dziurdziów“, „Nad Niemnem“ szczęście i zahartuszkę a w dobieraniu nazw roślin widzi zmysł spostrzegawczy ludu i zdolność tworzenia poetyckich porównań. Nie tylko rośliny o specjalnym u ludu znaczeniu interesowały Orzeszkową, zajmowała się również przysłowiami tak ludu jak i szlachty zaściankowej. W wyżej wymienionym artykule wymienia ich 44 a między innymi wymienia to, którym rodzina w „Bene nati“ dokuczała Salusi kochającej chłopca: „jaki taki „cialapiej“ zawsze we dwoje to lepiej“. Zbierała również zagadki typowe dla ludu (posyła ich w tym artykule 24), które możemy odnaleźć w noweli „W zimowy wieczór“.

¹⁾ „Gazeta Polska“, r. 1889 nr 259.

W spostrzeżeniach swych o ludzie podkreślała przede wszystkim miłość rodzicielską u obserwowanych przez nią białoruskich chłopów. Pisała o pewnej starej kobiecie z Miniewicz, która przyszła prosić o ułatwienie jej wyjazdu do Grodna, celem zobaczenia syna Jaśka, będącego w wojsku: „niech ja jego choć raz jeszcze zobaczę, niech moje oczy zobaczą, że zdrowienki on i żyje, niech ja jego ostatni raz matczyną ręką pożegnam¹⁾“. Przy czytaniu tych słów staje nam oczywiście przed oczyma czarnooka Krystyna z węzełkiem suchego chleba spiesząca do Ongrodu, by ratować swego bladzińskiego Filipka, a choćby tylko zobaczyć („Niziny“). O tej miłości rodzicielskiej, którą podkreślała i w „Nizinach“ i w „Tadeuszu“ i w „Hekubie“ pisała w artykule: „Jest ona u tutejszych chłopów najwybitniejszym spomiędzy wszystkich, silnie rozwiniętym, stopnia namiętności sięgającym uczuciem..., każdy lepszy kęs jedzenia, każda kropla mleka znajdująca się w chacie do nich należy²⁾“. Toteż gdy K. Matyas w artykule pt.: „Chłopskie serce³⁾“ na podstawie obserwacji we wsi Sosnowice ad Kalwaria Zebrzydowska wnioskuje, że chłop nie ma serca, nie zna miłości rodzicielskiej, ani małżeńskiej i na dowód przytacza fakt, że jakiś chłop nie chciał w ostatniej chwili pójść do ślubu aż mu 200 stówek nie dadzą, Orzeszkowa przeczy jego wywodom i stwierdza, że dwa identyczne wypadki zna w sferach najwyższych, różniące się jedynie formą.

Studiowała również pilnie Orzeszkowa życie zaścianka przede wszystkim w Miniewiczach, jak już wspomniałam wyżej, gdzie powstało „Nad Niemnem“, a choć na ogół obraz zaścianka jest raczej radosny, przepojony zapachem miodu i kwitnących sadów, to

¹⁾ „Wisła“ t. IV, r. 1890.

²⁾ Tamże.

³⁾ „Wisła“ t. III.

jednak nie brak w nim miejsc cieniem osnutych. Cień na jasne tło rzuca obawa przed przyszłością, przed nędzą, gdyż zaścianek jest przeludniony, a ziemi, choćby ktoś nawet mógł sobie pozwolić, kupić nie można. I nie tylko w „Nad Niemnem” poruszała Orzeszkowa sprawę groźnego położenia zaścianka, ale i w jednym z artykułów „Niwy” pisze co następuje: „Zaścianek przeludniony jest najciekawszym może, a zarazem najsmutniejszym zjawiskiem w teraźniejszym życiu społeczności naszej, bogaty to materiał do spostrzeżeń dla moralistów i ekonomistów. To co jednemu człowiekowi byłoby pod dostatkiem, 10 przynosi ubóstwo; w ślad za ubóstwem idzie ciemnota, obskurantyzm, nierozwinięty by najslabszymi promieniami umysłowego lub artystycznego życia”.¹⁾

Małomiasteczkowe życie obserwowała w Grodnie, gdzie przebywała od roku 1869, wglądając w potrzeby biednych, wysłuchując ich zwierzeń. Romanowa bohaterka noweli o tymże tytule, to była żebraczka osobiście jej znana, wdowa po Romanie, furmanie z pocztowej stacji w Miłkowszczyźnie. Dom Orzeszkowej otwarty był dla wszystkich tak, że, jak wspomina Godlewski, żydzi nazywali go domem Abrahama; a ona sama nie zaniedbywała żadnej okazji, która dałaby jej sposobność wglądać w dzieje ludzkich serc i myśli. Dowodzi tego choćby notatka z „Kraju”²⁾, że w czasie rozprawy bandy włościan z sokolskiego powiatu, trudniącej się w okolicy całej kradzieżą koni, „obecnymi były dla literackich spostrzeżeń nad klasą włościańską dwie znakomite autorki Eliza Orzeszkowa i Maria Konopnicka”. Że nie omijała żadnej sposobności, by się do ludzi, zwłaszcza biednych, zbliżyć i nieść im pomoc, świadczy jej żywy udział w komitetach dla pogorzalców po pożarze Grod-

¹⁾ „Niwa” r. 1874 nr 25, „O jednej z najpilniejszych potrzeb społeczeństwa naszego”.

²⁾ Nr 41 rok 1888.

na w roku 1885 (zebrała wtedy na ten cel 20.000 rs.). Upalne lato 1885 roku mimo złego stanu zdrowia spędziła w Grodnie, bo obecność jej właśnie dlatego, że najlepiej знаła stosunki miejscowe była w komitecie niezbędną. Ze smutkiem donosiła redakcji „Kraju” o licznych wypadkach śmierci wśród pogorzalców. „To mieszczaństwo tutejsze, które ja tak z bliska i wybornie znałam i w którym słusznie jak miemam widziałam ważną i sympatycznych cech pełną grupę społeczną, taje jak śnieg na słońcu” pisała w tymże liście. Znała więc jak sama wyznaje doskonale tych ludzi, a że oprócz tego miała duży dar obserwacji, kreśliła w swych powieściach postaci żywe i pełne prawdy. Stwierdzali to niejednokrotnie współcześnie i tak Wiktor Gomulicki, który zwiedził baraki dla pogorzalców grodzieńskich pisał o tym w recenzji: „Gdym rozglądał się po tych postaciach silnie charakterystycznych, którym cierpienia, bezsenność i troska o jutro pogłębiły oczy, wydłużyły twarze i zaostrzyły profile zdawało mi się że przeciąga przede mną procesja figur z małomieszczańskich powieści Orzeszkowej. I raz jeszcze znalazłem potwierdzenie faktu, jak znakomitą obserwatką i wyborną portrecistką jest autorka Meira Ezofowicza”¹⁾. Podobnie autor artykułu o czynszownikach pisze: „Nasza utalentowana powieściopisarka Eliza Orzeszkowa w swoim obrazku „Zygmunt Ławicz i jego koledzy” dała nam wyborny typ mieszczanina „zachodniego kraju”, „katolika” w osobie stróża Pawła Rębki. Taki katolik w naszym kraju jest to człowiek niedojrzały pod względem zrozumienia zasady narodowości, lecz uczuciem ją odczuwa tylko”²⁾. Nie tylko Rębko jest w „Zygmuncie Ławiczu” postacią typową, ale jak stwierdziła sama Orzeszkowa — Ławicz. Jesteśmy nawet w tym szczęśliwym położeniu, że znamy jego pierwowzór. Był nim Maksymilian Obręb-

¹⁾ „Kraj”, nr 24, r. 1885.

²⁾ „Kraj”, r. 1882, nr 16.

ski, syn wygnańca z 63 roku — Ludomira, — dość wysokiego urzędnika — (a więc tak jak Ławicz). Matka i dwoje rodzeństwa młodszego pozostało bez środków do życia. Będąc osobą widocznie niezaradną odebrała go z 2-giej gimnazjalnej i oddała do biura (Izba Obrachunkowa w Grodnie). Jako chłopak 13-letni pisał Obrębski w biurze od 8-10 godzin otrzymując za to, 2, potem 3, 4, 5 rs. miesięcznie, utrzymując w ten sposób rodzinę — w chwilach wolnych od pracy biurowej nosząc wodę, drzewo itp. „Prócz tego przyplątała się do dziecinnej głowy niezmierna żądza wiedzy. Nie dosypiał, czytywał“. Oto jak wyglądał w rzeczywistości Zygmunt Ławicz na podstawie relacji samej Orzeszkowej¹⁾. W powieści więc zmieniła tyle tylko, że z gimnazjum został wyrzucony — a szczegóły dotyczące „metod“ nauczania języków klasycznych zaczerpnęła nie z jego przeżyć, ale Antoniego Chomętowskiego krewnego i wychowanka Nahorskiego. Jeśli chodzi o powieści z życia ludzi jej sfery, to i te oparte były na pilnej obserwacji. Tu jednak trudniej wskazać prototypy. Przypuszczać możemy, tak już przypuszczano zresztą w czasach Orzeszkowej i stąd niechęć Zaleskiej, że „Dobra pani“, to Michalina z Dziekońskich Zaleska, zwana popularnie w Grodnie „hrabiną“. Bo pani Ewelina Krzycka („Dobra pani“) jedzie w świat za lutnistą Wlochem, a w domu Zaleskiej stale przebywał pan Vial, Francuz, o którym jak pisze Godlewski znający te stosunki, złe języki mówiły, że był kiedyś młody; i jeszcze jedna analogia: znudzona pani Ewelina wychowuje małą sierotkę, pani Zaleska miała również wychowankę, która zresztą w długi czas po ogłoszeniu noweli Orzeszkowej „ulotniła“ się ze złotej klatki²⁾. Sama Orzeszkowa donosząc Jezowi o ukończeniu nowelki pt. „Dobra pani“ (drukowana była w książce zbiorowej dla uczczenia 25-letniej pracy T. T. Jeża)

¹⁾ „Listy“, t. I, str. 60.

²⁾ Por. Godlewski, „Pani Orzeszkowa“.

piśla, że „całą zaletą tego obrazka jest to, że wzięty żywcem prawie z natury“¹⁾. Podobnie z „natury“ wzięta jest pani Luiza („Pani Luiza“). Oto co na zapytanie Jeża w tej materii odpowiedziała Orzeszkowa: „Panią Luizę, o której pochodzenie zapytuje mnie pan nie tylko znałam, ale znam jeszcze dotąd. Nabawia ona wiecznie prawnych pełnomocników swych srogimi kłopotami; mając 15.000 rs. dochodu umiera z trwogi, aby z głodu nie umrzeć, wzbogaca armię tercjarów, a do torby żebraczej przywodzi swoich dzierżawców i wielkopaństwem jej złudzonych kredytorów. Przy tym płacze często i kocha się wiekuiście to w tym, to w owym — zawsze jednak jest to miłość platoniczna i beznadziejna. Czytuje z największym upodobaniem powieści pani Craven i 20 razy na rok chodzi do spowiedzi. Nieocenionej postaci tej będącej typem skończonym pewnego gatunku zбочenia umysłowego nie zdołałam jak należy odtworzyć piórem. Jest ona wyborniejszą, nad wszystko cokolwiek o niej powiedzieć lub napisać można“²⁾.

Pani Izabella z Jagdyszów Odropska „wyłynęła“ z obserwacji poczynionych w Świsłoczy w czasie wakacyj w 1879 roku, spędzonych u Moniki Kopczewskiej. Tam zrodził się pomysł powieści (późniejszych „Pierwotnych“), której na razie miała zamiar dać tytuł „Ani tu, ani tam“ lub „Dzieci świata“, „gdyż głównymi bohaterami jej będą kosmopolici wszech rodzajów“. Oto co o swych obserwacjach pisze do Jeża: „Z zakąta, który świeżo opuściłam, wyniosłam w pamięci i myśli cały szereg nieoszacowanych typów przydatnych do tej właśnie powieści, którą pisać teraz zamierzam...“. „W parafii świsłockiej obfitują egzemplarze kosmopolitów rzymsko-katolickich, spomiędzy których jedna wyznała mi, że pomiędzy wielu innymi modlitwami odmawia codziennie 7 pacierzy do ojca świętego i 7 pacierzy do Rzy-

¹⁾ „Listy“, t. I, str. 211.

²⁾ Tamże, t. I, str. 107.

mu, dosłownie do miasta Rzymu. Inna mieszkanka tejże okolicy pisała w tych dniach do swej przyjaciółki „C'est seulement en arrivant à Rome, que j'ai commencé à comprendre le sens du mot tant de fois entendu et jamais compris: la patrie. Oui moi aussi j'ai trouvé ma patrie“.¹⁾ W ciągu roku 1879-80 powieść skryształizowała się, dojrzała. Tytuł, wbrew projektom, „Pierwotni“ wyjaśnia Orzeszkowa w liście do Jeża z roku 1880: „ponieważ są to wszyscy ludzie, którzy jak pierwotne plemiona na najniższym szczeblu stojące wrażliwi są, a raczej podlegli wrażeniom, niestali, nieopatrzeni, nie godzący słów swych z czynami i nie posiadający ani wiedzy, ani pojęć wysokich i szerokich, które są istotnym znamięm ucylizowanych“. Uważa powieść tę za najostrzejszą spośród wszystkich dotychczasowych — zdaje sobie sprawę, że „całość będzie wyglądać dość ciemno, ale cóż robić? Prawda, realność nie zawsze jasne mają oblicza“²⁾.

Doskonałym malarzem życia była Orzeszkowa tak, że czytając czasopisma z tego czasu i kronikę wypadków codziennych w nich zawartą, czasem wprost tracimy orientację, czy autorka szła za życiem, czy życie czasem naśladowało jej powieści. Oto np. w noweli „Stracony“ młody syn szlacheckiej rodziny, niedouczek, jakich wielu, zabija w sporze laską karcianego szulera, a w „Kraju“ w nr 7 rok 1883 czytamy: „Widzimy syna, zacnej i pocziwej rodziny, która powszechnym cieszyła się poszanowaniem, a dziś palić musi w sobie uczucie boleści i wstydu. Nieszczęśliwy, nie skończywszy szkoły wpada w towarzystwo szulerów i szachrajów i przez jednego z nich doprowadzony do nędzy dla wydobycia od niego przenoszących wartość funduszu weksli przygrze zabija go lichtarzem“. Albo i sprawa słynnego na-

¹⁾ „Listy“, t. I, str. 81.

²⁾ Tamże, t. I, str. 147.

onczas na Litwie Michała Brzozowskiego¹⁾; być może zresztą, że rozpoczął on już swą „działalność“ przed wyjściem „Na dnie sumienia“ i że Orzeszkowa o nim słyszała, bo jedno z jego oszustw (zaciągnął pożyczkę w banku, na cudze dobra, które ocenił przez niego upity urzędnik) przypomina oszustwo dokonane przez Anatola Dembielińskiego w „Na dnie sumienia“. Podobieństwo to życia i powieści Orzeszkowej wypływa stąd, że jak określił Wiktor Gomulicki „żadna z jej powieści nie jest improwizacją, wszystkie wspierają się na mozolnych przedwstępnych studjach, jak na granitowym krzepkim fundamencie“²⁾. Potwierdza to i Chmielowski, kiedy mówi: „autorka (mowy zaścianka) nie urabiała fantazyjnie, lecz na podstawie długiego wsłuchiwania się w żywe słowa“³⁾. Podobnie i Mazanowski Antoni⁴⁾ pisze: „Orzeszkowa bada starannie talmud, prawo i nauki społeczne na których osnuwa swe dzieła powieściowe.“ A Józef Kotarbiński wyraża się o powieści „Pompalińscy“, że „załudniona jest całym szeregiem postaci typowych, pełnych prawdy, odmalowanych z dużym nakładem oryginalnej i trafnej obserwacji“, i o „Pierwotnych“, „mamy tu całą grupę, wybornie skreślonych figur niewieścich, tzw. wyższej sfery, przesiąkniętych klerykalizmem, uwielbiających wszystko, co zagraniczne, przebywających tylko w kraju jak na popasie“⁵⁾. W ogóle uważa Kotarbiński, że powieści Orzeszkowej są „ciekawymi dokumentami obecnej doby rozwoju społeczeństwa naszego i chociaż często półgłosem, mówią głęboko a prze-

¹⁾ Michał Brzozowski, dziedzic rozległych dóbr w mińskiej i wileńskiej gubernii, przehulał wszystko, fałszował weksle. Powstała nawet broszura pt. „Po co nam sumienie?“, której jest bohaterem.

²⁾ Kurier Lwowski r. 1891.

³⁾ Powieści społeczne E. Orzeszkowej „Świat“ r. 1882.

⁴⁾ Kilka myśli o powieści współczesnej „Kraj“ r. 1886, nr 18.

⁵⁾ „Kraj“ r. 1886, nr 44.

konywajaco o wielkiej głębokiej klęsce zbiorowej, skarżą się na zbrodnię gaszenia ducha, na tłumienie sił płodnych i żywotnych, które dla cywilizacji ogólnie ludzkiej mogą doniosłe wydać owoce. Może kiedyś zajmą one ważne miejsce w szeregu dokumentów do wielkiego procesu, który toczyć się będzie przed sądem potomności¹⁾.

Słusznie zaznaczył Kotarbiński, że powieści Orzeszkowej półgłosem skarżą się na gnębicieli ducha polskiego; jasne jest, że obraz społeczeństwa, jaki roztoczyła przed naszymi oczyma byłby pełniejszy i jeszcze doskonalszy gdyby mogła mówić całkiem głośno, gdyby nie musiała uciekać się do obsłonek i niedomówień, pisać zabór pruski, myśleć rosyjski, aby uśpić czujność cenzury. Tym bardziej, że czuwano nad jej osobą gorliwie, zwłaszcza od czasu nabycia i prowadzenia przez nią do spółki z Chełmińskim i Makowskim, księgarni wydawniczej w Wilnie tzn. od 1879 roku. Marzyło się wtedy Orzeszkowej, by założyć własną drukarnię w Wilnie, filie księgarskie w Kownie i Grodnie, jednym słowem „opieść prowincję siecią dróg, po których by płynęły piśmiennictwo i mowa nasza, za pomocą właśnie zakładania w miastach różnych filii księgarskich²⁾).

Tymczasem prowadzenie księgarni wzmogło czujność władz, co bynajmniej nie wytwarzało atmosfery sprzyjającej pracy artystycznej. Listy do Orzeszkowej zwłaszcza od 1881 roku (zamach na cara Aleksandra II) były otwierane, listy przez nią pisane ginęły często w ogóle.

Oto co pisze o tej stronie swego życia z Wiednia (więc bez obawy, że list przepadnie) do Jeża: „w Grodnie pod oknami mieszkania mego, a raczej przed zamkniętymi okiennicami w wieczory przechadzają się i stoją figury różne, pierzchające przy zjawieniu się kogoś na

¹⁾ „Kraj“ r. 1886, nr. 44.

²⁾ „Listy“, t. I, str. 123.

dziecińcu, a wnet potem wracające i nadstawiające ucha¹⁾).

Żeby nie drażnić władz i przez to nie zaszkodzić księgarni zrezygnowała z odwiedzenia Jeża w Genewie bo jak tłumaczyła się, „jest to teraz miejsce szczególnie przez rząd rosyjski podejrzywane, a ja znowu podejrzewaną szczególnie i pilnowaną jestem²⁾).

Wreszcie w kwietniu 1882 roku „ukazem najjaśniejszego pana“ księgarnia została zamknięta. Orzeszkową oddano pod nadzór policji z nakazem opuszczenia Wilna i udania się do Grodna w ciągu 5 dni.

Z Grodna nie mogła wyjechać bez pozwolenia gubernatora, z gubernii grodzieńskiej bez pozwolenia ministra spraw wewnętrznych. Raz na tydzień nakazano jej zgłaszać się na policji, co władze miejscowe złagodziły o tyle, że policjant przychodził do niej, a na letniskach straż wiejska, żądając pisemnego stwierdzenia pobytu.

Po dokładnej rewizji w księgarni „zabronionego nie znaleziono ani pyłku“, a Spasowicz i Nahorski po długich staraniach dowiedzieli się o przyczynach tyle, że „dążenia były antyrządowe i wiele było donosów“.

Nie trzeba dodawać, że nagle zamknięcie spowodowało duże materialne straty, jak i, że choć krótka, bo trzechletnia działalność księgarni była bardzo owocną.

Niemniej wyżej wymieniony zakaz opuszczania Grodna utrzymany został w mocy przez pięć lat. Potem władze co prawda zniosły nadzór, zachowały jednak nadal troskliwą a dyskretną opiekę tak, że każdy krok Orzeszkowej był im dobrze znany. Łatwo się domyślić, że tym bardziej musiała mieć duże trudności z cenzurą. W Wilnie nad wydawnictwami jej księgarni czuwał cenzor Nibolin, cenzura warszawska zaś dawała się jej

¹⁾ Listy, t. I, str. 169.

²⁾ Tamże, t. I, str. 169.

również we znaki, bądź zniekształcając treść, bądź wręcz nie pozwalając drukować. Kiedyś z polskich bohaterek wyliczonych przez Orzeszkową w pracy o kobiecie polskiej skreśliła cenzura Platerównę i Pustowójtównę, łaskawszą się okazała tylko dla Wandy i Królowej Jadwigi. Wreszcie nie pozwolono jej wydać powieści „Dzika“, która później pod zmienionym tytułem „Dwa bieguny“ została wydana w Petersburgu, dzięki staraniom Piltza i Spasowicza. Podobna była historia z nowelami „Siteczko“ (pierwotny tytuł „Co się jej stało“) i „Kariery“. Obie wydrukował w odcinku „Kraj“ w roku 1891. Wreszcie nie pozwoliła cenzura na czwarte wydanie „Nad Niemnem“, co Orzeszkowa uważała za swój triumf, całkiem zresztą słusznie, bo rzeczywiście „Nad Niemnem“ miało powodzenie jak rzadko. Oto co pisze Popławski: „Wśród tej publiczności, która żadnej styczności ze sferami literackimi nie posiada, w dworach szlacheckich, w małomiejских salonikach czytano powieść z natężeniem umysłu, z głębokim wzruszeniem, toczono rozprawy z jej powodu, zachwycano się jednymi ustępami, oburzano się niekiedy z powodu innych. Znam szlachciców, którzy oprócz kalendarza „Wieku“ żadnego innego druku nie biorą do ręki, a którzy jednak „Nad Niemnem“ przeczytali“¹⁾. To ostatnie zdanie chyba najbardziej stwierdza, że miała Orzeszkowa słuszny powód do triumfu. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że cenzura nie pozwoliła Orzeszkowej mówić wszystkiego, co miała do powiedzenia.

Czasem wydawać by się mogło, że Orzeszkowa była pesymistką, że zbyt dużo plam widziała w ówczesnym życiu. A jednak wpatrzywszy się dokładnie w ten obraz jaki przez 44 lat swego pracowitego żywota malowała, zbierając na różnych drożynach barwy do niego i cienie, stwierdzić musimy, że nie była pesymistką. Tylko

¹⁾ „Dwa światy“, „Głos“, r. 1888.

plamy ciemne mają tę właściwość, że bardziej rzucają się w oczy. Dlatego też raczej pamiętamy szulera Grabę, hulakę Brochwicza, Różyca, czy innych, a zapominamy o hrabi Sewerynie („Na dnie sumienia“); raczej pamiętamy Izabellę z Jagdyszów Odropolską, czy rozrzną Ręczycową, niż dzielną Szyllównę-Orchowską, żonę Mieczysława. Raczej przed oczyma staje nam Emilia Korczyńska niż pracowita Kirlowa. Zresztą ludzi zacnych i uczciwych jest w życiu zawsze mało. I ci o swej wielkości istotnej nie umieją i nie chcą krzyczeć. Mniej więc rzucają się w oczy. Zupełnie jak w powieściach Orzeszkowej. W każdym razie choć sama bez obsłonek mówiła w swych powieściach o licznych wadach społeczeństwa polskiego zwłaszcza szlacheckiego, to jednak daleką była od krótkowzroczności, która by nie pozwoliła jej dojrzeć jego zalet.

Stąd też wypłynęła owa pretensja do Jeża (której wyraz dała w prywatnym liście do niego z listopada 1876)¹⁾, że niesprawiedliwy jest dla szlachty polskiej, bo zawsze i niezmiennie maluje ją czarnymi barwami. A przecież nie podobna „aby zbiór samych tylko niedołęgów, głupców i rabusiów mógł utworzyć historię narodu długą, niepoślednią wcale, owszem pełną kart poważnych i bohaterskich“. Owszem jeśli chodzi o przeszłość, to zdaniem Orzeszkowej szlachta polska, o „cale niebo“ przewyższała sfery panujące innych ludów a jej upadek moralny zaczął się „od Zygmunta III., czyli od stanowczego triumfu nad umysłami szlachty Kościoła świętego“. W każdym razie stanowczo występuje Orzeszkowa przeciwko mniemaniu jakoby zepsucie czy zgłupienie wśród szlachty polskiej były ogólne. „Nie, poważam się twierdzić stanowczo, nie było ono ogólne, ani ze względu na liczbę ludzi, ani ze względu na liczbę przymiotów ludzkich. Niektórzy ludzie i niektóre przymioty

¹⁾ Listy, t. I, str. 25.

psuły się, ale pomiędzy ludźmi byli rozumni i czyści, pomiędzy przymiotami niektóre, dość piękne przetrwały aż dotąd" — pisze w tym liście. Za przeciętny typ szlachcica z przed 63 roku uważa Jana Brochwicza ze swej powieści „Rodzina Brochwiczów“ (jak pamiętamy, jest to człowiek, kierujący się zasadą „jakoś to będzie“ — „próbujemy... zobaczymy“ zresztą uczciwy i szlachetny). O nich pisze do Jeża „Biedni, biedni, sto razy biedni. Nie dostawało im wielu dobrych i pięknych rzeczy w umysłach i charakterach, potracili wiele z nich na drodze krzyżowej, którą szli, ale — przez miłosierdzie — malując ich nie czynimy z nich potworów, ani czarnych plam atramentu i chłoszcząc ich przyganą przyznajmy im to co się należy i wskazując plamy ich i blizny moralne wskażmy kto i co rzuciło je na nich. Byli ludźmi musieli więc stać się takimi jakimi się stali“. Dlatego też uważała, za niezgodne z prawdą przedstawienie szlachty polskiej w przeszłości i w teraźniejszości „jako zbiorowiska ludzi zgangrenowanych do szpiku kości i fosforu w mózgach doszczętnie pozbawionych“.

Najsilniejszym dowodem tężyzny i wartości szlachty polskiej dla Orzeszkowej był fakt, że „ludzie ci jednak tak bardzo cierpią, tak długo trwają przy swoim i czynnie albo biernie ustawicznie walczą“.

To też aczkolwiek i ona nie szczędziła chłosty społeczeństwu szlacheckiemu — to jednak nie przemilczała jego zalet. Wśród wielu głupich, rozrzutnych leniuchów byli i mądrzy, pracowici w znacznej mniejszości — co prawda — jak to zresztą w życiu bywa. Wreszcie skoro tylko pozwoliły jej warunki cenzuralne na obraz malowany przez siebie rzuciła przejasną, świetlistą smugę „Gloria Victis“, opowieść o bohaterach — świadcząca, że nie mogła być zgangrenowaną grupa społeczna, co takich ludzi wydała. Tak więc jeśli chodzi o pogląd na ówczesne życie polskie Orzeszkowa była doskonałym obserwatorem, a powieści jej są dokładnym zwiercia-

dłem tego życia. Jeśli chodzi o pogląd jej na naturę ludzką, bo była raczej optymistką, niż pesymistką, bo u niej ludzi złych nie ma. Są tylko słabi, głupi, biedni i nade wszystko nieszczęśliwi. Bo weźmy na przykład takiego powszechnie pogardzanego oszusta Suszyca („Na dnie sumienia“) Orzeszkowa nie zadawała się krótkim stwierdzeniem oszust — człowiek zły, ale szuka źródeł jego upadku moralnego i dochodzi do wniosku, że Suszyca na nieuczciwą drogę wpędziła rodzina, leniwa, wyciągająca nienasycone wciąż ręce do niego po pieniądze. To samo z Dembielińskim. Oszust również, ale z drugiej strony człowiek, którego chorobliwie rozwinięta, a upokorzona ambicja z przydaniem jeszcze innych czynników pchnęła na drogę występku. Dalej Bąk słynny przestępca, ścigany przez policję z noweli „W zimowy wieczór“ budzi w nas tylko litość, bo zmarnował życie i zdaje sobie z tego sprawę. I taką była Orzeszkowa w życiu, jeśli chodzi o pogląd jej na ludzi. Gdy kiedyś Kotarbiński opowiadał jej o jednym z ówczesnych złodziei, publicznych pieniędzy, dla którego opinia publiczna nie miała dość oburzenia, a który ostatnio zdołał umknąć za granicę, zamiast słów oburzenia usłyszał: „o! nieszczęśliwy człowiek“, a nie wpływało to bynajmniej z jakiejś upozowanej pseudokobiecej litości nad zdeptaną trawką, ale było wynikiem jej głęboko przemyślanego poglądu na życie. Może dlatego, że tak pilnie wpatrywała się w życie ludzi latami nie dojadających, znoszących braki na każdym kroku, zobaczyła naturę ludzką taką, jaką jest w istocie. Bo tylko w trudnych warunkach ukazuje się prawdziwy człowiek, a wygody, higieniczne warunki życia i nade wszystko pełny żołądek, ułatwiają ogromnie uczciwość i zacność. I to był właśnie powód, że w każdej zbrodni widziała coś z nieszczęścia. Poza tym jeśli chodzi o pogląd na życie w ogóle, była raczej pesymistką. A może tylko obserwując pilnie widziała rzeczy we właściwym

świecie, kiedy w swych „Zwierzeniach“ pisała, że „regułą powszechną jest, że każdy na świecie człowiek musi mieć mola“. I dlatego nie umiała na ludzi patrzeć inaczej, jak przez pryzmat współczucia i miłości tym bardziej, że i sama miała mola „który gryzł i posiadał nawet organizację dość wykwinłą: żądełko głęboko świ-drujące i skrzydełka, gęsto ostrymi szpilkami natyka-ne“.¹⁾

Takie zaś podejście do ludzi sprawiło, że powieści Orzeszkowej prócz tego, że, jak ktoś się wyraził, są historią kultury, historią „naturalną i społeczną“ Królestwa i Litwy ostatnich 30 lat XIX stulecia, są jeszcze akordem w tej pieśni ciągnącej się przez wieki o człowieku zdolnym do najwyższego bohaterstwa i najniższej podłości — i w tym ich nieprzemijająca wartość.

¹⁾ „Zwierzenia“: „Kraj“ rok 1891, nr. 50.

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium O.S.B.
w Białymstoku

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

1361

BIBLIOGRAFIA

- Askenazy Szymon: Sto lat zarządu w Królestwie Polskim 1800 do 1900, Lwów, 1903.
Berg Mikołaj W.: Zapiski o powstaniu polskim. Kraków, 1898.
Boy (Władysław Żeleński): Przedmowa do „Białej Róży“ Żmichowskiej.
Chmielowski Piotr: Powieści społeczne E. Orzeszkowej, „Świat“ r. 1892.
Drogoszewski Aureli: Eliza Orzeszkowa, Warszawa, 1912.
Dubiecki Marian: Romuald Traugutt, Kijów, 1911.
Giller Agaton: Polska w walce, Tom I. Paryż 1868, T. II. Kraków 1875.
Godlewski Franciszek: Pani Orzeszkowa, Warszawa, 1934.
Grabiec (Dąbrowski Józef): Powstanie styczniowe, Warszawa, 1921.
Grabski Władysław: Historia wsi w Polsce, Warszawa, 1929.
Tenże: Społeczne gospodarstwo agrarne w Polsce, Warszawa, 1923.
Haecker Emil: Historia socjalizmu, Kraków, 1933.
Iwaszkiewicz J.: Wykaz dóbr ziemskich skonfiskowanych przez rządy zaborcze, 1773—1867, Warszawa, 1929.
„Kobieta współczesna“ Warszawa, 1904.
„Kraj“ (petersburski) od roku 1882—1907.
Król Kazimierz: Z dziejów ofiarności na cele naukowe na obszarze Królestwa Kongresowego, 1800 do dni naszych, Nauka Polska, Tom VI. 1927.
Kucharzewski Jan: Od caratu białego do czerwonego. Warszawa, 1931.
Tenże: Epoka paskiewiczowska, Warszawa, 1914.
Kurier Warszawski, r. 1910.
Kutrzeba Stanisław: Historia ustroju Polski, Tom I, III, IV, Lwów, 1920, Tom II, Warszawa, 1921.
Tenże: Sprawa Polska w Królestwie Polskim, Lwów, 1916.
Limanowski Bolesław: Historia demokracji polskiej, Zurych, 1901.

Listy Elizy Orzeszkowej, Warszawa—Grodno, 1937.

Listy do Antoniego Wodzińskiego, Biblioteka Warszawska, 1910
Mazanowski Antoni: Kilka myśli o powieści współczesnej „Kraj“, 1886.

Nowa Reforma, r. 1891, 1892, 1893.

Orzeszkowa Eliza: „ABC“, Warszawa, 1888, — „Ad astra“, Warszawa, 1904. — „Anastazja“, wydanie zbior. Gebethnera. — „Argonauci“, Warszawa, 1900. — „Australczyk“, Warszawa, 1899. — „Ascetka“, Warszawa, 1910. — „Bańka mydlana“, Warszawa, 1886. — „Bene nati“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Bracia“, Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej), nr 117. — „Cień“, wydanie zbior. Gebethnera. — „Cham“, wydanie zbior. Gebethnera. — „Chwile“, (Dymy, Porcelanka, Zagadka, Co mówił stary klon, Wesele Wiesiolka, Kiedy u nas o zmroku, Moment, Z różnych dróg), Warszawa, 1901. — „Cnotliwi“, Warszawa, 1871. — „Czternasta część“, Warszawa 1886. — „Dobra Pani“, Warszawa 1888. — „Dwa bieguny“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Dziurdziowie“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Dziwak“, Warszawa, 1886. — „Echo“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Eli Makower“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Gloria Victis“, wyd. zbior. Gebethnera. — „I pieśń niech zapłacze“, Warszawa, 1912. — „Iskry“, (Kariery, Czy pamiętasz, Siteczko, Ani kawałeczka, Śmierć domu, Babunia, Panna Róża, Krzak bzu), Warszawa, 1898. — „Jędrza“, Warszawa, 1899. — „Julianka“, Warszawa, 1886. — „Kilka słów o kobietach“, Warszawa, 1893. — „Liść uschły“, Warszawa, 1912. „Ludzie i kwiaty nad Niemnem“, Wisła, tom IV, rok 1890, Wisła, tom II, rok 1888. — „Maria“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Martia“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Melancholicy“, Warszawa, 1896. — „Na dnie sumienia“, Warszawa, 1873. — „Nad Niemnem“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Na prowincji“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Nieróżowa sielanka“, Warszawa, 1873. — „Niziny“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Nowele i szkice“ (Trzy uderzenia dzwonu, Urywek rozmowy, Było ich trzy, Śpiewna, Pytania, Trzy chwile, Słowo, Mowa, Małe stworzenie, Z rąk do rąk), wyd. Gebethnera. — „Obrazek z dni głodowych“, wyd. zbior. Gebethnera. — „O jednej z najpilniejszych potrzeb społeczeństwa naszego“, Niwa, rok 1873. — „O kobiecie“, Warszawa, 1891. — „Ostatnia miłość“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Pajęczyna“, wyd. zbior. Gebethnera. — Pamiętnik ogłoszony przez Meyęta, Kurier Warszawski, 1911. — „Pamiętnik Wacławy“, wyd.

zbior. Gebethnera. — „Pan Graba“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Panna Antonina“, Warszawa, 1888. — „Początek powieści“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Pompalińscy“, Warszawa, 1886. — „Pani Luiza“, Warszawa, 1886. — „Patriotyzm i kosmopolityzm“, Wilno, 1880. — „Pierwotni“, Warszawa, 1884. — „Pieśń przerwana“, Warszawa, 1896. — „Przędze“, (Sam na sam, Chochlik psotnik, Dwie, Tytan, Faun i Nimfa, Po co? Rocznica, Czego po świecie szukał smutek, Pytania), Warszawa, 1890. — „Przy dochodzeniu śledczym“, Warszawa, 1888. — „Rodzina Brochwiczów“, Warszawa, 1886. — „Romanowa“, Warszawa, 1888. — „Rozstajne drogi“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Stracony“, Warszawa, 1886. — „Sylwek cmentarnik“, Warszawa, 1886. — „Syn stolarza“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Tadeusz“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Wesoła teoria i smutna praktyka“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Widma“, Warszawa, 1886. — „W klatce“, wyd. zbior. Gebethnera. — Wspomnienia „Kraj“, rok 1885. — „W zimowy wieczór“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Za doliną róż“, wyd. zbior. Gebethnera. — „Zefirek“, Warszawa, 1886. — „Złota nitka“, Warszawa, 1886. — „Z nad Niemna“, „Niwa“, 1874, tom VI. — Zwierzenia „Kraj“, 1891. — „Zygmunt Ławicz“, Warszawa, 1886. — „Z życia realisty“, wyd. zbior. Gebethnera.

Pamiętnik Murawiewa, Kraków, 1896.

Piltz Erazm: Nasza młodzież, Kraków, 1903.

Tenże: Nasze stronnictwa skrajne, Kraków, 1903.

Tenże: Polityka rosyjska w Polsce, Warszawa, 1909.

Popławski J.: Dwa światy, „Głos“, 1888.

Przyborowski Walery: Dzieje 63 roku, Kraków, 1897—1919.

Rawita-Gawroński: Konfiskata ziemi polskiej przez Rosję po roku 1831—63, Kraków, 1917.

Smieński W.: Monteskiusz w Polsce w XVII w., Warszawa, 1927.

Stella-Sawicki: Rok 1863, Lwów, 1905.

Świętochowski A., Historia chłopów polskich, Lwów—Poznań, 1928.

Walewska Cecylia: Kobieta polska w nauce, Warszawa, 1922.

Wrotnowski: Porozbiorowe aspiracje narodu polskiego, Kraków, 1898.

Zoryan: Powieści Orzeszkowej, „Kłosy“, rok 1885.